

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/24

1949



• «*La Culture*» • *Revue mensuelle* •

J. CZAPSKI — Kapitalny chłopak * C. Norwid — Zawsze to samo... ♦ M. KUKIEL — Książę Adam ♦ J. URSYN — Mowgli w Paryżu ♦ *ARCHIWUM POLITYCZNE*: A. Fabre-Luce — Jak mogłaby powstać Europa ♦ *NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI*: ST. KORBONSKI — Pierwsze władze Polski Podziemnej ♦ *KSIAŻKI* ♦ *KRONIKA KULTURALNA* ♦ *ARKUSZE POETYCKIE* ♦ *LISTY DO REDAKCJI*.

SPIS RZECZY

- Józef Czapski: *Kapitałny chłopak* 5
Cyprian Nerwid: *Zawsze to samo* 10



- Marian Kukiel: *Księżę Adam (cz. II)* 13



- Józef Ursyn: *Mowgli w Paryżu* 67

ARCHIWUM POLITYCZNE

- Alfred Fabre Luce: *Jak mogłaby powstać Europa* .. 77

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

- Stefan Korboński: *Pierwsze władze Polski Podziemnej* 85

KSIĄŻKI

- Paweł Hostowiec: *Hitler i jego szef sztabu* 121
Juliusz Mieroszewski: *Pochlebcy znużenia* 131

KRONIKA KULTURALNA

- Tadeusz Heinrich: *Na scenach paryskich* 136
Janina Pilatowa: *«Rozmowy o języku»* 142

ARKUSZE POETYCKIE

- J. Dołęga-Kowalewski: *Puszkiniada* 155
Józefa Radzymińska: *Krajobraz* 156
Jan Kowalik: *Zwierzenie* 156
Janina Wadwicz: *Nawóz* 157

LISTY DO REDAKCJI

- Mike: 158

*Numer ufundowany przez
Witolda Malcużyńskiego*

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1949

INSTYTUT



LITERACKI

Kapitalny chłopak

Moje najdalsze wspomnienia dzieciństwa o Paderewskim: Paderewski przyjeżdżał już u szczytu sławy także do Mińska Litewskiego. Rodzice moi jeździli na te koncerty ze wsi w wielkie mrozy i zawieje. Po jednym z nich opowiadał mi ojciec, jak to dostojnicy Mińska zaprosili Paderewskiego na obiad. "Nie mogę, odpowiedział, idę na kołduny do pani Snarskiej". Panią Snarską, właścicielkę skromniutkiego sklepu z nutami i przyborami muzycznymi na ulicy Zacharzewskiej, pamiętam dobrze. Miała wygląd energiczny, pince nez i przyprawne siwe loki. Opowiadano mi, że ona pierwsza miała dawać lekcje Paderewskiemu i że jej młodziutki uczeń mył wzamian za to w jej mieszkaniu raz na tydzień podłogi. Paderewski nie zapomniał swej starej nauczycielki i kołduny u pani Snarskiej lepiej mu smakowały niż dostojne obiady.

Już wiele lat temu odnalazłem w książce Stanisława Witkiewicza o Aleksandrze Gierymskim ustęp, w którym Witkiewicz pisze o pobycie malarza w 1885 r. w Wiedniu. Był to okres dla Gierymskiego ciężki. Nie tylko, że materialnie był bliski nędzy, ale cierpiał bardzo psychicznie. Nawiedzały go coraz to okresy manii prześladowczej, podejrzewał najlepszych przyjaciół, zrywał z nimi, nawet najofiarniejszemu, gołębiego serca Witkiewiczowi, zarzucał jakieś tajne przeciw sobie machinacje. Ten zapoznany, przez społeczeństwo ignorowany, artysta miał tylko słowa gorczy dla polskiego społeczeństwa. Dosłownie, i nie przenośnie zgrzytał zębami, gdy mówił o swoich rodakach. Takim go jeszcze pamiętał jego wyznawca i uczeń Pankiewicz. Gdy wracał do Warszawy, mówił błędnie: "Wracam do Żydów i do k....". "Lepiej być koniem wyścigowym w Polsce, niż malarzem", pisał Gierymski z Wiednia, a jeszcze w innym liście stamtąd: "Moja cała Polska, to Dziekońscy (Józef i Prosper) i wy. Na to drugie, przyznasz, można się trochę uśmiechnąć. Mnie łatwo jest być emigrantem, nie biorę prawie żadnego bagażu ze sobą. Im więcej mam sił, tym więcej widzę pustkę jaką koło siebie zrobiłem. Szczerze, nie mam żadnego żalu, nie przypuszczam, żebym mógł pasować do jakichkolwiek ludzi na świecie, tak samo więc w Warszawie".

I nagle z tego samego Wiednia w 1885 r. list zupełnie inny, ton, temperatura: "Pieniądze od was (od redakcji "Wędrowca")

przyszły mi bardzo na czasie (członkowie redakcji, to byli także nędzarze, Witkiewicz opowiada, że nie wpuszczano ich do kawiarni, bo wyglądali na żebraków — mój przyp.). *Gdyby nie Paderewski, zdechtłbym, przez tydzień nie miałbym co jeść. Kapitałny Chłopak. Jemu zawdzięczam dużo, polepszenie zdrowia i humoru. Bezwarunkowo byłoby mi tu bez niego o wiele gorzej. Szkoda mi Paderewskiego — dodaje — bez niego będę znowu prawie sam.*

A więc Paderewski, ten "kapitałny chłopak", nawet tego samotnika, na skraju manii prześladowczej umiał oswoić, zrobić przez chwilę mniej samotnym i mniej gorzkim.

Te dwa drobnutkie epizody: opowiadanie ojca i ustęp z Witkiewicza wraziły mi się w pamięć więcej o wiele, niż to, o czym pięknie pisał Lechoń w "Wiadomościach", że Paderewski był przyjacielem królów i wszędzie czarował, a czarem swym służył Polsce. A przecież sam jeszcze widziałem, jak w Théâtre des Champs Elysées (był i Prezydent Republiki Francuskiej i królowa Belgijka) cała sala wstała w jednym porywie, gdy wszedł na estradę. Wówczas już młodzi wirtuozi gwałtownie krytykowali jego grę, że przełamuje nuty, że ma rytm dowolny. "Najgorszy muzyk na świecie" — wołał z pasją młody Arrau, który grał wówczas Chopina jak fugi Bacha.

Czy to gra Paderewskiego, czy aura tego człowieka o lwiej, śnieżnej czuprynie, ale wbrew wszystkim krytykom i ja wtedy się zerwałem jak wszyscy, i ja, jak wszyscy naokoło mnie, tłumiliem łzy, kiedy ten stary człowiek wszedł na estradę i mnie serce stawało, kiedy Paderewski, usłyszawszy szelest papieru przy jednym z bisów, zerwał się i wyszedł, dając się zaledwie uprosić do powrotu.

Powiew wielkości, genialna muzyka, czy magia człowieka?

Postać Paderewskiego, styl jego życia i gest na prawdę królewski, ten sam urok, który kilkadziesiąt lat temu oczarował Gierymskiego — może *zaciążył* na niektórych polskich wirtuozach, a także na nas ich wielbicielach: chcielibyśmy w każdym z nich widzieć nie tylko wielkiego artystę, ale *człowieka*, tej miary człowieczeństwa, miłości ojczyzny i hojności.

*... Ja myślałem, że każda ze strun wie
w jaką porę wydzwoni, co i gdzie
... że wieszczów było tyle,
ile jest bliźni dokliwych...*

Dlaczego o tym piszę? Nasz skromny zespół "Kultury" spotkał w chwili ciężkiej, młodego artystę, już świetnego, który z Ameryki przyjechał, podróżując po kuli ziemskiej, znał "Kulturę" i ją czytał. Sam redakcję naszego pisma odszukał i dziś przychodzi nam z pomocą. Nie nam pierwszym. W Stanach Zjednoczonych grał na Fundację Kościuszkowską, w Londynie grać będzie w Albert Hallu na Samopomoc Lotniczą, pono najwyższą i najinteligentniejszą organizację samopomocową.

Tu w Paryżu wystąpi 17. X. i 22. X. w Palais Chaillot, naj-

większej sali Paryża. Pierwszy z tych koncertów jest w studni rocznicę śmierci Chopina.

Palais Chaillot... Przecież o *parę ulic* dalej, na rue Chaillot, sto lat temu dogorywał Chopin. *)

"Juliusz pokaszłując rzekł mi: *parę miesięcy temu spotkałem tego moribunda*". — Sam wszelako pierwiej niż Fryderyk Chopin odszedł ze świata widzialnego, umarłszy — tak pisze Norwid, wspominając Słowackiego.

O *parę ulic* od Palais Chaillot, gdzie słuchać będziemy chopinowskiego koncertu, odwiedzali sto lat temu "tego moribunda" i Słowacki, i Norwid, i Delacroix.

Już w styczniu 1849 r. zapisuje w swoim dzienniku Delacroix, mistrz iluz generacji malarzy: "Wieczorem byłem u Chopina, zostałem do 10-ej. Kochany człowiek!... Cierpienie przeszkadza mi w zainteresowaniu się czymkolwiek, a tym bardziej pracą". Siódmego kwietnia jednak jest w dzienniku Delacroix nowa wzmianka. W tym czasie Chopin wyjeżdżał na spacer, potem wnoszono go, bo już po schodach chodzić nie mógł na jego czwarte piętro, skąd był widok na cały Paryż.

"Koło 3-ej towarzyszyłem Chopinowi powozem w jego spacerze. Chociaż zmęczony, byłem szczęśliwy móc mu być użyteczny w czymkolwiek. Avenue des Champs Elysées, Arc de l'Étoile, butelka wina Quinquina (czy tym wówczas leczono umierających na suchoty?), zatrzymanie przy barierze... mówił mi o muzyce i to go ożywiło. Pytałem go, co tworzy logikę w muzyce. Dał mi do odczucia, co to jest harmonia i co to jest kontrapunkt: że fuga jest jakby logiką czystą w muzyce i że znać głęboko fugę, to znać elementy rozumu i konsekwencji w muzyce. Myślałem, jakbym był szczęśliwy, gdybym mógł się kształcić w tym, co doprowadza do rozpaczki każdego przeciętnego muzyka. To uczucie dało mi pojąć rozkosz, którą uczeni, godni tej nazwy, znajdują w nauce. Bo też prawdziwa nauka nie jest tym, co ludzie zwykle sobie wyobrażają, dziedziną poznania, całkiem inną niż sztuka. Nie, nauka ujęta tak i wykazana przez człowieka miary Chopina, jest samą sztuką, ale też sztuka nie jest wcale tym, co sobie wyobraża pospólstwo, to znaczy rodzajem natchnienia, które przychodzi niewiadomo skąd, rozwija się wypadkowo i przedstawia jedynie zewnętrzną malowniczość rzeczy. Nie, to rozum sam, ubrany przez geniusz, ale po szlaku koniecznym, w ramach praw wyższych".

W *parę dni* później, 14-go kwietnia, znów notatka w dzienniku Delacroix, że Chopin jest "très affaïssé", że nie oddycha. "Moja obecność ostatecznie na chwilę mu pomogła. Mówił mi, że nuda jest jego męką najokrutniejszą. Pytałem go, czy znał wcześniej również tę pustkę nie do zniesienia, którą ja odczuwam czasami. Powiedział mi, że umiał zawsze czynnym się zająć. Że tak mało ważne, jakim było to zajęcie, zapełniało mu ono

*) Przeniósł się na Place Vendôme przed samą śmiercią.

czas i usuwało od niego "ces vapeurs". Inna rzecz zmartwienia".

Jeszcze notatka ostatnia. Z soboty 20 października 1849 r.: "Dowiedziałem się po śniadaniu o śmierci biednego Chopina. Rzecz dziwna, przed wstaniem rano byłem uderzony tą myślą. Otóż już parę razy doznaję tego rodzaju przecucia. Cóż za strata! Ileż kanalii i lotrów zapełnia świat, wtedy gdy taka piękna dusza gaśnie".

Nikt chyba nie zostawił nam wspomnień o Chopinie godnych porównania ze wspomnieniami Norwida, tych pereł poezji, głębi i człowieczeństwa. Norwid w tym ostatnim roku często przebywał na ulicy Chaillot, jadał z nim o 5-tej godzinie i wyjeżdżał potem powozem na spacer do Bohdana Zaleskiego, do Lasku Bulońskiego.

*„Byłem u ciebie w dni te przedostatnie,
kiedy podobniałeś, co chwila, co chwila
do opuszczonej przez Orfeja liry”.*

Tam w jego mieszkaniu, na czwartym piętrze, z widokiem na cały Paryż, jedynym widokiem w Paryżu, który Norwidowi przypominał Rzym, w mieszkaniu, gdzie "nieśmiertelny jego fortepian stał, a fortepian, bynajmniej nie wykwinął, do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony, jak fortepiany modne, ale owszem trójkatny, długi, na nogach trzech, jakiego zdaje mi się już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu". Tam, w tym mieszkaniu widywał go Norwid i widział go po raz ostatni: — "Zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku, z narzniętymi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, od razu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim dziwnie z profilu doń podobna... On, w cieniu głębokiego łóżka z firankami, na poduszkach oparty i okręcony szalem piękny był bardzo, tak jak zawsze, w najpowszedniejszego życia poruszeniach, mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... Taką to naturalnie apoteotyczną skończoność gestów miał Chopin, jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem".

17-go października będziemy szli tymi samymi drogami, po których szedł Norwid, Słowacki i Delacroix, będziemy także szli "odwiedzić Chopina", by dotknąć przez chwilę poprzez grę Małcużyńskiego, tej "opuszczonej przez Orfeja liry".

Chyba żadne pismo polskie nie pisze z taką swobodą o faktach na emigracji, które znaczą jej rozpad czy rozkład, o łatwości naszej frazeologii, o słowach bez pokrycia, o niezdolności zrozumienia na czym polega różnica między sprawami papierowymi, a naprawdę żywotnymi. Z tym większym naciskiem staramy się podkreślać wszystkie oznaki na emigracji, które się

nam zdają pozytywne, które świadczą o zrozumieniu zadań tej emigracji. A na naszym odcinku "Kultury" staramy się podkreślić każdy gest indywidualny, każdą próbę pomocy, która wymaga trudu, która kosztuje, dodaje nam otuchy, daje nam świadomość, że nie jesteśmy wyłącznie otoczeni głuchą ścianą leniwej obojętności lub wrogości, dwuznacznych insynuacji lub bezmyślnego niezrozumienia, niezrozumienia, że wolny organ na emigracji "mający ambicje rozpoznawcze") istnieć musi.

Małcużyński zrobił dla nas więcej, niż to, że przychodzi "Kulturze" z pomocą. Ileż znaczy "jak"! Zrobił to z właściwą sobie absolutną skromnością, jakby nieświadomy, czym jest dla nas ta pomoc. Wychodząc tego dnia gdy nam oba koncerty zapowiedział, z jego mieszkania na Avenue Victor Hugo, gdzie z okien przy których stał jego fortepian, widać było także cały Paryż, myśleliśmy o nim tak samo jak Aleksander Gierymski myślał o młodym Paderewskim: *Kapitałny Chłopak*.

Józef CZAPSKI.

*) Określenie Wańkowicza.

Do Karola Ruprechta

Zawsze to samo ...

Do Mariana Sokółowskiego

Jam jej*) nigdy nie łudził i wiem, że jest wielkie dziecko z zalanemi łzami oczyma, a przeto widzące jedynie przez łzy swoich świętych i przeklętych przyrządów, widzące trojenia i siedmienia się tęcz — nigdy prawdy!

Ale ci, co ją łudzą, niemeżni!... ucierpią wszelako i narzekać będą do głębi szpiku kości ich.

Wiem, że, jak na-boleję, i na-swarzę, i na-modłę, to przyjdzie mi kto powiedzieć:

«wiesz co?... oto, w ruskiem narzeczu 10 dzienników, a w «polskim jeden.»

Jużci wiem! ja —

Mam list z placu boju od szefa sztabu Dyktatora**), który mię żaręcza, że niestusznie się niepokoję, albowiem jest dzienników polskich mnóstwo i coraz nowych!

On nie wiedział, co mówił — ale to święty człowiek w błędzie. Ja-ć wiem, że wszystkiego u nas fenomenologicznie mnóstwo, historycznie mało, a społecznie nic.

Tak dalece nic, że nawet i odwagi widzieć tego na czasie niema nigdy. —

Ztąd to idzie, że nie LECĘ do żadnej organizacji towarzystw literackich, bo to zawsze wychodzi na opuszczenie *ważniejszych prac dla efemeryd*. Człowiek zaś płonny jest, i umiera, i czasu mu zbywa, a czasu, który się wywalcza trudem wielkim, nie deklamacyą — na co?? — aby tego właśnie, co głównym jest brakiem i potępiającym ojczyznę brakiem, to jest: *statości-umysłu, toku, ciągu, toru*, nigdy nie widzieli, nie znali, nie uczcili — a ani myśleć: ułatwili!

Efemeryczni i bez-historyczni! —
1865

C. N.

*) Polski (przyp. Red.).

**) Przedstawiałem wtedy, że podnieść energię samą a inteligencyę zaniechać, to pochylić głowę ku ziemi, a nogi w górę i kozła wywinąć — wiele razy jeszcze to będzie?

Zadne pismo polskie nie utrzyma się, i cała polska inteligencya w marnej inanicyi wlec się i jałowić będzie, pókad będzie zatrzymaniem prawdy na rzecz formalnego udawania przed sobą samymi i przed narodem, że IDA NAPRZÓD i że ze swobodą sumienia wiedzą, GDZIE? idą...

Wiara albowiem nie jest ani czczym frazesem ani kabalistycznym amuletem, jeno rzeczą okazałą wyrażnie, jak to w tym liście czynię.

1865

Cyprjan Norwid

Do J. I. Kraszewskiego

Nie mogę byłemu Edytorowi memu Brockhausowi tłumaczyć, że wieści i zachody wojenne są *niczem* — bo on nie zrozumie! — nie mogę mu mówić, że idzie poprostu o Kongres, albowiem *nie niema zlegalizowanego* i wszystko jest *personalne* — osobiste — zależące od osobistych atrybutów. Nie mogę mu mówić: «Europa jest bezlegalna, Polska — cała w sentymentach krwią zbroczonych, a ludzie chrześcijańscy są niepraktyczne ostry, a ludzie praktyczni są szarlatany pogańskie. Nie mogę mu mówić: *plac mi i drukuj*, i czekaj, a będziesz zawdzięczony.

Tego wszystkiego mówić nie mogę dlatego, że poprzednicy moi byli ludzie genialni, ale *łgarze*, tak, jak każdy patrycyusz w trudnych chwilach rzeczypospolitej jest *łgarzem*. Byli to szanowni i kochani *łgarze*, którzy safandufom schlebiali, aby czas zyskać do poprawienia rzeczy ogólnej i wychowania czegoś znośniejszego — nie mogli inaczej począć — *łgali* — bo czekali!...

Mówiłem to Zygmunutowi przed śmiercią Jego, gdy przyszedł do mnie, do tego kąta, gdzie byłeś pod moją nieobecność. Mówiłem mu: «*łżecie, nie ufacie następstwu prawdy i mistrzostwu wszechprzymotnego Boga!*... to zaś *ufanie w konsekwencyę prawdy zwie się NADZIEJĄ (cnotą)*.

Ale co? robić u nas...

Bądź im Pindarem albo Buonarrotim... na co?.. Im trzeba, abys był *bankierem-żydem* i abys gadał anegdoty *jak Radziwiłł Karol*, a żonom ich, abys się *modlił grymasy robiąc*.

1. *Arystokracja*: bez grzeczności i starannej bacności uszanowania człowieka.

2. *Demokracja*: bez pracy, walki i dumy-szlachetnej.

Kiedy kto Arystokratą, niech będzie delikatnym i artystycznie niebieskim jak Perikles. — *Kiedy kto Demokratą*, niech będzie szlachetnie-dumny jak Cato, i pracowity i cichy. —

Jednych i drugich nie widziałem, ale widziałem: *amfibie* bez charakteru — *lokaje* i *zalotniki-czasów* — złodzieje i szarlatany — modlący się jak ich *niewolnice-żony*, ale niemocni słowa świadectwa wyrzec i kroku postąpić prawego.

Oni gotowi wylać morze krwi, ale kilku *wyrazów prawdy* nie powiedzą, i *umyją ręce*, i będą na trzy korony Ojca Świętego śmieciami rzucać. *Męczeństwo bez wyznawstwa* — *szlachectwo bez szczerości i otwartości słów* — *Demokracja bez pracy i charakteru!* — gałgactwo —

1866

C. Norwid

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}
C.C.P. 4955-03

EASTERN QUARTERLY

niezależne pismo w języku angielskim, poświęcone sprawom Europy Środkowej i Wschodniej oraz sprawom Bliższego i Środkowego Wschodu. —

Cena: 3/- za pojedynczy egzemplarz (post free, Air Mail extra), prenumerata roczna 12/-.

WYDAWCA: The Morven Press Limited, 32, Bolton Gardens, London, SW 5.

P O L S K A

PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORLA BIAŁEGO*.

Książę Adam (Cz. II.)

W walce z carem

I.

Mikołaj, Konstanty i książę Adam

... “W roku tym (1796) — czytamy w pamiętnikach księcia Adama — zaszedł wypadek, który miał niezmiernie skutki dla Europy, a straszliwe dla Polski. Oznajmiono, że w. księżna Maria jest w poważnym stanie; wkrótce potem powiła syna. Obrzęd chrztu odbył się w kaplicy w Carskim Siole; cały dwór asystował w obszernej sali poprzedzającej kaplicę. Ceremonia była oczywiście jak najokazalsza; obecni byli ambasadorowie; nie pamiętam którzy trzymali dziecko u chrzcielnicy za swych monarchów: nazwano je Mikołajem! Patrząc na to niemowlę w pieluszkach, krzyczące niekiedy z powodu przewlekłych u schizmatyków ceremonii chrztu, nie przewidywałem, że ta istota, tak ślaba i miła, jak każde ładne dziecko, będzie kiedyś klęską mej ojczyzny”.

Istotnie, dokonana w grudniu 1825 roku zmiana na tronie rosyjskim odbić się miała potężnie na losach Rosji i Polski.

Z Aleksandrem odszedł człowiek, który mimo całej zmienności w decyzjach i postępowaniu, mimo całej samowoli autokraty, mimo całej uległości wobec przemożnych tendencji reakcyjnych, zaborczych, samowładczych, do ostatka zachował coś z idealizmu i humanitaryzmu młodych lat, coś z zasad “filantropijnych niedowiarków stulecia”, o których z taką pasją wyrażał się Mikołaj; na kilka lat przed śmiercią dał układać konstytucję dla Cesarstwa wzorowaną na polskiej; a chociaż od roku 1820 zrażony do swych liberalnych poczynań dał bratu Konstantemu arbitralną władzę, *c a r t e b l a n c h e* w stosunku do obowiązującego prawa, choć łamanie konstytucji pokrywał swą monarchszą powagą, choć dopuścił do strasznego uderzenia w uniwersytet i szkoły polskie na Litwie, to jednak w ostatnim jeszcze roku życia, za ostatniego w Warszawie pobytu, nawracał znowu do swej “*idée favorite*” — odbudowania

Polski przez przyłączenie do Królestwa ziem zabranych i, wedle świadectwa Konstantego w liście do Mikołaja, "dwukrotnie pozytywnie to zapowiadał" jemu i księżnej Łowickiej, "a te same wypowiedzi powtarzał wielu osobom wojskowym i cywilnym" *). On pragnął jeszcze — mimo wszystko — pojednania swojego z Polską, Polski z Rosją.

Następcą prawem urodzenia był Konstanty. Jego tajna renuncjacja, narzucona mu przez Aleksandra w związku z małżeństwem z księżną Łowicką i ujawniona po zgonie cesarza, oddawała tron młodszemu bratu — Mikołajowi.

Rezygnując z praw do tronu, Konstanty tym silniej czuł się związany ze swym stanowiskiem *de facto* wicekrólewskim w Polsce i na Litwie. Znamienne są w liście, pisanym do Mikołaja po oddaniu mu tronu, braterskie przestrogi: "Nic nie zmieniać z tego, co zrobił nasz drogi, doskonały, uwielbiany zmarły, zarówno w sprawach największych, jak najmniejszych", "niczego nie czynić porywczo", "przyjąć za zasadę, że jest się pełnomocnikiem woli zmarłego dobroczyńcy". Było w tym potrosze asekurowanie własnej pozycji desygnowanego i faktycznego, choć jeszcze nie oficjalnego wicekróla polskiego; ale było też asekurowanie praw Polski i Polaków.

Młody, trzydziestoletni Mikołaj, młodszy o siedemnaście lat od Konstantego, o dziewiętnaście od Aleksandra, — różnił się fizycznie i duchowo od tamtych braci. Nie było w nim śladu dziwacznej natury Pawła, jego szalonych wybuchów i załamań, tej osobliwej mieszaniny dobra ze złem, dobrych, bardzo ludzkich i dzikich, zwierzęcych odruchów. To był człowiek z pruską dyscypliną wewnętrzną, po prusku bezwzględny i twardy, z niemieckim poczuciem obowiązku, drobiazgowością i adoracją surowego, policyjnego porządku. Nie miały doń dostępu teorie filantropijne, ideologie inne, jak religijny kult absolutnej monarchii. Polska nie była dlań niczym innym, jak krajem podbitym. A choć nie decydował się zrazu na pozabawienie jej praw przez Aleksandra przyznanych, były one w jego głębokim przeświadczeniu darem z łaski monarszej, nie przyrodzonym prawem. W poufnej korespondencji tych dwóch braci występują rychło poważne przeciwieństwa w stosunku do dziedzictwa zmarłego brata. **)

Mikołaj pisał, że chce być naraz Rosjaninem i Polakiem, ale "musiałby przestać być Rosjaninem we własnych oczach gdyby chciał wierzyć, że jest możliwe oddzielenie Litwy od właściwej Rosji". Konstanty odpowiadał bez ogródek: "Co się tyczy punktu o Litwie, to sprawa za długa na list i to przeze mnie nabazgrany i zredagowany... ale pozwolę sobie tu powiedzieć

tyle, że jestem, byłem i będę Rosjaninem pokąd żyć będę, sercem i duszą, ale nie z tych Rosjan zaślepionych i tępych, którzy uważają za zasadę, że im wszystko wolno, a nie innym. *Matuszka nasza Rossija bieriet dobrowolno, nastupaja na gortło* — oto przysłówie bardzo używane wśród naszych, a we mnie zawsze budzi ono zgrozę. Jedyna pozytywna nauka na tym poziomie światła, to matematyka, a ona dowodzi, że gdy dane są fałszywe, wynik musi być również fałszywy; sprawa niesłuszna, nigdy się słuszną nie stanie; byłyby to tylko paljatywy szkodliwsze niż wszystko inne..."

A choć w późniejszych listach uspokajał młodszego brata, że się zawsze podporządkuje jego cesarskiej woli, nie pomijał żadnej okazji, by nie wspomnieć o "dobroczyńnych zamiarach zmarłego cesarza", nie wypomnieć, że zostały poniechane.

Po kilku miesiącach, przy okazji sprawy uzupełnień korpusu litewskiego, Mikołaj wypowiedział swoje *sic volo, sic i u b e o*: "Nie mogę dopuścić póki życia żadnej możliwości ośmielenia idei połączenia Litwy z Polską, bo w moim przekonaniu rzecz to niewykonalna i musiałaby pociągnąć za sobą zgubne następstwa dla Cesarstwa. To nie przeszkadza, że jestem równie dobrym Polakiem, jak dobrym Rosjaninem; dowiodę tego przy każdej okazji ścisłym i wiernym przestrzeganiem i ochronieniem przywilejów, których udzielił Królestwu zgasy nasz Anioł, ale nie zniosę, pokąd żyję, żadnej próby sięgnięcia dalej, ze szkodą dla Cesarstwa..."

Konstanty odpowiedział sucho: "Co się tyczy poglądów politycznego zmarłego Cesarza i Twoich w sprawie polskiej, moja rzecz nie sądzić, ale być posłusznym Twym rozkazom".

Wtedy to, z początkiem listopada 1827, zapadła ostateczna negatywna decyzja w sprawie ziem zabranych, a Mikołaj przeciwstawił się otwarciu polityce swego poprzednika w sprawie polskiej. Z tym wiąże się stosunek Mikołaja do Czartoryskiego, wyraźnie nienawistny. Według Handelsmana niechęć wywiązała się może na podkładzie dawnej zawiści o względy, przyjaźń, zaufanie Aleksandra. Zbędne to doszukiwanie się predyspozycji i kompleksów. Wtedy, gdy książe Adam był zaufanym przyjacielem Aleksandra I, Mikołaj był chłopczykiem, w latach zaś późniejszych do zazdrości nie było już powodu. Wystarczyło za to fakt, że Czartoryski był polskim inspiratorem i powiernikiem nienawistnych Mikołajowi intencji Aleksandra w sprawie Polski — i samej Rosji.

Książę Adam spędził lata 1824 — 7 przeważnie w podróżach, poza krajem, głównie w Genewie, we Florencji i na południu Francji. Domyślać się tylko można jego istotnych czynności, dyskretnie ponawiających kontaktów z liberalnymi osobistościami politycznymi Zachodu, przy czym obok dawnych znajomości, mogły też posłużyć stosunki wolnomularskie.

Był to okres jakichś ogólnych ze sobą samym obrachunków, a cierpienie — przybyć miało nowe przez zgon ukochanego dziecka — pogłębiało pracę ducha. Krystalizował się w dużej

*) Konstanty do Mikołaja 15/27 lutego 1826, *Sbornik Russk. Istorczestwa*, T. 131, str. 52-4; por *Jenerał Zamoyski I*, 204-5.

**) Korespondencja cesarzewicza Konstantego z cesarzem Mikołajem wydana została (z pewnymi dostrzegalnymi i zrozumiałymi opuszczeniami) przez *Sbornik Russkago Istorczeskago Obszczestwa*, tomy 131 i 132 (1910-1).

filozoficznej rozprawie "O pocieszeniu" światopogląd w duchu filozofii chrześcijańskiej; w monografii Handelsmana ledwo wspomniany, zasługiwałby ten dokument ewolucji myślowej Czartoryskiego na poważny rozbiór.*) Cały systemat polityczny, przemyślany gruntownie od podstaw, zawarł on w dużym traktacie "Essai sur la diplomatie" (skończonym w roku 1827, choć ogłoszonym dopiero po trzech latach). Do tego doniosłego dzieła, również krótko tylko wspomnianego w dotychczasowych pracach, wypadnie powrócić dalej.

Czartoryski znalazł się w czerwcu 1827 roku w Warszawie wobec poważnej sytuacji wytworzonej sprawą Towarzystwa Patriotycznego, sam jako senator powołany do udziału w Sądzie Sejmowym nad przestępcami stanu. Sprawa była groźna nie tylko przez ujawnienie całego niemal sprzysiężenia, ale zwłaszcza przez ujawnienie jego związków z rosyjskim sprzysiężeniem Dekabrystów. Od chwili, gdy Mikołaja wstępującego na tron powitał rewolucyjny bunt wojskowy, wykrycie i zgniecenie całego ruchu w Rosji było dlań przez pierwszych kilka miesięcy panowania naczelnym zadaniem, absorbującym całą jego energię, zaprzatającym myśl. Konstancy, choć dużo już wiedział o polskim Towarzystwie, zrazu ani myślał wiązać go z rosyjskim zamachem, nie chciał aresztowań ani śledztw: według niego, "zło było tu czysto lokalne i trwało do 1822 roku; co więcej, wszystko było osądzone, ukarane i zakończone przez zmarłego Cesarza; staramy się już tylko wyjaśnić sobie następstwa". "Lekcewałyby nawet przesłane mu z Petersburga zeznania o polsko-rosyjskich układach spiskowych. Twierdził, że to rosyjscy winowajcy chcieliby podzielić się winą z Polakami, że inni przez nadmiar gorliwości rzucają bezzasadne podejrzenia. Gdy dowody stały się oczywiste, jeszcze Konstancy nie wahał się osłaniać przed bratem polskich spiskowców, choć już musiał zarządzić konieczne aresztowania i kazał powołać Komisję Śledczą. U aresztowanego w Dreźnie Książewicza znaleziono kopię listu Aleksandra do Kościuszki z roku 1814. Konstancy pisał bratu: niechże przeczyta ten list, znajdzie tam wytłumaczenie całego Towarzystwa Patriotycznego; cóż chciałyby, by Polacy mówili po obietnicach tak stanowczych? W innym, późniejszym liście, wiedząc już dokładnie co wyszło na jaw, pisał, że nie ekskuzuje Polaków, ale może śmiało stwierdzić, że między zamiarem spiskowców rosyjskich — częściowo wykonanym — a tym co robili polscy — zachodzi różnica oczywista dla myślących ludzi wszystkich czasów. Nie wynikała stąd dla niego bezkarność dla sprzysiężonych. Gdy uznał za konieczne wdrożenie dochodzeń, z naciskiem podnosił, że cała opinia polska jest przeciw winnym, że sami Polacy najostrzej ich osądzą. Dla

*) O katolicyzmie Puław, raczej formalnym, wskazówka w publikacji *Generał Zamoyski*, t. 1, 26-7. O odejściu od katolicyzmu w młodych latach mówią wyraźnie *Mémoires* I 42-3; tżs. B. Zaleski, *Zywoł* I 203, 299. W Wolnomularstwie był już za Rzeczypospolitą, a za Królestwa miał stopień VII, najwyższy. Patrz Małachowski-Lempicki, *Wykaz łóz* (1930), str. 188.

pewności skłonny był postąpić jak w sprawie Łukasińskiego i towarzyszy: omijając konstytucję, kazać sądzić wojskowych i cywilnych sądem wojskowym, na który miałyby wpływ stanowczy. W prędkim, surowym wyroku polskich sędziów widział zabezpieczenie przed reperkusjami sprawy Dekabrystów i Towarzystwa Patriotycznego na losy Polski.

Na stanowisku bardziej legalistycznym stanął niespodzianie Mikołaj. Zażądał, by oskarżeni o zbrodnię główną byli sądzeni przez wskazany konstytucją Sąd Najwyższy, czyli Sąd Sejmowy, złożony z pełnego Senatu Królestwa.

W sam dzień otwarcia Sądu Sejmowego, 15 czerwca, była rozmowa Czartoryskiego z Konstancy w Belwederze. Wielki książę wystąpił z atakiem. Miał broń. Jako "głowie rodziny" Mikołaj przysłał mu najtajniejsze papiery, znalezione w papierach zmarłego brata i bratowej. Były tam listy Czartoryskiego do Aleksandra, oskarżające Konstatego, domagające się jego odwołania. Były też, wspomniane poprzednio, "liściki" do Elżbiety. Uderzył tą rewelacją Konstancy w księcia Adama. Cierpko wypominał Polakom nierozważne poczynania spiskowe, jawne demonstracje opozycyjne, im przypisując zagrożenie bytu Królestwa. Domagał się od księcia Adama, by był głosem rozsądku w Senacie i wpłynął na potępienie i skazanie winnych; im będą surowsi, tym lepiej przysłużą się Polsce.

Czartoryski, ogłuszony nieco ciosem, dopiero w następnej rozmowie po kilku dniach dał właściwą odpowiedź. Były to straszliwe słowa prawdy o aparacie przemocy stworzonym w Królestwie pod egidą w. księcia, o policji tajnej, kontrpolicji, szpiegostwie, donosach, więzieniach z pogwałceniem prawa; dowodził, że ten właśnie system zabija zaufanie, budzi podejrzenia co do zamiarów monarchy, wywołuje wrzenie. Jest niepodobieństwem — mówił słowami swego "Essai" — aby niesprawiedliwość mogła wyjść na dobre narodom. Tu zaś stała się niesprawiedliwość domagająca się naprawy. Naprawą byłoby przyłączenie gubernii zachodnich.

Z kolei Konstancy był poruszony. Nie powiedział księciu, jak sam z Mikołajem spiera o prawa Polski, o Litwę. Uderzył jednak w ton pojednawczy. Według zapisek siostry księcia Adama, Zamoyskiej, nastąpiła między nimi "zgoda przy cieniu cesarza". Ale zgoda ta nie oznaczała, by Czartoryski pojmował swą rolę tak, jak tego chciał Konstancy. Senat, którego był teraz, przy sędziwym prezesie Sądu Sejmowego, wojewodzie Piotrze Bielińskim, rzeczywistym, uznanym przez wszystkich przewodcą, podjął tę sprawę jako próbę dla swej godności, niezależności, powagi. Odrzucając gotowe wyniki dochodzeń rządowej Komisji Śledczej (choć na czele jej stał prezes Senatu, Stanisław Zamoyski), wznowił je przez delegację własną. Opierał się udziałowi w konfrontacjach senatorów rosyjskich, delegowanych ze względu na tych współwinnych, którzy jako rosyjscy poddani sądzeni być mieli w Petersburgu. A choć co do tego punktu ustąpić musiał, przeprowadził badanie sprawy z

najskrupulatniejszym obiektywizmem, stwierdzając oczywisty brak współodpowiedzialności Towarzystwa polskiego za zamach grudniowy. Odpowiedzialność ograniczała się do samego istnienia Towarzystwa, dążącego do niepodległości i zjednoczenia Polski; niektórzy z jego kierowników mogli być nadto obwinieni, że wiedząc o zamiarach rosyjskiego spisku, nie donieśli władzom.

Akt oskarżenia zarzucał Towarzystwu "odległe usiłowanie zbrodni stanu". Sformułowanie to, z góry redukujące odpowiedzialność, wzbudziło niezadowolenie w Mikołaju. Tezy aktu oskarżenia bronił wymownie Konstanty; dla niego była to — co najwyżej — "tentative éloignée". "Nie ma zresztą Polaka — pisał do cara — bez względu na stronnictwo, który by nie był przeświadczony o prawdzie, że jego kraj był obrabowany, nie zaś podbity przez cesarzową Katarzynę w trzech rozbiorach... i że użyła do tego środków najhaniebniejszych, przed jakimi wzdrygnęłaby się każda uczciwa dusza..."

Jednak nie dopuszczał myśli o rozgrzeszeniu spiskowców od winy sformułowanej tak ogólnie. Nieustannie też szedł nacisk jego i Nowosilcowa na senatorów, bezpośrednio i przez uległych dygnitarzy.

Dnia 22 maja 1828 roku zapadł wyrok Sądu Sejmowego: jak wiadomo, trzydziestu dziewięciu głosami przeciw jednemu (Wincentego Krasińskiego) orzeczono, że "Towarzystwo tajne... nie było konspiracją, mającą na celu spełnienie zbrodni stanu, w art. 67 kodeksu karnego polskiego wymienionej, a przeto nałożenie do niego nie ustanawia odległego usiłowania zbrodni stanu". Główny winowajca, podpułkownik Seweryn Krzyżanowski, otrzymywał karę trzech lat więzienia, kilku innych kary drobne, odcierpiane w śledztwie.

Wiadomo, jaka była reakcja Konstantego. W liście do cara obsypywał obelgami senat za wyrok, a zwłaszcza Bielińskiego za raport uzasadniający — dzieło, o czym na razie nie pisał choć dokładnie wiedział — księcia Adama. Domagał się przykładowego skarcenia "tych panów", "ce sot et imbécile Sénat", "la coquinnerie du Sénat et de son président". Gdy jednak Mikołaj zareagował — zresztą dość późno — wypowiadając zdanie, że prezes Senatu winien być oskarżony o zbrodnię stanu i sędziny, Konstanty odpowiadał bardzo rozsądnie: "ce triste individu" nie może być przecież sądzony przez ten sąd, który podzielał jego opinię; jeśli zaś Senat go uniewinni, kto będzie wtedy sędzić Senat? — Przecież nie sam jeden Krasiński! W konkluzji radził zwołać Senat, udzielić nagany delegacji, Senatowi jako całości i osobno jeszcze prezesowi; słowem, groźne represje zredukowałyby się do groźnych reprimend. Był natomiast za skasowaniem wyroku i osądzeniem podsądnych innym trybem. Tymczasem zawiesił nad senatorami sui generis areszt garnizonowy, zakazując im wydalania się z Warszawy.

Mikołajowi nie zdało się to dostatecznym zadośćuczynieniem ze strony Polaków; chciał teraz potępienia wyroku przez Radę

Administracyjną. Zażądano od niej odpowiedzi na alternatywne pytania: czy wyrok Senatu wynikał z jego błędnego wyobrażenia o tym, czym jest zbrodnia stanu, czy z chęci zsolidaryzowania się z występnyymi zamierzaniem?

Rada Administracyjna gotowa była zaprzeczyć się wyroku senackiego, ale nie skłonna ani oskarżać Senatu, ani dawać asumptu do jakiegoś wyjątkowego ustawodawstwa. Stawiając czoło gwałtownej presji Konstantego i Nowosilcowa, Rada — inspirowana i prowadzona przez Lubeckiego, który wszedł w cichy kontakt z księciem Adamem — złożyła w końcu winę na nieprawidłowości rządowej Komisji Śledczej i na złe sformułowanie dekretu królewskiego o Sądzie Sejmowym.

Wybuchł teraz groźny konflikt między Konstantym i Nowosilcowa z jednej strony, a Lubeckim, Radą i ogółem polskim z drugiej. Mikołaj reagował ostro w słowach, znów poszły reprimendy dla prezesa Rady Administracyjnej i dla Lubeckiego, ale sprawa rozchodziła się po kościach. Była wojna z Turcją. Car miał oczy zwrócone ku swym armiom topniejącym katastrofalnie w wojnie tureckiej, niezbyt szczęśliwie prowadzonej i przewlekłej.

Gdy w Warszawie zapadał wyrok Senatu, Mikołaj oglądał się właśnie za posilkami polskimi, dopraszał się od brata jednej dywizji, doznał odmowy z którą pozornie tylko się pogodził. Pogłębiała się niechęć między braćmi. Mikołaj nie był teraz skłonny zaogniać sprawy w Warszawie. Komplementował ją, posyłając działa tureckie spod Warny, gdzie "armia rosyjska z królem polskim na czele pomściła zgon króla polskiego"; ale komplement ten był przytykiem w stosunku do Konstantego. Jego zaś dochodziły pogłoski o grożącym odebraniu mu korpusu litewskiego, są zaś wskazówki, że Mikołaj zastanawiał się nad odwołaniem brata i Nowosilcowa z Warszawy; podsuwano mu, że za tę łaskę Polacy łatwiej się pogodzą nawet z ograniczeniem swobód konstytucyjnych.

Wreszcie w marcu 1829 roku zapadła decyzja: wyrok został zatwierdzony; dwaj spośród skazanych, Krzyżanowski i Majewski, jako rosyjscy poddani mieli być jednak odesłani do Petersburga i tam stanąć przed rosyjskim sądem; Senat otrzymywał "une mercuriale". Cesarz decydował się jechać do Warszawy i odbyć tam koronację, od której dotąd się wzbraniał i wyrażał się z lekceważeniem i odrazą o tym obrzędzie.

Senat w głuchym milczeniu wysłuchał odczytanej admonicji. Podsądnych, z wyjątkiem dwóch wspomnianych, uwolniono z więzienia. Sprawa skończyła się dużym zwycięstwem moralnym Senatu i umocnieniem porządku konstytucyjnego w Królestwie. Była to, jak stwierdza Handelsman, wygrana Czartoryskiego. Była zarazem katastrofalna przegrana Konstantego naraz wobec cara i wobec Polaków.

W swych rozważaniach nad stosunkiem Konstantego do sprawy polskiej Askenazy dochodził do wniosku, że źle się stało, że go Czartoryski swym autorytetem nie poparł, że się z

nim nie związał. Istotnie Konstanty, niedoszły cesarz i król, niedoszły wicekról, teraz w niełasce i poróżniony głęboko z carem a zakochany na zabój w Polce, w wojsku polskim i litewskim, a potrosze i w Polsce, pieniący się o jej byt państwowy i złączenie z Litwą, mógł być cennym atutem w polityce polskiej. Atut ten przepadł nie tylko dlatego, że zbyt mało wiedziano co naprawdę czuje i czego chce "cesarzewicz". Swym własnym postępowaniem teraz ostatecznie ugruntował się on w oczach ogółu polskiego w roli "tyrana". Od początku ściągał na siebie jak piorunochron całą nienawiść ku rosyjskiemu władztwu nad Polską. Uparcie trzymając się Nowosilcowa, przez to samo odpychał Czartoryskiego, w którym zresztą widział w tej chwili przestępcę stanu. Po burzliwej rozmowie książę zerwał wtedy z Belwederem. Sprawa między Polską a Konstantym zbyt tragicznie była już powikłana i zbliżała się katastrofa.

II.

Systemat polityczny Czartoryskiego

Sprawa Sądu Sejmowego wyniosła bardzo wysoko autorytet polityczny Księcia Adama. Zbieg okoliczności sprawił, że z tego właśnie czasu pochodzi dzieło, w którym wyłożył swój program polityczny tak gruntownie, jak niewielu mężów stanu było udziałem, "Essai sur la Diplomatie"*)

Powstało to dzieło zanim święte Przymierze zaczęło się rozkładać, zanim stan rzeczy po-kongresowy nadwyrężyła wojna rosyjsko-turecka, zanim zarysowało się wyraźnie oblicze duchowe Mikołaja. Pisane oględnie, nie przewidywało ani nie domagało się na pozór zmian rewolucyjnych. Ukazało się zaś w przeszło trzy lata później, w chwili gdy rewolucja lipcowa zdawała się burzyć cały europejski status quo i gdy to, co w książce mogło się widzieć aktualne, już zdało się na pozór wyprzedzone przez wypadki. Właściwy zaś program księcia zbyt był dalekowzroczny dla tamtego pokolenia polityków i zbyt uniwersalistyczny. "Essai" przeszło bez echa, posiew jego myśli padł na twarde ugór; ale nie zmniejsza to jego znaczenia jako politycznego credo księcia Adama.

Za punkt wyjścia brał, za Monteskiuszem, stojące przed wszelkimi innymi prawami "prawo natury". Występował z aktem oskarżenia przeciw dyplomacji o pogwałcenie tych praw. Atakował zło, które sprawiła, odkąd hipokryzję dołączyła do gwałtu. Duch wojenny zdolny jest wyzwalać najszlachetniejsze zalety. Duch dyplomatyczny, to tylko zachłanność, nieufność i zawiść. "Polityka regulująca stosunki między narodami — pi-

*) Essai napisane w 1825 - 7 wyszło w druku jako *Manuscrit d'un Philhellène* z przedmową i staraniem M. Toulouzan'a w Marsylii w 1830. Przytoczony w przedmowie fikcyjny list autora, datowany w 1827 r. sygnowany jest inicjałami L. P. (Ludwik Plater?). Istotne autorstwo starannie ukryte, nawet kosztem powagi autora, przedstawione jako awanturniczy, błędny rycerz swych idei.

sał dalej — była na ogół wrogiem zaciekłym rodzaju ludzkiego i główną przyczyną jego nieszczęść".

W wywodach historycznych, raczej optymistycznie osądzając odleglejszą przeszłość, odnajduje nawet w polityce monarchii starożytnego wschodu uczciwość i poczucie słuszności, obce późniejszym czasom; podobnież słaui szlachetną prawość we wczesniej historii rzymskiej — wini Katona Starszego, że w polityce zewnętrznej wyzbył się uczciwości i litości i sądzi, że Rzym drogo zapłacił za porzucenie zasad ludzkości i prawa. Wskazuje na olbrzymią rolę chrześcijaństwa: "Równość przed Bogiem prowadziła do równości przed prawem". "Chrześcijaństwo zniwelowało próżności ludzkie i uznało jedynie wyższość dobroci i poświęcenia... Zamieniło nawet w prawo pozytywne prawo naturalne, łączące ludzi..."

Wyrzuca polityce Watykanu, że nie zawsze kierowała się duchem miłości i poświęcenia, wyraźnie podnosi ujemne konsekwencje władzy doczesnej papieży, zeświecczenie ich dyplomacji, — wskazuje na konieczność ich pogodzenia się z przyszłą jednością Włoch. Idealizuje traktat westfalski, który na stulecie stał się "kodeksem dyplomatycznym Europy".

Tym mocniej uderza w dyplomację następných wieków, w politykę krwawych rozbojów pod złudnym pozorem równowagi europejskiej; w zasadę "bierzcie, ale i mnie pozwólcie brać"; koncepcję podziału Europy między dwóch mocarzy pod pozorem utrzymania jej równowagi (tu bije w traktat tylżycki). Z wielką siłą wyrazu wskazuje na zgubne dla Europy następstwa rozbiórów Polski przez rozkładowy ich wpływ na moralność polityczną, i przez solidarność współników — która nawet Napoleona przetrwała, "tak mocne i nierozzerwalne są więzy wspólnej zbrodni". Ta ich solidarność zapobiegła — jak napomyka — szlachetnym zamiarom monarchów o dobrej woli i niewinnych przestępstwom swych poprzedników, "stałe stawiając im przed oczyma widmo Polski podnoszącej się z grobu".

Nie atakując wyraźnie całości dzieła Kongresu Wiedeńskiego, uderzał w wywody o nim Pradta, u którego "polityka jest rzeczą zupełnie odrębną od religii i moralności". Uderzał w pogląd Kanta, że podstawą wiecznego pokoju winno być uznanie zasady status quo. Dokonano przecież w Europie grabieży, one należą do status quo, który starało się utrwalić święte Przymierze. "Pokój sankcjonujący nieprawości nie może być pokojem wiecznym".

Po tym historycznym rzucie oka, Czartoryski przechodzi do własnej teoretycznej budowy. Uzasadnia głęboko przyrodzone prawo narodów do niepodległego bytu. Jeśli jakiś naród nie jest niepodległy, znaczy to, że mu wolność odebrano aktem niesprawiedliwym, nie mającym żadnej wartości wobec prawa natury. Żaden naród nie może być panem drugiego narodu. Narody muszą poddać się wspólnemu prawu rodzaju ludzkiego, zasadom sprawiedliwości i moralności. Z tego punktu widzenia rozważa kolejno wielkie zagadnienia spraw międzynarodowych.

Uderzają jego wywody o sprawie Indii. Biję Czartoryski w monstrualny stan rzeczy, w rządu nad tym olbrzymim krajem kompanii kupieckiej, domaga się, by rząd brytyjski przejął na siebie odpowiedzialność za to państwo wraz z obowiązkiem doprowadzenia tego kraju do takiego stanu cywilizacji, w którym by można sprawy jego we własnych jego zostawić rękach, a związać ze sobą ten kraj wspomnieniem wyświadczonego mu dobrodziejstwa i jego oswobodzenia. Podobny rozwój przewiduje w koloniach: gdzie rozwija się poczucie jedności i odrębności narodowej, należy uznać ich prawo do bytu narodowego.

Zasadzie legitymizmu monarchicznego, którą Talleyrand cynicznie grał na kongresie, przeciwstawia Czartoryski zasadę legitymizmu narodów, "najstarszą i najoczywistszą, najszanowniejszą". Dla narodu jego byt cywilny to państwo; jest ono jego poświęconą własnością, nabytą w ciągu wieków istnienia i żaden inny naród targnąć się na nią nie ma prawa. Pogardliwie rozprawia się Czartoryski z wszystkimi pretensjami do podporządkowania praw narodów względem geograficznym czy innym interesom mocarstwowym. Idą po sobie rozdziały wykładające, że sumienie musi dojść do głosu w gabinetach, że podporządkowanie się prawu naturalnemu jest powinnością narodów podobnie jak jednostek, że niesprawiedliwość nie oplaca się narodom, a państwo-grabieżca prędzej czy później "wypije kielich zatruty, którym raczyło innych". Na przykładzie Napoleona wykazuje Czartoryski "nicość wszystkiego, co nie jest cnotą". "Aby być niezwykłym potrzebował jedynie szczypty sprawiedliwości i dobroci".

Niezmiernie ciekawe tu uwagi o wojnie 1812 roku: byłby ją wygrał, gdyby odbudowanie Polski wziął za cel, a nie zniszczenie Rosji.

Ale najgłębsze są wywody o tym, jak panowanie nad Włochami jest słabością, a nie siłą Austrii, a panowanie nad Polską — przekleństwem Rosji, źródłem toczącej ją korupcji i rozkładu. Wskazuje Czartoryski czym jest zatrucie atmosfery politycznej niewolą, jak rodzi ona obustronną nienawiść, paczy charakterzy zarówno ujarzmiających jak i ujarzmionych.

Następuje przypomnienie haseł wyzwoleniczych, z jakimi monarchowie wzywali narody do walki z Napoleonem, przypomnienie mglistych oświadczeń Świętego Przymierza o dobru powszechnym Europy i świata. Był to zwykły frazes bez ustalonej wartości — "Vox, vox, praeterea nihil". Sprawa narodów ujarzmionych nie posunęła się odtąd naprzód. Tylko walka Grecji o niepodległość poruszyła sumienie Europy.

Z goryczą zawodu zwraca się Czartoryski do Anglii. Prawa jej techną wolnością, uczciwością, ludzkością a "polityka jej zagraniczna bywa nacechowana niesprawiedliwością, ambicją, niemal okrucieństwem". Z jej pozycji insularnej wynikała walka przeciw potędze kontynentalnej najbardziej zaborczej. Walka Anglii z Napoleonem była "długa i wielkoduszna"; Anglia "sama jedna walczyła o niepodległość Europy przeciw całej

ujarzmionej Europie". Ale po upadku Napoleona Anglia nie poczuwała się do obowiązków i nie zdała sobie sprawy z korzyści wynikających z jej położenia. Okazała chrześcijańskiego ducha w sprawie niewolnictwa, ale "niewiarygodną obojętność na los, który sprawiono kontynentowi europejskiemu", zupełną obojętność na dalsze akty gwałtu przeciw wolności narodów.

Domaga się Czartoryski, by każdy naród miał możliwość odrębnego bytu, zapewnioną niepodległość, granice i dostępy do morza niezbędne dla obrony i handlu, by mógł swobodnie ustanowić sobie rząd jaki mu odpowiadać będzie, ażeby mógł być moralną osobą w wielkim zrzeszeniu ludów. A skoro stan obecny jest odmienny, należy dążyć do jego przeobrażenia dalekowszecznie, w duchu tolerancji, pokoju, umiarkowania.

Książka wypowiada się za unikaniem wojny, ale gdy jest fakt zbrojnego gwałtu celem ujarzmienia narodu, wówczas narzuca się obowiązek interwencji. Tu książkę Adam jakby przeaczał sytuację Polski w 1830 - 31. Zalecając też unie i federacje jako praktyczne wyjścia pojednawcze, wyraźnie wskazywał na niepewność takich rozwiązań, gdy dysproporcja sił między kontrahentami zbyt wielka; wtedy poszanowanie zupełnej odrębności przyłączonego mniejszego narodu zależy od widzi mi się mocniejszego. Tu znowu czynił aluzję do Rosji i Polski.

Pozytywny program rozwijał w formie przypomnienia "wielkiego planu" Sully'ego jaki rzekomo był przyjęty za wspólną wytyczną dwojga wielkich monarchów: Henryka IV i Elżbiety. Program to reorganizacji Europy przez pogodzone Francję i Anglię, w duchu sprawiedliwości i solidarności narodów należących do zachodniego chrześcijaństwa. Coś jakby dzisiejszy "Pakt Atlantycki" ze "Zjednoczoną Europą" jako celem. Tamten, dawny plan zmierzał do poniżenia domu austriackiego, jako dążącego do "światowego panowania". Czartoryski akceptował tę tendencję, wykazując z dużą siłą, argumentacji nienaturalność podstaw Austrii jako mocarstwa.* Wypowiadał się za niepodległością Włoch zjednoczonych, Czech, Węgier, za rekonstrukcją wolnych Niemiec bez Austrii. Rysował w ten sposób nieomal mapę Kongresu Wersalskiego. O Prusach wyrażał się oględnie, dopuszczał myśl o ewolucji tego drapieżnego i zaborczego państwa w duchu praworządności i liberalizmu. Było to wielkie złudzenie tego ćwierćwiecza.

Powołując się na pomysł Sully'ego Rady Najwyższej i Stowarzyszenia Amfiktionów z siłą zbrojną wspólną, szkicował plan Ligi Narodów jako rękami sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych i bezpieczeństwa zbiorowego. Przechodził do Polski, której plany Henryka i Elżbiety wyznaczały rolę ośrodka dla zrzeszenia narodów Europy środkowo-wschodniej; wreszcie do Rosji, potęgi wyolbrzymiałej długo po zgonie Henryka i Elżbiety, ciężącej dziś nad Polską, Szwecją i Turcją. Przypominał

* Ustępny przeciwnapoleońskie a także przeciwaustriackie książki wydają się po 1831 roku politycznie niedogodne i przeszkadzają ujawnieniu się autora i reedycji Essai.

wielkie idee Aleksandra I (w istocie swoje własne) pokrewne tamtym i jakby zachęcał mocarstwa Zachodu, by w ścisłym między sobą porozumieniu i współpracy starały się dla swych wielkich zamiarów pozyskać Rosję — zamienić, jakbyśmy dziś powiedzieli — przyjazne porozumienie w porozumienie potrójne.

Pełno było w tych wywodach przyszłości. Czartoryski wyprzedził swój wiek, niekiedy o dwa lub trzy pokolenia, z zadziwiającym na ogół jasnowidzstwem. Ale nie było tu jeszcze jawnego uderzenia w unię polsko-rosyjską, postulat oddzielenia Polski od Rosji. Czy Polska, zgodnie z intencjami Aleksandra wzmocniona o ziemie zabrane, pozostać miałaby pod berłem królewskim carów? Czy szukać należy innych rozwiązań? — Jest dyskretna aluzja w "Essai" do koncepcji unii personalnej z Prusami, co wiąże się zarówno z rzekomym liberalizmem Prus, jak z koniecznością dostępu Polski do Bałtyku. O tych sprawach autor nie mówi wyraźnie, mocno tylko zaznaczając prawa Polski i kluczową jej rolę w tej części Europy.

III.

Wódz opozycji w przededniu rewolucji

Liberalny mąż stanu, nawykły działać przekonywaniem, perswazją, poparciem innych, odwoływaniem się do opinii, zwolennik ewolucyjnych zmian w duchu zdrowego postępu, nie był Czartoryski człowiekiem rewolucji. Był jednak teraz właśnie, w latach 1829 - 30, faktycznym przywódcą narodu dochodzącego — jeszcze na pokojowej drodze — swoich praw. Rozdział jego biografii, mówiący o tych czasach, zatytułował Handelsman "Wzrost popularności". Trudno o tytuł gorzej dobrany. Niech mówi za księcia Adama jego młody siostrzeniec, porucznik Władysław Zamoyski w liście do matki: "...Wuj niegdyś znosił niechęć publicznej opinii i nie zawiódł się, ale pragnienie utrzymania jej łaski jest dla niego rzeczą podrzędną.*") Wzrost popularności był niewątpliwym — ale nie o to szło.

Gdy w maju 1829 roku Mikołaj zjechał na koronację do Warszawy, powstał w Szkole Podchorążych i wśród niektórych członków Towarzystwa Patriotycznego zamysł wojskowego zamachu, tak zwany spisek koronacyjny, unieśmiertniony w "Kordianie"; niewiele o nim wiedzieli współcześni, nikłe doszły nas jego ślady, choć nie był legendą. Handelsman cytuje słowa jednego z uczestników: "Jedno słowo Czartoryskiego lub Bieleńskiego wyrzeczone do narodu byłoby cały kraj uzbroidło" — i jakby winił księcia Adama, że natchnął odpowiedź Niemcewicza spiskowym, prawie taką, jak słowa "prezesa" u Słowackiego.***) Warto posłuchać samego Czartoryskiego:****)

*) *Jenerał Zamoyski*, I 348 (lipiec 1830).

**) "Prezesem" w *Kordianie* jest jednak, jak wskazują Askenazy i Tokarz, raczej faktyczny prezes Komitetu Centralnego Towarzystwa Patriotycznego, kasztelan Stanisław Sołtyk; być może jednak, że poeta słowa Niemcewicza włożył mu w usta.

***) *A. Czartoryski, Żywot J. U. Niemcewicza*, Paryż 1860, 216 - 17.

"Podczas koronacji nie tajno jest, jaka myśl zajęła niektórych z naszej młodzieży. Wiedząc, że cała rodzina carska co do jednego się zbiera na tę uroczystość do Warszawy, zamierzali, rolli oni wszystkich razem zabrać i przyprowadziwszy tym rząd moskiewski do największego zamieszania i anarchii zacząć natychmiast powstanie, przy trwającej właśnie i nie wiodącej się wojnie tureckiej. Moment niezawodnie był i daleko dogodniejszy i obiecujący pomyślniejsze skutki, niż wybrany na końcu następnego roku. Młodzi ludzie przyszli do Niemcewicza dla zwierzenia mu się i dla zasięgnięcia światła w jego doświadczeniu i patriotyzmie. Pytali go, czy godzi się, czy należy odważyć się na taki czyn, który nie mógł się dokonać bez zażartego na miejscu sporu, bez wylania krwi i narażenia mężów niewinnych co zaufali szlachetności narodu.

Niemcewicz odradził młodym Polakom przedsięwzięcie, które by plamą sprzeniewierzenia i okrucieństwa nacechowane było w dziejach i sądzę, że dobrze, przeczornie i sumiennie uczynił. Okoliczności wprowadzić były przychylnie do rozpoczęcia powstania: ale nie trzeba było zaczynać od srogiego, zapamiętałego i zdradliwego czynu, który by i naród rosyjski i inne kraje oburzeniem i zgrozą był napełnił i sprowadził na Polskę tak Moskwy, jak jej sprzymierzeńców żądzą zemsty zapalone siły i słuszną naganę powszechną i całego świata potępienie. Naród w takim razie, opierając swoje ocalenie na zdradzie i srogości, postąpiłby przeciw własnemu wrodzonemu charakterowi, a to się nigdy nie udaje, straciłby czystość dochowaną, szlachetność i zacność, które stanowią wyższość i jedyną siłę jego sprawy.

Przyczyniając się do uchylecia tego zamysłu, Niemcewicz osłonił Polskę od klęsk większych i sroższych niż te, co na nią wkrótce spadły i które nie byłyby łagodzone szacunkiem i sympatią ludów, lecz owszem ich odrazą pogorszone".

Istotnie, jest co najmniej prawdopodobne, że zamach skończyłby się był egzekucją na Polsce, dokonaną wspólnymi siłami trzech rozbiorców przy zakłopotanym przyzwoleniu Zachodu. Poza tym jednak nie zdaje się, by spisek był wtedy istotnie rozgałęziony, a nastroje rewolucyjne — nie należały ich utożsamiać z opozycyjnymi — dość silne. Trudno doprawdy było się spodziewać od starych politycznych przywódców, by inicjatywę tę arcyryzykowną i niedojrzałą brali w swoje ręce.*)

Książę Adam stał w czasie koronacyjnej wizyty Mikołaja na uboczu. Z cesarzem długo i szczerze mówił Zamoyski w obecności Lubeckiego, skarżąc się na w. księcia i Nowosilcowa, na akty bezprawia; upominał się nawet o uwolnienie Łukaszińskiego. Według Lubeckiego "nie można było powiedzieć cesarzowi ani więcej ani lepiej". Cesarz zastrzegł się, że przeciw bratu nic nie zrobi. Odnoszono jednak wrażenie, że gdy idzie o porządek

*) O zamierzeniach powstańców 1829 roku i późniejszych 1830 wzięcie, a najtrafniej Askenazy *Rosja — Polska* (1909) i w *Cambridge Modern History* t. X. 464-6; porówn. W. Tokarz, *Polska, jej dzieje i kultura*, t. III.

prawny, można odwoływać się do Mikołaja. Zarazem stwierdzano jaki kładzie on nacisk na granicę, którą mu zakreślała jego obowiązki jako cesarza rosyjskiego; wyraźnie dawał do zrozumienia, że Aleksander przekraczał te granice. Z przygnębieniem spostrzegano, że w sprawie ziem zabranych mówić z nim niepodobna. Przynajmniej jednak był konstytucyjnego Królestwa stawał się nieco pewniejszy, a sejm — wbrew postanowieniom konstytucji nie zwoływany od 1825 roku, zapowiedziany był na rok przyszedłszy.*)

Zamoyski głosił cierpliwość, wytrwanie do lepszych czasów. Nalegano z tej strony na księcia Adama, by zajął swe miejsce w Radzie Administracyjnej, od której się był usunął od początku.***) Nie mógł on oczywiście przyjąć współodpowiedzialności za dalsze rządy faktyczne Konstantego i Nowosilcowa. Natomiast godził się zapewne z poglądem szwagra, że trzeba unikać wszelkich wystąpień o charakterze manifestacyjnym czy protestacyjnym, dochodzić praw w formie nie drażniącej samowładcy, oswajając go stopniowo z trybem konstytucyjnym i przekonywać do systemu reprezentacyjnego.

Tak pokierował Czartoryski sejmem 1830 roku. Był wezwany zaraz na początku do cesarza, "z rzadką traktowany łaskawością", upewniony o najlepszych chęciach; cesarz dozwalał dyskusji, "wnoszenia skarg nawet".***) "Sejm ten — wspominał Władysław Zamoyski — odznaczył się duchem niepodległości, dając zarazem niezaprzeczone dowody roztropności i umiarkowania". Doszła do głosu opozycyjna postawa kraju, krytyka samowoli w rządzeniu i nadużyć. Chwilami groziły ze strony Mikołaja gwałtowne reakcje, zwłaszcza gdy sejm nie po raz pierwszy odrzucał wniosek rządowy w sprawie rozwodów; tak bowiem paradoksalnie ułożyły się sprawy za Królestwa, że sejm i cała "oświecona" opinia stawały oporem przeciw postulatowi kleru katolickiego mającym poparcie rządu, Nowosilcowa, Wielkiego Księcia i obu monarchów, że to stało się bezpośrednim powodem groźnego kryzysu 1820 roku, a teraz, po latach dziesięciu, groziło nowym. Zdołano przecieżyć wytłumaczyć Mikołajowi, że to wypadek codzienny w państwach konstytucyjnych, że jakiś rządowy projekt nie przejdzie. Ścierpiało na nawet szereg petycji wyraźnie politycznych, między innymi o uwolnienie Łukasiewicza. Zachowywał się, jakby "zgadł jak trzeba być z Polakami".****)

Odnosił się też z poprawną rzeczowością do złożonego mu raportu Senatowi z krytycznymi uwagami o rządach krajem w ostatnich 5 latach, a właściwie za cały czas istnienia Królestwa. Uwagi te powstały pod kierunkiem Czartoryskiego, były prze-

*) Polityczna strona wizyty koronacyjnej Mikołaja oświetlona we wspomnieniach Władysława Zamoyskiego, *Jenerał Zamoyski I*, 279-288.

***) Listy Władysława Zamoyskiego do księcia Adama 10 listopada 1829 roku. 22 marca 1830 r., o. c. I, 308-8, 328-9.

****) Niemcewicz, *Pamiętnik z 1830 - 31*, Kraków 1909, Str. 20.

*****) Niemcewicz, o. c. 25; por. *Jenerał Zamoyski I*, 332-339.

ważnie jego dziełem. Zwracały się przeciw przerostom biurokracji i centralizmu; upominały o przywrócenie rozwiązanej od 1822 roku wojewódzkiej rady kaliskiej, o wykonanie postanowień konstytucji o budżecie; zalecały usprawnienie Rady Stanu jako organu przygotowującego prawa; zachęcały by dopuszczać rady czynników i organizacji społecznych; upominały się o potrzeby szkół i Uniwersytetu, wskazując na niedomogi i objawy cofania się oświaty; upominały się o przywrócenie wolności prasy, jeśli zaś monarcha chce mieć cenzurę, niechże odda ją w godne ręce ludzi szanowanych i świątliwych. Uwagi rozstrząsały sprawy społeczno - gospodarcze w duchu liberalizmu, swobody inicjatywy prywatnej; podnosiły kwestię żydowską, ale ze szczególną siłą stawiały na porządku dziennym sprawę włościańską.)*

Od początku Królestwa leżała ona na sercu Czartoryskiemu. Poczynał się w tym względzie do długu moralnego względem Kościuszki, patrzył "na włościan jako na równych nam ludzi". Był przekonany zwolennikiem zamiany pańszczyzny na czynsze, stopniowego uwłaszczenia.

Przy tworzeniu Królestwa samo postawienie tego zagadnienia przez powołanie komisji do reformy włościańskiej i rozpisanie ankiety wywołało silną reakcję Rad Departamentowych nie tylko przeciw reformom w tym duchu, ale nawet przeciw tej wątpliwej wolności osobistej, jaką dała chłopom konstytucja Księstwa. Wskutek odsunięcia Czartoryskiego od rządu, sprawa wyszła z jego rąk; tyle, że przez odpowiednie urządzenie włościan we własnych dobrach Końskowolskich dawał przykład innym, jak rozwiązywać ją po ludzku i po obywatelsku.

Opinia liberalna Królestwa, tak drażliwa na gwałcenie przez rząd poręczonych konstytucją swobód i gotowa wywoływać przesilenie państwowe w obronie rozwodów, obojętna była jednak na gwałt zadawany codziennie wolności i godności ludzkiej mas chłopskich, będących de facto na łasce i niełasce właścicieli, do których należała władza policyjna nad chłopem, a wyzyskiwanych pańszczyzną do niemożliwości.***) W tej najważniejszej dziedzinie umiarkowany na ogół Senat więcej miał zrozumienia dla konieczności czasów i nakazów sumienia narodowego, aniżeli radykalniejsza w innych sprawach Izba Posaelska, gdzie głos Olrycha-Szanieckiego był głosem wołającego na puszczy.

W "Uwagach" Senatowi mówił Czartoryski, że nie z dobrych chęci rządu nie wynikało dla włościan, żadna odmiana ani poprawa; niszczy ich dotąd podatek nadzwyczajny i szarwark

*) *Handelsman, Adam Czartoryski*, 140 - 43, po raz pierwszy stwierdza autorstwo *Uwag* i poddaje je analizie, niestety bardzo zwięźle. Ogłoszenie pełnego ich tekstu z odpowiednim aparatem naukowym byłoby bardzo ważne.

***) Por. Z. Kirkor-Kiedroniowa, *Włościanie i ich prawa w dobie organizacyjnej i konstytucyjnej Królestwa Polskiego* (1912), zwłaszcza 206 i nast., 363, 393-4.

powszechny. "Od lat 15 rząd nie uczynił ani jednego, choćby najmniejszego kroku, nie przedłożył Izbom ani jednego środka zmierzającego do poprawy lub ustalenia losu włościan". Nic nie zrobił dla podniesienia i polepszenia ich stanu w dobrach narodowych "przez co by najskuteczniejszy dał przykład właścicielom ziemskim, których przekonanie i pomoc byłyby nader potrzebne do wszelkich zamierzonych w tej rzeczy urządzeń". Senat apelował do monarchy, by zajął się "tym może ze wszystkich najzbawienniejszym dla ludzkości i kraju przedmiotem".

Król Mikołaj rozstał się ze swą polską stolicą w nastroju pokojowym, wśród pozorów dużej stabilizacji porządku konstytucyjnego; gdy jednakże Zamoyski znowu ostrzegał w rozmowie kanclerza Nesselrodego i ministra policji Benkendorffa, że trzeba skończyć z rządami Konstantego i Nowosilcowa pokąd nie jest za późno, usłyszał zimne słowa Nesselrodego: "Czy nie sądzi hrabia, że już jest za późno?" Przenikało z otoczenia cesarza, że wielu Rosjan uważałoby jakiś wybuch w Polsce za pożądaną okazję, by skończyć z odrębnością Królestwa, niepotrzebnym i niebezpiecznym wymysłem Aleksandra.

Tym bardziej nie mógł Czartoryski pragnąć powstania i nie spodziewał go się pokąd rewolucja lipcowa w Paryżu nie wywołała wstrząsów rewolucyjnych w Europie i widma wojny Mikołaja z Francją. Zwycięstwo chorągwi trójbarwnej wé Francji samo przez się zelektryzowało Polskę, a związek wojskowy, od 1828 roku mający ognisko w Szkole Podchorążych, zaczął się żywiołowo rozrastać, łącząc się ze szczątkami dawnych organizacji tajnych. Nie jest jasne w jakim stopniu organizacja ta powiązana była z francuskimi; kiedyś Towarzystwo Patriotyczne za pośrednictwem Kniaziewicza w Dreźnie utrzymywało kontakty z Paryżem; teraz były zapewne inne, przez Leonarda Chodźkę, przebywającego od lat w Paryżu, związane z Węgłarstwem, a w walkach lipcowych adiutanta Lafayette'a.

Tędy, jak przyjmuje Askenazy, przyszła do Warszawy zachęta do wystąpienia. O ile zaś w spisku warszawskim przywódca podchorążych Piotr Wysocki miał skrupuły co do wyboru chwili i co do szans powodzenia, do wybuchu parł bezwzględnie Józef Zaliwski, fanatyczny, zaślepiony, a niewątpliwie należący do Węgłarstwa. Jest co najmniej możliwe, że on właśnie reprezentował w Warszawie "Wielki Namiot" paryski. Badania Askenazego, Tokarza, Handelsmana, pozostawiają tu wiele nie wyswietlonych tajemnic, których nikt już zapewne nie wyświeieli.*)

Mikołaja wzburzyły do głębi wypadki paryskie, choć winił Karola X, którego ostrzegał na próżno przed krokami nielegalnymi. Od razu zarządził wstrzymanie urlopów, postanowił postawić armię na stopie wojennej, Konstantego uprzedzał, że w razie wojny ruszy ma z wojskiem polskim i korpusem litewskim, wzmocniony dalszymi korpusami. Konstanty ostrzegał przed

*) Zagadnienie tych podziemnych międzynarodowych powiązań i ośrodków dyspozycji w dobie pokongresowej, a zwłaszcza w r. 1830, absorbowano Askenazego, szczególnie w ostatnich latach jego życia.

wojną, upierał się przy urlopowaniu wysłużonych żołnierzy, czas potrzebny do osiągnięcia gotowości mobilizacyjnej liczył aż na trzy miesiące. Co ważniejsze, król pruski wezwany do współdziałania, również do wojny się nie spieszył, a z Paryża przychodziły zapewnienia o pokojowych intencjach księcia Orleańskiego; nowy stan rzeczy uznała Anglia i Austria.

Cesarz zachwiał się w zamiarach wojennych, było uspokojenie, gdy wybuch powstania w Belgii wywołał decyzję i stanowcze zarządzenia dla Konstantego. Próżno cesarzewicz wciąż odradzał wskazując na postępy liberalizmu w całej Europie, na ogólną wrogość jaką wywołałaby interwencja i cytując słowa Aleksandra z 1812 roku: "Bóg przeciw napastnikowi!"

Mikołaj pisał 18 października, że jest prawie niemożliwe, by się obeszło bez wojny powszechnej; wyrażał stanowczą wolę, by Konstanty sam ruszał ze swymi wojskami, choćby nie całkiem były gotowe, i zapowiadał mu rozkazy mobilizacyjne. Przewidziany na wodza naczelnego armii feldmarszałek Diebitsch udawał się do Berlina, skąd miał przybyć do Warszawy i objąć dowództwo całości armii, sam Konstanty wymawiał się bowiem od dowodzenia i głośno u siebie oświadczał, że wojować ani myśli, że to nie dla niego robota...*) Z wykonaniem zarządzeń co do wojska polskiego czekał na wskazówkę Diebitscha. Przyszła po jego myśli, z porady króla pruskiego: nie mobilizować wojska polskiego, tylko korpus litewski.

Cesarz przyjmował to do wiadomości z niechęcią: będzie to przeciw upokorzenie dla armii polskiej, dowód braku zaufania.***) Dnia 13 listopada dał rozkaz mobilizacji z gotowością na 22 grudnia.

Działała tymczasem wiadomość o grożącej wojnie, o grożącym wyruszeniu wojska polskiego i użycia kraju jako rosyjskiej podstawy operacyjnej. W oczach ludzi nawet najbardziej skłonnych, by trwać w przymusowym związku z Rosją, oznaczało to długą okupację rosyjską i faktyczne rządy wojskowe, z małą szansą, by ostały się po nich odrębne instytucje państwowe Królestwa. Perspektywy zaś walki przeciw Francuzom, niedawnym towarzyszom broni, czy Belgom, walki o sprawę monarchów przeciw narodom — wywoływała głęboki wstrząs wśród wojska i młodzieży.

Działało sprzysiężenie, zdecydowane przeciwstawić się temu czynnie. Był już oznaczony na 18 czy 20 października termin wybuchu. Na wiadomość o odprężeniu w stosunkach mocarstw do Francji odłożono termin do wiosny; ale październikowe targi między cesarzem a w. księciem przenikały do wiadomości spiskowych i znowu ważyły się decyzje.

Nazbyt doświadczonego dyplomata był książę Adam, by nie widział jasno, że wybuch powstania polskiego automatycznie usunie niebezpieczeństwo wojny europejskiej, uchroni Zachód

*) *Jenerał Zamoyski, I. 352.*

***) *Korespondencja Konstantego z Mikołajem Sbornik, t. 132, str. 35 - 93.*

od interwencji rosyjskiej, Prusy od udziału w wojnie, której nie chciały, a Polska będzie pozostawiona losom własnym.*) Dnia 23 października zaproszony do Konstantego, który szukał jego pomocy w utrzymywaniu spokoju w kraju, umocnił go zapewne w opozycji przeciw mobilizowaniu armii polskiej, co mogło spowodować wybuch; zalecał również jak największą ostrożność w ściganiu ewentualnych konspiracji, by — jak to się stało w 1794 — nie postawić ich w sytuacji przymusowej, z której jedynym wyjściem jest wystąpienie zbrojne. O sprzysiężeniu i że liczą na niego i generała Chłopickiego, wiedział przez siostrzeńca Zamoyskiego, a zapewne również przez Hipolita Błotnickiego, wychowawcę starszego synka i przez Karola Sienkiewicza, bibliotekarza puławskiego; obaj byli związani ze środowiskiem młodej inteligencji spiskowej. "Z nikąd — stwierdził publicznie książę po latach — nie dochodziły do mnie żądania kierunku lub zwierzenia się, lub też oświadczenia względem potrzeby głównego naczelnika***); jednak jest możliwe, że Błotnicki czy Sienkiewicz rozmawiali z Lelewelem, wtedy już patronem sprzysiężenia, a może już (jak później w Paryżu i Brukseli) głową polskiego Węglarstwa. Na pewno radził książę czekać z decyzją aż się sytuacja europejska wyklaruje i z tym wyjechał do Puław. Chłopicki odpowiedział na sondaże brutalnie, słowami które powinny być położyc kres jego legendzie jako przyszłego wodza powstania.***)

Tymczasem w pierwszej połowie listopada zdrada dwóch spiskowych wydała w. księciu i policji tajnej znaczną część jego tajemnic z niemi wodzącymi do przewódco. Konstanty niechętnie powołał komisję śledczą pod przewodnictwem zanego człowieka, generała Stanisława Potockiego. Dochodzenia wdrożono, prowadząc je po ludzku, bez nacisku i pośpiechu; do Petersburga raportował Konstanty 15 listopada; w liście do brata z góry błagał o łaskę, a co najmniej o pobłażanie dla winnych. Sam bezczynny, odwlekał ku desperacji Nowosilcowa i Roźnieckiego rozkaz uwięzienia przywódców. Pisał o tym do księcia Niemcewicz 17 listopada z dużym niepokojem, by porywcze zarządzenia cesarza nie zaostrzyły sytuacji. Dodawał również, że "Panu naszemu chce się wojny, ale go brat przezorny wstrzymuje od niej.***)

Tak zarysowujące się położenie skłoniło Czartoryskiego do powrotu do stolicy, gdzie tymczasem daleko potoczyły się rzeczy. On jeszcze doradzał Konstantemu unikać represji, odwlekać mobilizację i jeszcze starał się zahamować sprzysiężenie. Ale już zaznaczało się to samo zjawisko co za Kościuszki: sprzy-

*) Co do tego charakterystyczny list Wł. Zamoyskiego do M^{le} d'Arnaud, paryskiej agentki jego i księcia Adama, 16 grudnia 1830, *Jenerał Zamoyski*, II 24 - 61. Porównać z tym warto uwagi Leona Sapiehy, *Wspomnienia* (1913), str. 111-12.

**) Mowa z 29 listopada 1841, *Mowy*, str. 47.

***) O sondażach Zamoyskiego, jego zapiski T. I. 362-4.

****) Niemcewicz do ks. Adama, 17 listopada 1830 (*Czartoryski, Żywot J. U. Niemcewicza*, 360).

siężenie jest jak mina, gdy poruszona — wybucha. Spisek, częściowo wykryty, zagrożony zagładą, był w gorączce działania. Prózno Wysocki odsuwał terminy, a Leleweł oponował przeciw wystąpieniu; Zaliwski wziął już zupełnie górę. Ustalono 26 listopada, że nie można odkładać. Termin oznaczono na 10 grudnia. Nazajutrz przeniknęła jednak wiadomość, że cesarz nakazał uwięzić wszystkich skompromitowanych i sądzić sądem woj-skowym. Zapadły pospieszne decyzje, by uprzedzić aresztowania uderzeniem pod noc 29 listopada.*)

Zaliwski zaparł decyzję napadu na Belweder, zgładzenia w. księcia. Tragiczna to była decyzja, skoro Konstanty właśnie teraz, gdy godzić miał w niego bagno spiskowców, nie tylko oświadczał, że jest Polakiem, ale czuł się Polakiem, starał się po swojemu wybraniać Polskę, osłaniać nawet swych niedoszłych zabójców. Jeszcze po zamachu wielokrotnie miał apelować do brata o wspaniałomyślność dla Polaków.***) Sens decyzji sprzysiężonych był ten, jak się zdaje, że zgładzenie Konstantego stawiałoby Polskę wobec konieczności walki na śmierć i życie, bez oglądania się wstecz, bez złudzeń co do jakiegó ugody czy łaski carskiej, bez drogi odwrotu. Ocalenie Konstantego stąpiło ostrze listopadowego zamachu, pozostawiło jakieś pole polityce zanim przemówiły działa, pozostawiło również możliwość zabiegów o pomoc Zachodu.

Biegu wydarzeń i wybuchu książę Adam odwrócić nie był zdolny. Chociaż bez optymizmu co do szans w walce Polski z carem, wybuch jej spotykał spokojną determinacją, by od narodu się nie oddzielać i służyć jego sprawie.***)

IV.

U steru powstania

Gdy 30 listopada po północy młody Zamoyski, wtedy adiutant "cesarzewicza" i od niego wysłany do zbuntowanego miasta, dobijał się do kwatery wuja w późniejszym domu Zamoy-skich na Nowym świecie, sprawa rewolucji była w pół prze-grana: nie tylko ocalał Konstanty i trzymał się w południowej części miasta, ale miał przy sobie znaczną część wojska polskiego; część tylko przyłączyła się do rewolucji; z generałów polskich jedni poległi z rąk bratnich, a wśród nich byli świetni żołnierze jak Blumer i Siemiątkowski, szlachetni patrioci, jak Stanisław Potocki; inni byli przy Konstantym, lub trzymali się na uboczu — żaden nie przystąpił do ruchu.

Miasto było w stanie powstania, ale sprawy jego, Zaliwski i

*) O tym jasno i trafnie Tokarz, *Sprzysiężenie Wysockiego i Noc Listopadowa* (Kraków, 1925) szczególnie str. 46-9, 75-6, 80-102.

**) Jego korespondencja z Mikołajem, *Sbornik*, T. 132, str. 62-3, 72-3, 76-7 etc.

****) Ta myśl przewodnia przewija się przez całą osobistą korespondencję Czartoryskiego i jego bliskich; charakterystyczne również listy Zamoy-skich, *Jenerał Zamoyski T. II.*, zwłaszcza Zofii Z., siostry ks. Adama.

Wysocki, skompromitowani niepowodzeniem, nie mieli dosyć powagi i siły moralnej by ster utrzymać w rękę; sprzysiężenie nie wyłoniło władzy rewolucyjnej, nie przemówiło do ludności żadną proklamacją. Powstanie — zdaniem Tokarza — uratował wówczas Konstanty.*) Mógł je być jednym uderzeniem stłumić. Nie chciał jednak walki z Polakami. Umywał ręce, powtarzał: "Żaden Rosjanin nie wmiesza się w tę sprawę. Polacy ją zaczęli, niech się sami ze sobą rozprawią. Teraz się pokaże, czy zasłużyli na tyle dobrodziejstw..." Albo: "...Ja się do niczego nie mieszam, niech sobie Polacy radzą, to ich rzecz".**)

Stąd wynikła inicjatywa Zamoyskiego, by książe Adam udał się do Sobolewskiego, prezesa Rady, zażądał niezwłocznego jej zwołania i rząd, uzupełniony przez dobranie paru osób mających zaufanie publiczne, ujął znów w ręce władzę leżącą na bruku. Zawiadomiono Lubeckiego, który już z tym samym chciał wystąpić. Po naradzie wysłano Czartoryskiego i Lubeckiego do cesarzewicza, by znaleźć wyjście z sytuacji. Reakcja jego była: niech mi dadzą spokój.

W rezultacie Rada wydała odezwę — jeszcze w imieniu króla Mikołaja, jeszcze traktując to co się stało, jako "równie smutne, jak niespodziewane wypadki wczorajszego wieczora i nocy", wzywając do spokoju i karności obywatelskiej; zarazem zaś oznajmiła o rozszerzeniu swego składu, osobno zaś o powołaniu doń Chłopickiego, o którym wiadziano, że jemu spiskowcy powierzyć chcieli naczelne dowództwo.

Następnego dnia, pod naciskiem dochodzącego wreszcie do głosu obozu rewolucyjnego, raz jeszcze zmieniła skład, usuwając paru zniechęconych serwilistów, a dobierając ludzi tego obozu, jak Lelewel i Władysław Ostrowski; wyłoniła wydział wykonawczy pod przewodnictwem Czartoryskiego.

Dnia 2 grudnia przestawiciele Polski: Czartoryski, Lelewel, Lubecki i Ostrowski rokowali w Wierzbnie z Konstantym. Rozmowa wykazała, że nie ma widoków na to, by w. księcia przeciwstawić carowi; natomiast gotów był na coś w rodzaju zawieszenia broni, gotów przyrzec poparcie żądań polskich u brata i wstawić się o amnestię; sam Lelewel prosił go, by postarał się "u wspólnego ojca dwóch narodów o puszczenie w niepamięć wszystkiego, co zaszło".***)

Tymczasem sprawa pułków polskich, będących przy Konstantym dojrzała do rozstrzygnięcia; dalsze, naciągające do stolicy, łączyły się nie z nimi, ale z powstaniem. Pod groźbą natarcia polskiego Konstanty podpisał 3 grudnia rozkaz, pozwalający wojsku polskiemu na połączenie się pod nową władzą; wezwany do wyjścia z wojskiem rosyjskim ze stolicy, wyruszył w górę Wisły z zamiarem wycofania się za Bug; odwoływał się

*) W. Tokarz, *Wojna polsko-rosyjska 1830 i 1831* (1930), 56-8; T. Morawski, *Dzieje narodu polskiego*, t. VI (1877), 308-9.

***) Generał Zamoyski, I 376-8.

***) T. Morawski, *Dzieje Narodu Polskiego*, T. VI. (1877), 312.

do "prawości polskiej" co do bezpieczeństwa własnego i Rosjan w Polsce.

Tak, przy dużym udziale Zamoyskiego, zdołano uniknąć walki bratobójczej i zespolić wojsko pod władzą narodową. Cena, jaką było wypuszczenie w. księcia, nie zdawało się zrazu zbyt wysoka. Nasuwa się w związku z tym bolesne pytanie, jak można było nie wymóc wtedy uwolnienia Łukasińskiego, uwięzionego aż do nocy listopadowej w koszarach wołyńskiego pułku gwardii i uprowadzonego następnie z tym pułkiem; niedawno sejm się przecieć o niego upominał. Lecz o utrzymaniu go w Warszawie nikt nie wiedział, mniemano, że jest on w Zamościu, dopiero gdy go tam nie znaleziono podjęto daremne starania o jego wymianę.*) Na Łukasińskim wyładowała się zemsta Konstantego za zamach belwederski i wygnanie z Polski.

Tegoż dnia, 3 grudnia, Rada Administracyjna ustąpiła miejsca Rządowi Tymczasowemu z Czartoryskim na czele. Nazajutrz, dzięki inicjatywie i zręczności Zamoyskiego, Modlin bez walki przechodził we władzę powstania; powzięto decyzję, by zatrzymać wielkiego księcia z jego gwardią u przejścia Wisły i skłonić do kapitulacji.

W tym momencie ster wytracony został z rąk Czartoryskiego przez dyktatorski zamach stanu Chłopickiego. Książę Adam pozostał na czele cienia rządu przy dyktaturze, przyjął następnie przewodnictwo w Senacie, prowadzenie spraw zagranicznych, przewodnictwo w Radzie Najwyższej przy dyktaturze. Gdy jednak zdemaskowała się polityka Chłopickiego, zmierzająca do bezwarunkowej kapitulacji, bezwzględnie przeciwstawił się jej (7 stycznia), doprowadził do ponownego zwołania sejmu, który odrzucił ultimatum Mikołaja i tym samym obalił dyktatora. Przy ustanowieniu nowego rządu na próżno starał się o taką jego organizację, by zapewniła sprawność i jedność działania; 29 stycznia zapadła uchwała o rządzie kolegiatnym, pięciogłowym, bez władzy nad wojskiem, gdyż wódz naczelny wybierany miał być przez sejm i przed nim odpowiedzialny.

Nazajutrz książę Adam wybrany został prezesem Rządu. Sprawował ten urząd aż do zaważenia się Rządu wskutek zaburzeń 15 sierpnia.

Nie darowali tego współcześni i potomni Czartoryskiemu, że sam nie stał się od razu dyktatorem rewolucji, że dał się od steru odsunąć, a potem — gdy dyktatura Chłopickiego zdemaskowała się (zgodnie z przywidzywaniem Metternicha) jako "dyktatura kapitulacji" — zamiast sięgnąć po pełnię władzy i wziąć na siebie pełną odpowiedzialność, zgodził się przyjąć cień władzy z ogromem odpowiedzialności, niemoc rządu pokrywać swym imieniem. "Dobrego mało mógł zrobić — utyskuje Barzykowski — bo natura rządu na to nie pozwalała; nawy więc od rozbicia nie uratował, a wszystkie winy i błędy drugich na jego głowę spadną".

*) Niemcewicz, *Pamiętnik z 1830 i 1831 roku*, str. 83. Porównaj Askenazy, *Łukasiński*, (1929) II, 340-42, 336-67.

Wypominali mu to jego ówczesi i późniejsi przyjaciele, stronnicy i cały obóz zachowawczy; nawet siostrzeniec, Zamoy-ski, cierpko pisał o tym świeżo po wypadkach. Wypominali to księciu jako dowód szkodliwej nieudolności jego radykalni przeciwnicy, którzy wtedy zrobiliby byli wszystko, by ulicę przeciwnym książęcy dyktatorskim zakusom podburzyć. Gadon, rodzinnym niemal historyk księcia, bliski współpracownik jego syna, z żalem pisze, że "trzeba nam było dłoni Cromwella" i że "rola jego nie była w naturze księcia Adama". W swych wywodach o roli Czartoryskiego w powstaniu, należących zresztą do najlepszych kart dzieła Handelsmana, również wydaje się on skłonny winić księcia o słabość, brak decyzji, hamletyzm; imputuje mu, że "był natury nie czynnej".

Nie zdaje nam się, by można tak mówić o człowieku, którego ogromna, niezmordowana czynność historyczna zostawiła ślady w dziesiątkach tysięcy dokumentów, tak dobrze zgasłemu historykowi znanych i który przez cały czas wojny 1830 - 31 nie tylko działania nie hamował, ale zawsze się go domagał i technął inicjatywą czynną, przenosząc ją nawet po żołniersku na pola bitew. Zgodzić się możemy raczej, że nie miał natury władczej, ani w sensie dobijania się władzy, ani w sensie narzucania swej woli. Czy mógł jednak sam, formalnie nie wojskowy, zapobiec dyktaturze Chłopickiego przy niesłychanym zaufaniu do tego generała wojska, stolicy, kraju, samychże spiskowych — rzecz raczej wątpliwa. Czy mógł po strasznym skompromitowaniu się dyktatury i jej upadku zapobiec drugiemu z kolei złu — wszechwładzy suwerennego sejmu i wyjęciu z rąk rządu władzy nad wojskiem? Próbował tego bez powodzenia. Może w innych, mniej groźnych dla kraju okolicznościach, wskazane byłoby raczej uchylić się od przewodniczenia rządowi w tych warunkach, ale Czartoryskiemu nie o własny szło autorytet ani rezerwowanie go na przyszłość, ale o służbę walczącej ojczyźnie wtedy właśnie, gdy się rozstrzyga jej "być albo nie być" o odwrócenie klęsk, nie zaś czekanie by potwierdziły się jego niewysłuchane przestrogi. Obejmując prezesurę Rządu Narodowego mówił do Sejmu: "Przyjmuję ten chlubny ciężar waszą ręką nałożony; będę go nosił z duszą mocną i wytrwałą, nie sądząc by wolno komu było uchylić się..." W zaufaniu Sejmu i narodu widział siłę rządu.

Jest zasługą Handelsmana, że rozwiął do reszty legendę o królewskich ambicjach księcia Adama za rewolucji, o które pomawiali go polityczni przeciwnicy, a także — bardzo mocno i uporezywie — car Mikołaj, z sarkazmem piszący do brata o "Adamie I" jako swym następcy, na co Konstanty odpowiadał grubym na Czartoryskim wyzwiskiem.*) Ta legenda zapląca się po trzech ćwierciach wieku do dramatów Wyspiańskiego "Leleweł" i "Noc Listopadowa".

W rzeczywistości książę nie był za proklamowaniem detroni-

*) Sbornik t. 132, str. 115-16, 167-8, 170-72.

zacji, jako za pustym a wzywającym gestem; gdy jednak nastąpiło, traktował sprawę tronu polskiego jako atut w zabiegach dyplomatycznych o pomoc i interwencję obcą. Starał się atut ten wygrać we Wiedniu, w sensie rozwiązania austro-polskiego — mówiąc językiem późniejszych czasów — bardzo zresztą niepopularnego w kraju.*) Znamienna była scena na posiedzeniu rządu, gdy Wincenty Niemojowski z przekąsem się odezwał: "Nie chcą nas Habsburgi — czyż nie mamy Jagiellona?" Na co ks. Adam: "Jagiellonowie oddali już ojczyźnie co mieli; od Habsburgów mieć możemy poparcie, którego nam potrzeba". Była mowa we Lwowie i w Wiedniu o księciu Reichstadt, arcyksięciu Karolu czy innym wyznaczonym przez cesarza; 4 sierpnia wybuchło w rządzie naszym groźne przesilenie na tle uchwały powierzającej niemal losy Polski cesarzowi Franciszkowi I, o co doszło do gwałtownego zajścia między Lelewelem a księciem, pozornie tylko załagodzonego. Ale kandydatury austriackie nie były jedyne. Wysuwał Czartoryski podsuniętą przez Sebastianiego kandydaturę księcia Oranii, sympatycznego dla Anglii i Rosji. Próbował sondować i w Londynie, jak przyjęto by myśl osadzenia przy zmianie dynastii księcia z angielskiego domu panującego na polskim tronie. Zaprzyjaźniony z nim od dawna brat królewski, książę Sussex, "ten zacny, prawdziwy, stały przyjaciel Polski, który jej bronił w parlamencie za kongres wiedeński, a potem występował stale za nami", nie był zapewne obcy tej koncepcji, a Niemcewicz mówił o niej Palmerstonowi i zdawało mu się, że była życzliwie wysłuchana.

Inna legenda, równie daleka od rzeczywistości a jeszcze bardziej zakorzeniona, głosiła jakoby Czartoryski, polegając na układach dyplomatycznych, nie na orężu, hamował wysiłki zbrojny narodu i działania wojenne. Z maniackim uporem głosić to będzie wielu pisarzy emigracyjnych z Lelewelem na czele, choć wiedział on dobrze, że to nieprawda. Mierosławski stworzył teorię o dwóch falcjach: "dyplomatycznej" i "pretoriańskiej" (to jest generalskiej), które pogrzebały sprawę powstania. Odpowiadają na to słowa Czartoryskiego przy objęciu prezesury Rządu: "W orężu, w uzbrojeniu jest nasza terażniejsza nadzieja... Jeśli Pan Bóg da nam pierwsze zwycięstwo, łatwiej będzie działać..."

W korespondencji jego z wodzami naczelnymi jak refren wciąż powraca ta myśl przewodnia, że nie ma szansy układów z przeciwnikiem, pokud nie pobity, że pomoc zewnętrzna może nadejść tylko jeżeli będziemy mieć powodzenie w boju. Jego dyplomacja nie hamowała strategii; przeciwnie, domagała się od strategii, by utorowała jej drogę. Była też przepaścią między jego dyplomacją a domorosłą, generalską Chłopickiego, a później Skrzyneckiego, którą próbowali z niedźwiedzią niezręcznością wyręczyć strategię i uwolnić się od nierównej rozprawy z przeważającym przeciwnikiem. Takie wojskowe najazdy w dzie-

*) Czartoryski, Żywot J. U. Niemcewicza, str. 227, 361-4.

dzinę dyplomacji starał się ukrócić. "Przedkładałem aż do znużenia — pisze w sprawozdaniu dla Sejmu — że dyplomacja od powodzeń wojennych zależy, że dla ustalenia sprawy naszej potrzeba jeszcze jednego stanowczego zwycięstwa.

Celem jego wysiłków dyplomatycznych było "pozyskać, jeżeli można, zaufanie i dobre zrozumienie rządów, równie jak sympatie ludów". Gdy wybuchło powstanie, było ono niezmiernie pożądaną dywersją dla Francji, zagrożonej wojną, a do wojny niezdolnej. Stary Talleyrand, dzięki nieodstępnej księżnej Dino, wiernej wspomnieniu księcia Adama, nieco skaptowany dla naszej sprawy, nalegał na Sebastianiego, ministra spraw zagranicznych, o moralne, polityczne i materialne jej poparcie. Sebastiani mówił Leonowi Sapieżu: "Jeśli to tylko burda uliczna, to wybrnijcie z niej jak możecie; jeśli to ruch narodowy, to możecie na naszą pomoc liczyć". Pozwalał to nawet powtórzyć Czartoryskiemu.*)

Ale już 25 grudnia Mikołaj pisał Konstantemu o przyjaznych gestach Francji, korzystając z tej okazji, by go przejednać.**)

W Londynie, lord Grey — niegdyś życzliwy Czartoryskiemu, czynny w r. 1814 w obronie Polski — teraz tłumaczył Sapieżu z rozbijającą otwartością, że jest niepewność czy Francja nie zmierza do przyłączenia Belgii, że Anglia potrzebuje Rosji do ewentualnego poskromienia Francji, wobec czego musi sobie życzyć, aby Rosja jak najprędzej miała wolne ręce i "żeby wasze powstanie jak najprędzej było przytłumione". Palmerston odezwał się "mniej przykro, ale równie kategorycznie.***)

Nieco poprawiła się sytuacja, gdy nastąpiło porozumienie w sprawie belgijskiej, a w Polsce powstanie okazało się, że trwa, a nawet odnosi zwycięstwa. Były nawet półobietnice wspólnych kroków dyplomatycznych w naszej sprawie, a także próby porozumienia z Wiedniem, który nie był od tego, by powstanie jak najdłużej wiązało ręce Mikołajowi i nadwyreżało pozycję polityczną Rosji. Oficjalnie utrzymywał jak najlepsze stosunki z Rosją; nieoficjalnie udzielał powstaniu dyskretnej zachęty, zdobywał się nawet na gesty przyjaźni. "Ale trzeba zwycięstw, wielkich zwycięstw" — pisał z Wiednia w kwietniu brat księcia Adama.

Nowe powikłania w sprawie belgijskiej wywołały nagle nowe niebezpieczeństwo konfliktu między Anglią a Francją i rozchwianie się pomysłów mediacji w sprawie polskiej. W sierpniu Talleyrand zapewniał Niemcewicza o przychylności Francji, "mais il faut d'abord réussir". Palmerston w tymże czasie tłumaczył Niemcewiczowi bezczynność Anglii w naszej sprawie mówiąc mu: "Gdybyście znaczne odnieśli zwycięstwa, to mogłyby się rzeczy odmienić". Ale gdy to mówili obaj, wojna francusko-angielska o Belgię właśnie wisiała na włosku; zażegnano ją nie bez pewnego przyczynienia się dyplomacji polskiej. Po ka-

tastrofie wrześniowej obaj ci mężowie stanu wyrażali zdanie, że trzeba było dotrwać przynajmniej do końca października "a wtedy byłiby przyszli na pomoc".*) Austria najwięcej jawnego zainteresowania okazała powstaniu właśnie w najkrytyczniejszej chwili, zdobywając się na gest mediacyjny po niewczasie.**)

Sens był w każdym razie zgodny z poglądem Czartoryskiego, że sprawa rozstrzygała się nie tyle w rokowaniach, ile na polach bitew. Gdy otrzymywał wiosną słowa otuchy z Zachodu, wyciągał stąd wniosek: "Pobij dobrze raz jeszcze kochany generale, a inaczej będą nas traktować". Niczego w dziedzinie dyplomacji nie zaniedbał, ale nie poświęcił dla niej żadnej okazji wojennej.

Słusznie wskazuje Handelsman na ciągłą inicjatywę Czartoryskiego w dziedzinie operacyjnej w duchu aktywności i działań zaczepnych. Znane od dawna listy do Radziwiłła, Skrzynecznego i Dembińskiego żadnej co do tego nie pozostawiały wątpliwości. Książę Adam nie tylko dawał przykład zimnej krwi w ogniu pod Grochowem, energii i odwagi w niepowodzeniu po tej bitwie, nie tylko podpędzać próbował naszą ofensywę po Wawrze, pod Iganiami był wśród tyralierów, a gdy kawaleria Stryjeńskiego nie nadciągała, galopem puścił się na jej spotkanie i podpędził klusem do bitwy. Nie tylko piętnował defetyzm i opieszałość wśród generalicji i wyższych oficerów, domagał się usuwania "długich twarzy et des mines renferées", wysuwania oficerów "mających zapał, nadzieję i ochotę bić się". Inspirował i planował jak doświadczony żołnierz (zapomniano, że widział parę kampanii, że miał abszyt z wojska litewskiego w stopniu podpułkownika a z carskiego w stopniu generaliskim). Nawet Skrzynecki, zbywający jego rady z przekąsem, przyznał kiedyś, że książę "ad utramque paratus".

Co do treści tych inspiracji wojskowych, rozprawa Wincetego Łopacińskiego jeszcze przed pierwszą wojną światową sporo przysporzyła materiału. Niezupełnie trafne jest natomiast wiązanie tych sugestii z koncepcjami Prądzyńskiego. Były zasadniczo od nich różne. Strategię Prądzyńskiego, ultra-napoleońską, bo symplifikującą zagadnienia operacyjne, znamięnowało ciągłe dążenie do walnej bitwy. Książę Adam był za "unikaniem ile możliwości wielkich bitew, gdzie wszystko postawione na jedną kartę, uważał za "system słabszego" przeciąganie walki "jak można najdłużej", ale stosując aktywną, elastyczną obronę operacyjną, uderzając gdzie ma się zapewnioną przewagę, podejmując nagle wycieczki i odskakując w razie zagrożenia przeważającymi siłami "do miasta jak do nory". Zalecał "czyhać na chwilę", ale "korzystać z niej z szybkością i z zapałem równającym się cierpliwości z jaką wyczekiwana".

*) L. Sapiecha, — *Moje wspomnienia* — (1913) III-2.

***) *Sbornik*, t. 132, 79-81.

***) L. Sapiecha, o c. 114-8.

*) Czartoryski, *Zywoł J. U. Niemcewicza*, 228-30, 361-4.

***) Doskonała praca J. Dutkiewicza, *Austria wobec powstania listopadowego* (Kraków, 1933) pozostawia dużo niejasności w tej sprawie i w ogóle co do istotnych intencji austriackich.

Gdy Prądzyński niechętny był wszelkim odrywkom, osłabiającym siłę główną na rzecz drugorzędnych działań, Czartoryski zalecał "mocne ekspedycje" gdzie siły przeciwnika słabsze, działania zaczepne oddziałami na jego flanki i tyły, a także szerokie zastosowanie partyzantki i w pełni doceniał ogromną doniosłość dywersji, jaką stanowiły powstania litewsko-ruskie, zachęcał je, starał się wspierać. "Szybkość ruchów — pisał do Skrzyneckiego — nogi wiarusów, oto — z ufnością w Boga — co nam da cuda". Dybicz na razie bić chciał "en détail", nie za jednym zamachem; ale w lot chwytać okazję, gdyby można było go zaskoczyć w niekorzystnej dlań sytuacji i pobić.

Można by powiedzieć, używając terminologii Dellbrücka, że Prądzyński rozumiał tylko strategię powalenia (Niederwerfungsstrategie), Czartoryski zaś rozumiał doskonale strategię znękania (Ermattungsstrategie) i umiały ją zastosować do warunków, miejsca i czasu. Zaryzykować można śmiało przypuszczenie, że gdyby on był decydował o prowadzeniu wojny, to na przykład korpus Rosena po Wawrze i Dembem byłby już 2 lub 3 kwietnia zniesiony doszczętnie, Siedlce osiągnięte, ale nie doszłoby zapewne do walnej bitwy z Dybiczem, który byłby się pozbierał dopiero w Brześciu; że wyprawę na gwardię zwycięstwo by uwięczyło najpóźniej 19 maja, po czym uchyłoby się w porę od bitwy z Dybiczem i uniknięto klęski ostrołęckiej; że czerwcową wyprawę na Rüdigera (Budziska — Łysobyki) skończyłaby się była zniesieniem tego korpusu i otwarciem nowych możliwości w kierunku Wołynia.

Trudno wchodzić w dalsze przypuszczenia, jak każdy z tych faktów, przykładowo tu przytoczonych, byłby oddziałał na ogólny przebieg wojny — ale potoczyłaby się była inaczej.

Po niewczasie zaczęli się spostrzegać niektórzy, że Czartoryski mógłby być właściwie wodzem naczelnym i że ze wszystkich najbardziej się na niego nadawał. Ale nikt z tym na serio nie wystąpił. Była chwila, po klęsce ostrołęckiej, gdy Skrzynecki złamany moralnie wypuszczał z rąk buławę; pisał do Rządu list ze zwrotem: "Nous avons perdu la plus honteuse bataille. Finis Poloniae". Nie było chyba wtedy innego rozsądnego wyjścia dla Rządu, jak zażądać natychmiast od Sejmu dymisji naczelnego wodza i przekazania jego funkcji prezesowi Rządu. Pod wpływem uczuciowych odruchów sprawa potoczyła się w innym kierunku: Zamoyski wniósł w Skrzyneckiego, że musi teraz zbawić ojczyznę przez nacisk na ustanowienie mocnego rządu z władzą skoncentrowaną w ręku księcia Adama i pchnął zdyskredytowanego mocno generała na tor wewnętrznej gry politycznej; Sejm zaś, lubiący rzymskie gesty, urządził przybijającemu po klęsce do Warszawy uroczyste przyjęcie; książe Adam ze zwykłą szlachetnością, choć wbrew przekonaniu, osłonił go swoją powagą. Forsowana jednak przez Skrzyneckiego próba przebudowy władzy rządowej upadła w tymże sejmie przez narastającą nieufność; w tym samym miesiącu czerwcu niesłychanie kompromitujące niepowodzenie wyprawy

przeciw Rüdigerowi otwarło ostatecznie kryzys w dowództwie naczelnym; obstawanie zaś Czartoryskiego przy Skrzyneckim, dla którego nie widział następcy, stało się głównym, choć nie jedynym, powodem kryzysu zaufania i fermentu rewolucyjnego, zakończonego rozruchami sierpniowymi i upadkiem Rządu.*)

Nastąpił wyjazd księcia Adama, po tragicznych przejściach w których życie jego na włosku wisiało, jako ochotnika do korpusu Ramoriny. Postulaty jego co do reformy rządu spełnione były teraz, po niewczasie, z nawiązką: jego następcą, generał Krukowiecki, miał pełnię władzy cywilnej i wojskowej, tylko ani jednej ani drugiej nie umiał użyć dla ojczyzny ratowania. Użył ich w końcu do kapitulacji, a zdezwuowany przez Sejm porzucił urząd i sprawę.

Jeszcze jedną przegraną poniósł Czartoryski jako prezes Rządu Narodowego, której doniosłość rozumieją politycy polscy dopiero po katastrofie: oto wbrew swemu głębokiemu przekonaniu i inicjatywie przez Rząd podjętej, nie zdołał przeprowadzić w sejmie nawet tak skromnej reformy włościańskiej, jak zniesienie pańszczyzny w dobrach narodowych. Wyprzedzał w tej sprawie całą niemal warstwę ziemiańską. Miał przeciw sobie występne warcholstwo Wielopolskiego i tępy opór egoizmu klasowego większości posłów; brakło mu rzetelnego poparcia zarówno liberalnych Kaliszan, jak radykałów z Lelewelem na czele. Obchodził z świadomością, że nie dokonano ani w części tego co należało, by związać w godzinie próby masy ludowej za sprawą niepodległości.

Sam dzielił teraz losy II korpusu generała Ramorino w kampanii przeciw Rosenowi; był w ogniu pod Rogoźnicą i Międzyrzecem. Był świadkiem niefortunnego, spóźnionego pościgu na Brześć i spóźnionego marszu na pomoc walczącej Warszawie; widział jasno, że Warszawa nie byłaby wzięta, "gdyby tylko byli korpus Ramorino odwołali, gdyby mu kazali pospieszyć do obrony stolicy".***) Natomiast aprobował, jak się zdaje, samowolną decyzję powziętą przez Radę Wojenną oficerów korpusu, za inspiracją Zamoyskiego, by zamiast do Modlina, gdzie przyzywał rozkaz wodza naczelnego, ruszyć z Siedlec na południe, w kierunku Zamościa, z dalszym zamiarem przedostania się przez górną Wisłę w Krakowskie. Sądźmy, że decyzja ta tłumaczyła się wojskowo: marsz na Modlin, gdy Warszawa i Praga były już w rękach Paskiewicza i gros jego armii mogło zastąpić drogę, a Rosen był na karku, mógł się wydać zupełnym niepodobieństwem i nie potrzeba było tajemniczych politycznych racji, by go nie ryzykować. Dość też przekonujące są wyjaśnienia Zamoyskiego, że obawiano się bliskiej kapitulacji siły głównej.***)

*) Kryzys ten komplikował się politycznym na tle wspomnianych wyżej decyzji Rządu z 4 sierpnia co do zdania sprawy polskiej w ręce cesarza Franciszka I.

***) Czartoryski do Niemcewicza, 23 października 1831 (Album Muzeum Narodowego w Rapperswyłu (1872), t. I, 131-4.

****) Co do tych wypadków niezupełnie podzielamy pogląd W. Tokarza w jego wielkim dziele o tej wojnie.

Książę dzielił smutną odyseję korpusu, widział jego rozkład i upadek ducha, patrzył na rozpaczliwe wysiłki siostrzeńca, który — sam bijąc się ze zwyczajnym mu szalonym męstwem — ranny dwukrotnie, nie mógł już wykrzesać woli walki w woj-sku, ani zapobiec sile przyciągającej austriackiego kordonu, za którym był kres wysiłku i ofiary.

Książę porzucił Ramorinę, gdy się stało jawne, że przejdzie on do Galicji; podążył do Kielc, do działającego tam Samuela Różyckiego. Złożył rząd tymczasowy dla trzech województw lewobrzeźnych z zastrzeżeniem wyraźnym posłuszeństwa dla Rządu Narodowego, od którego były odcięte.*) Ale ta resztką wolnej Polski szybko usuwała się spod nóg. Książę znalazł się 26 września w "ściśle neutralnym" Krakowie, a nazajutrz wobec wkraczających tam Rosjan, przeszedł przez most podgórski — do Galicji. Zaczynało się tułactwo.

Sąd o jego roli w tym roku wydał "Najwyższy Sąd Kryminalny Królestwa Polskiego" ustanowiony przez cara, gdy orzekając nań karę śmierci przez ścięcie toporem, w uzasadnieniu stwierdzał: "Książę Adam Czartoryski przez zgromadzenie rokoszan prezesem tzw. Rządu Narodowego obrany, przykładem swoim ośmielił drugich do przywłaszczenia sobie władzy królewskiej, nie tylko bowiem ogarnął naczelnictwo nieprawego rządu, ale nado, to buntowniczej przemowie, wynurzył rokoszanom wdzięczność za położone w nim zaufanie. W całym ciągu zostawania u steru owego rządu książę Czartoryski zapalał naród i wojsko do najzaciętszej walki przeciw swemu monarsze; używał wszelkich środków do powiększenia całej okropności wojny domowej; wydawał ustawy w skutku których ulegały surowości praw wojskowych każdy, który by najmniejszą przychylną prawemu monarsze okazał; nie przestając wreszcie na klęskach jakimi rokosz Królestwo Polskie obarczył, usiłował nawet prowincje do Cesarstwa Rosyjskiego należące, przeciw prawemu monarsze podburzyć i w oplakanych skutkach rokoszu z Królestwem zespolić..."

Sąd był krzywoprzysiężny, w służbie zwycięskiego wroga, ale sprawiedliwszy był dla Czartoryskiego od wielu sądów współczesnych i potomnych.

V.

"Bądź co bądź"

Książę Adam był banitą. Zanim jeszcze zapadł wyrok Najwyższego Sądu Kryminalnego z datą 29 listopada 1833 r., de facto w lutym następnego roku, ukazy doraźne ścigały go od razu jako zdrajcę; on sam ledwie uszedł pojmania w Krakowie; majątki mu zabrano; gasło ognisko narodowego ducha jakim były Puławy, a bezcenne zbiory biblioteczne, muzealne i archiwalne,

*) T. Morawski, *Dzieje* VI 459. Kielecczynę, jako rodzaj reduty strategicznej na wypadek klęski przewidywano już w styczniu tego roku, *Jenerał Zamoyski* II 97.

w ciągu wojny uratowane cudem od grabieży, teraz ratowano od zaboru nowym cudem wierności, energii i poświęcenia setek ludzi.

Październikowym ukazem Mikołaj ogłaszał księcia niegodnym noszenia orderów, na co Czartoryski odpowiadał, że rosyjskich nigdy nie nosił, na polskie, jak sędzi, zasłużył.**)

Miał pewne uczucie ulgi. W odpowiedzi na rozważne sugestie pisał: "Czuję całe szczęście tego, żem się oswobodził (wprawdzie w sposób nieco gwałtowny i kosztowny) od więzów, które mi ciężyły i pewno nie wrócę do nich, nawet za cenę całej mojej fortuny...**) Szedł na wygnanie ze swą herbową dewizą: "Bądź co bądź".

Ani na chwilę nie myślał zaniechać walki o Polskę. Jeszcze w Kielcach i w Krakowie wypracowywał na zaproszenie ówczesnego ministra spraw zagranicznych, depesze do polskich agencji dyplomatycznych z domaganiem się interwencji w obro-nie poręczonych międzynarodowo praw Polski. Zdecydowany był działać jako rzecznik tych praw. Tytułu formalnego nie miał do zastępowania Polski wobec rządów — i żałował że się tego tytułu wyzbył. Miał tylko własne swoje imię, pozycję, powagę. Te oddawał na usługi upadającej sprawy, ujmując kierownictwo faktyczne polskich zabiegów dyplomatycznych w ręce własne.

Z Lipska 23 października pisał do Kniaziewicza i Platera w Paryżu, do Niemcewicza w Londynie, formułując swój pogląd: "Mnie się zdaje, iż więcej już nic teraz uczynić nie można, jak tylko korzystać z dobrej woli dworów utrzymania w zupełności traktatu wiedeńskiego".

W tym duchu zalecał domagać się wystąpienia mocarstw zachodnich: "Niech nie rozumieją, że sprawa nasza skończyła się. Żyje ona i żyć będzie..." Już przewidywał masowe wychodźstwo oficerów i żołnierzy do Francji, zalecał sondowanie możliwości utworzenia tam polskich legionów.

Z Londynu przyzywał go siedzący tam mocno jako ambasador Ludwika Filipa stary Talleyrand. Dawni przeciwnicy z lat 1803-6 i z czasu kongresu po raz pierwszy mieli przyjaźnie współdziałać. Ludzie ci, tak różni, musieli raczej odpychać się wzajemnie. Stary mistrz dyplomatycznego rzemiosła był cynikiem bez zasad i bez moralnych skrupułów, uosobieniem tej dyplomacji, którą Czartoryski piętnował w swym "Essai"; nie było dlań w polityce miejsca na sentymenty w stosunku do zwyciężonych i podbitych, ani poszanowania dla praw narodów, ani nawet zrozumienia dla ich spraw. Teraz zbliżało go ku Czartoryskiemu jasne rozeznanie grozy naporu rosyjskiego na Europę, i potrzeby solidarnego frontu Anglii i Francji, potrzeby przyciągnięcia doń innych państw Zachodu, a jeśli możliwe, zjednania Austrii. Czartoryski był mu niezbędny jako dawny

*) O banicji Czartoryskiego i katastrofie Puław pisałem w *Kwartalniku Historycznym*, 1930.

**) L. Gadon, *Emigracja polska* t. I. 208.

powiernik Aleksandra na kongresie, jako świadek i najpoważniejszy tłumacz intencji stron, zawierających układ, a w szczególności Rosji, gdy szło o interpretację jego postanowień. Tę rolę przyjmował Czartoryski, stwierdzając zarazem, że "rzecz kongresu wiedeńskiego jest raczej sprawą gabinetów europejskich jak sprawą Polski". Polska nie była tam stroną, nie można twierdzić, że zerwała traktat przez powstanie. Mocarstwa rozbiorowe dopiero przez traktat wiedeński weszły w legalne posiadanie ziem polskich; zostało to uwarunkowane uszanowaniem praw narodowych Polaków na całym obszarze Polski z 1772 roku, a państwową odrębnością i konstytucyjnym bytem Królestwa. Naruszenie tych praw obala te artykuły traktatu i przekreśla prawa monarchów do posiadanych przez nich części Polski. Talleyrand wyrzekł, że Austria i Prusy pospieszyły się już z oświadczeniem, że dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa odstąpić trzeba od postanowień traktatu co do Polski. Tej zgodzie trzech rozbiorców należało przeciwstawić wyraźne i zgodne stanowisko Anglii i Francji. Stary mąż stanu dobrze teraz pojmował, że unicestwienie Królestwa uwielokrotni nacisk rosyjski na Europę Środkową. Mówił księciu w pierwszej rozmowie, 23 grudnia 1831 roku, że "nie trzeba przypuszczać nawet, aby nie chciano (w Londynie i w Paryżu) wymagać wykonania traktatu".*)

Zaczęła się ich współpraca na gruncie londyńskim, zrazu bardzo życzliwa i ściśła. Zaczęły się zarazem wysiłki Czartoryskiego, by skłonić Zachód do egzekwowania na rozbiorcach tego wszystkiego, co on na kongresie dla Polski uzyskał. Rzucili się wtedy na niego polityczni przeciwnicy, że wyrzeka się niepodległości, że redukuje Polskę do Kongresówki, że zapomina o braciach zza Bugu. Ale on niczego się nie wyrzekł, ani na chwilę nie zamykał sprawę polskiej w granicach Kongresówki i nie pozwalał, aby zapomiano o ziemiach za Niemnem i Bugiem. Gdy kiedyś, znacznie później, w odpowiedzi na wniosek posła Cutlara Fergussona, Palmerston wspominał tylko o prawach Królestwa Polskiego, książę pisał z oburzeniem: Przebaczyć mu nie można, że Podole i Litwę psom na pastwę rzucił, powiedziawszy wprzód, że Moskwa przez zbrodnię polityczną je posiada!***)

Czartoryski nie był dla Talleyranda w Londynie byle jakim sprzymierzeńcem. Miał tu starych partnerów i znajomych. Dawni jego polityczni przyjaciele, Whigowie, byli u władzy. Zmienił się oni znacznie od czasu, gdy w roku 1814 popierali jego rozwiązanie sprawy polskiej. Premier, Lord Grey, zawojowany przez ambasadorową rosyjską, księżnę Lieven, rozkładał ręce bezradnie; przyznawał rację co do interpretacji traktatu, ale coź zrobić, skoro Prusy i Austria są odmiennego zdania.**) Na-

*) Zob. korespondencję Czartoryskiego z legacją w Paryżu. Album Muz. Rapperswylskiego, I (1877), str. 130-142, 146.

**) Jenerał Zamojski, III, 157-8.

***) Album, I, 149-150.

zajutrz pisał jednak do kanclerza, Lorda Brougham, wspólnego przyjaciela, pod wrażeniem spotkania z Czartoryskim, że żałuje, że nie posłali w czasie powstania floty angielskiej na Bałtyk, by zrobić porządek w sprawie polskiej i mężnie stawili czoło wyrzutom pani Lieven, że "przyjmuje prezesa rządu powstańców.")

Palmerston mógł się powołać na swe instrukcje z 23 listopada zalecające amnestię i wyrażające pogląd, że w myśl traktatu wiedeńskiego konstytucja Królestwa ma sankcję mocarstw. Gdy jednak dostał szorstką odprawę z Petersburga, rozkładał ręce: coź począć; wojska posłać nie można, a gdyby nawet spalić flotę rosyjską, tyle by to pomogło co pożar Moskwy.**) Lord kanclerz Brougham, bliski współpracownik księcia Adama z 1814, autor mocnego "Apelu do Sprzymierzonych i narodu angielskiego w sprawie Polski", teraz utyskiwał: "Nieszczęście chce, że sprawa Polski przeciwna jest sprawom wszystkich innych mocarstw"; wytykał Polakom z powodu wniosku poselskiego w Izbie Gmin, że mają rzeczników bez talentu i wpływu, na co odpowiedział książę, że sprawa nieszczęśliwych może mieć tylko biednych adwokatów.

Lecz pracował gorliwie nad tym, by ich mieć, i jak najlepszych. Na czoło obrońców sprawy polskiej wysunął się na trzy lata poseł Robert Cutlar Fergusson; gdy później, powołany na ministra sprawiedliwości dla Szkocji, przestał występować w Izbie, zastąpił go najofiarniejszy i najgorętszy z jego towarzyszy, młody Lord Dudley Stuart, "zwariowany na punkcie Polski", jak ubolewano w rządzie, i on już przez dziesiątki lat, aż do śmierci za wojny krymskiej, był protagonistą naszej sprawy i umarł w jej służbie.

Już w kwietniu 1832 w związku z ogłoszeniem carskich ukazów o zniesieniu konstytucji polskiej i nadaniu Statutu Organicznego, była pierwsza "mocja" Fergussona, że Izba zwraca uwagę na obecny stan Polski, w szczególności wskazuje na brzmienie artykułu I Traktatu Wiedeńskiego; szereg mówców jednomyślnie odezwało się w obronie praw narodu polskiego ku wściekłości Lievenów i obecnego w Londynie Orłowa, a ku wielkiej radości Talleyranda. Za tym wystąpieniem poszły dalsze, były debaty polskie w roku następnym jeszcze świetniejsze, rząd musiał niejednokrotnie ton swoich oświadczeń dostrajać do opinii Izby. W parlamencie, na mityngach, wśród społeczeństwa brytyjskiego sprawa polska była wciąż obecna; latami nie dawano jej zejść z porządku dziennego; powracała przy każdej okazji, czy w związku z gnębieniem Polski przez zaborców, z zagrożeniem a później okupacją Krakowa, czy z powikłaniem na Wschodzie. Poważne "Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski" miało stać na straży tej sprawy wobec opinii. Ale to wszystko nie działo się samo. Było wypracowane, wychodzone,

*) The Life and Times of H. L. Brougham, written by himself 1871, III 164.

**) Gadon, Emigracja Polska I, 205.

narzucone powagą, wyjednane argumentami polskiego męża stanu, wczoraj jeszcze potentata o monarszej fortunie, teraz wygnańca, znoszącego z innymi biedę tułaczą; gdy go docho-
dzą z Paryża urągania, że w Londynie prowadził życie wystawne, on chępi się, że "w ciemnym i dość brzydkim domu mieszka i po błocie piechotą klapie".

Podobnie wypracowywał miejsce dla sprawy polskiej w Paryżu, dokąd dojeżdżał na krótszy czy dłuższy pobyt, zanim ostatecznie nie osiadł tam w r. 1833, jako w punkcie ciężkości emigracji. Jak stwierdza Zamoyski "skutkiem jego wysiłen ile było adresów do tronu z Izby niższej przez osmnastolecie panowania Ludwika Filipa, tyle było wzmianek o Polsce i o zdeptanym prawie europejskim"; ustalił się jakby prawem zwyczajowym pewien "tryb corocznego ponawiania protestacji".

I te "mocje" londyńskie i te paryskie poprawki do adresów Izby nie były miłe ministrom; ale bywali oni uprzedzeni i rozbrojeni moralnie, jeśli nie pozyskani; a zdarzyło się, że w Paryżu książę de Broglie, niegdyś członek legacji napoleońskiej w Warszawie, teraz minister spraw zagranicznych, po przemówieniu swego byłego szefa, barona Bignon, dał odpowiedź tak groźną dla Rosji, że musiał ją zacierać i ekskuzować po fackie.

Miał książę w tej pracy pomocników. Najwybitniejszy, Gustaw Małachowski, były minister Rządu Narodowego, współdziałał czas jakiś. W Londynie, gdy stary Niemcewicz niedołęźniał, wyręczał księcia okresami Władysław Zamoyski, który rycerską legendą, urokiem osobistym i świetną inteligencją zdobywał sobie przyjaźnie i wpływy poważne. W Paryżu pomagał długo Ludwik Plater, później niektórzy z posłów sejmowych. Ale wszystko działało się myślą i przewidywaniem księcia. Wciąż "zatrudniony aż do nadwyżenia zdrowia" (parokrotnie ciężko zapadał na nim), dawał on przykład swoim współczesnym i potomnym, jak pracować powinna dyplomacja wygnańca. Nie zrażał się zawodami ani doraźnymi niepowodzeniami; ani "łodowatym" niejednokrotnie przyjęciem Palmerstona, ani odsuwaniem się "kulawego" (Talleyranda), który w grudniu 1832 mówił już do jednego z przyjaciół angielskich, wśród obarczających starego męża stanu spraw wspominającego polską: "La Pologne n'est plus une affaire".*) A biednemu Niemcewiczowi (który go nudził) doradzał cierpko, by dać spokój mrzonkom; coś jakby późniejsze carskie: "point de rêveries".

Czartoryski wiedział, że sprawa polska nie tylko istnieje, ale będzie się narzucać mocarstwom, istnieje bowiem sprawa rosyjskiego naporu na Europę, na Turcję, na Persję, Rosja kładzie już rękę na Konstantynopolu i Cieśninach — w styczniu 1833 układ w Hunkiar Eskelessi oznacza faktyczny protektorat jej nad Turcją; wojna Mohameda Alego z Sułtanem — wojska egipskie Ibrahima u wrót Sztambułu! — może się stać pośrednio wojną francusko-rosyjską, jak była nią — pośrednio — dogaj-

sająca w r. 1832 przez wzięcie Antwerpii wojna belgijska; tam Władysław Zamoyski zdążył raz jeszcze wypróbować swą wspa-
niałą odwagę, sprawdzić wiadomości wojskowe i zbliżyć się do księcia Orleańskiego. "Zimna wojna" toczy się w Portugalii między popieranym przez Zachód Don Pedrem, regentem w imieniu małoletniej Dony Marii, a popieranym przez Rosję Don Miguelem, a jest to wojna zasad: konstytucyjno-liberalnej i absolutystycznej; podobna, druga wybucha w Hiszpanii, liberalni Cristinos, popierani przez Zachód, z absolutystycznymi Karlistami, popieranymi przez monarchie absolutne. Wypadki te doprowadzają w roku 1834 wysiłkiem Palmerstona do sojuszu czterech państw zachodnich.

Przy okazji tych "zimnych wojen" — że użyjemy dzisiejszego terminu — Czartoryski usiłuje oddziaływać w duchu konsolidacji Zachodu i jednolitego frontu przeciwko Mikołajowi, informować, ostrzegać, inspirować. Jego akcja informacyjna kulminuje w latach 1836 - 9 w "Portfolio" Davida Urquharta, któremu książę daje ogłosić znalezione w Belwederze tajne dokumenty, kompromitujące potężnie carską dyplomację i wywołujące nielada sensację na Zachodzie.

W roku 1836 udaje mu się wyjednać u Palmerstona użycie generała Chrzanowskiego w angielskiej służbie dyplomatycznej na Wschodzie, znanym mu z wojny tureckiej 1828-9 roku, przez co nawiąże się współpraca wojskowa z Turcją. Ale idzie księciu Adamowi o coś więcej. Od początku podejmuje próby, jedną za drugą, by Polskę wyprowadzić na widownię polityczną, jako czynnik działający, a zwłaszcza rozwinąć na obczyźnie polskie wojskowe sztabdary. Stąd próby daremne legionu polskiego we Francji, gdzie go nie chcą i dopuszczają tylko do formacji polskiego batalionu w legii cudzoziemskiej, służącego w Algierze, później w Hiszpanii, pod francuskim sztandarem; próba legionu polskiego w Belgii, gdzie król Leopold, dawny, życzliwy znajomy Czartoryskiego, chciałby przysparzyć polskich dowódców, oficerów i jak najwięcej żołnierzy, ale nacisk mocarstw na Belgię, by nie drażnić Mikołaja, ogranicza rzecz do garści oficerów; i o nich zresztą, zwłaszcza zaś o Skrzyneckiego, popada Belgia w przewlekłą "zimną wojnę" z Mikołajem, a chwilowo i w konflikt z Austrią.

Próba formacji polskiej pod generałem Bemem w Portugalii, podjęta w myśl formalnej konwencji księcia Adama z Don Pedrem, rozbija się nie tylko o trudności finansowe ze strony portugalskiej, ale i o wroga, przeważnie reakcję Polaków.

Z Turcją, przez jej ambasadora w Londynie, Namik Paszę, już w roku 1832 nawiązane kontakty: ambasador chciałby widzieć księcia Adama w Dywanie, generałów polskich w służbie sułtańskiej, polską kolonię wojskową. Sugeruje tylko, że trzeba by zmienić wyznanie. Nie przeraża jakoś niektórych z generałów naszych perspektywa zbiorowego poturczenia: dla Dembińskiego na przykład — jak pisze — religia to rzecz serca, nie formy, którą gotów poświęcić. Zanim jednak zdołano zastanowić

*) Czartoryski, Żywot J. U. Niemcewicza, str. 394-5.

się nad tym, co by można zrobić z tą dziwną ofertą, którą zresztą Kniaziewicz zupełnie odrzucał, Turcja związała się sojuszem z Rosją, wojska carskie stanęły nad Bosforem. Stąd w roku 1833 próba wprowadzenia polskiej misji wojskowej do Egiptu, wyjazd tam generała Dembińskiego i pewnej liczby oficerów; próba akcji na większą skalę upada wskutek zawarcia pokoju między Mohamedem Ali a Portą, a służba organizatorska i instruktorska kilku Polaków w Egipcie, jeszcze możliwa, nie dochodzi do skutku przez porywczosć i drażliwość naszego generała.

Wreszcie udział nasz w wojnie domowej hiszpańskiej, zamierzony znów na większą skalę, znowu z Dembińskim na czele, redukuje się, wskutek niechęci Francji, do przerzucenia tam oddziału polskiego legii cudzoziemskiej, nieco rozwinętego dalszymi ochotnikami i służby kilku oficerów polskich.*)

Wreszcie od roku 1837 zawiązuje się kontakt z powstaniem Czerkiesów, trwający aż do zgonu księcia Adama.

W swoich wysiłkach dyplomatycznych książę działał — jak zaznaczono — bez formalnego tytułu i mandatu. Nie wyniósł go z kraju, nie mógł go uzyskać nawet od gromady tułaczkiej na emigracji. Ciągłość istnienia władzy narodowej była zerwana. Ostatni prezes Rządu Narodowego, Bonawentura Niemojowski, od razu po przybyciu do Paryża zrezygnował z występowania w tym charakterze wobec rodaków; stał się prezesem Tymczasowego Komitetu Polskiego, przedłużającego niejako rząd tzw. zakroczymski, ale już po paru tygodniach, w grudniu 1831 roku, paryski "ogół" polski, pod przywództwem działaczy Towarzystwa Patriotycznego z czasu rewolucji, wyłonił w sposób dość wiewcowy reprezentację w formie Komitetu Narodowego Stałego złożonego z radykałów z Lelewelem na czele.

W pierwszej odezwie 25 grudnia wystąpił Komitet z oskarżeniem o klęskę kierownictwa powstania, z wyraźnym atakiem na dyplomację Czartoryskiego, na oglądanie się na pośrednictwo obce albo próby pogodzenia nas z wrogami, przy czym posunięto się do niesprawiedliwego zarzutu "nakazanej bezczynności", choć Lelewele dobrze wiedział, że tak nie było. W atmosferze rozgoryczenia, wywołanego klęską, napływający do Francji, czy w małej części do Anglii, żołnierze wszelkich stopni, skłonni byli winić władze powstańcze o zaprzepaszczenie sprawy, odmawiać zaufania tym, którzy ją przegrali. Ale było coś więcej poza kryzysem zaufania, co dzieliło większość emigracji od księcia Adama. On przecież szukał współpracy w konstytucyjnymi monarchiami Zachodu, nie wyłączając lipcowej, sprzymierzeńców szukał w liberalnych monarchach i rządach, parlamen-

*) Najpełniejszy obraz tych wysiłków daje *Jenerał Zamojski t. III i IV. Co do Egiptu wielka publikacja aktów: A. Benis, Une mission militaire polonaise en Egipte, Le Caire 1938, 2 tomy, z dobrym wstępem L. Widerszala. Zob. również J. Frejlich Legion gen. Bema w walce o sukcesje portugalską (1912). Co do Belgii, J. R. Leconte, La formation de l'Armée Belge (1830 - 1853), Paris - Bruxelles 1949.*

tach, opinii politycznej; uważał przy tym, że "gdziekolwiek się uformuje jakieś jądro wojska polskiego, byle się tylko uformowało, wielki, przeważny krok będzie zrobiony". Oni, to jest większość emigracyjna, widzieli wrogów we wszystkich monarchach i rządach, sprzymierzeńców w ludach, utożsamianych z elementami rewolucyjnymi, prowadzonymi przez Węglarstwo i pochodne związki Młodej Europy, występującymi na ulice z imieniem Polski na ustach; widzieli drogę do Polski przez powszechne powstanie ludów, rewolucję światową, skłonni wierzyć zresztą, że powinna zacząć się od Polski — stąd wynikała tragiczna partyzantka Zaliwskiego w r. 1833. Wielu gotowych było na razie przyłożyć ręki do obalenia Ludwika Filipa, do przewrotu republikańskiego w Niemczech czy we Włoszech; stąd wynikała wyprawa do Szwajcarii i późniejsza próba naszych "Szwajcarzan" wtargnięcia do Sabaudii pod niefortunnym dowództwem Ramorina.

Nieskłonni byli iść nasi żołnierze i młodszy oficerowie w służbę jakichś królowych portugalskich czy hiszpańskich, a służba w legii cudzoziemskiej w Algierze, by podbijać Arabów, nie kojarzyła im się ze sprawą polską, i w ogóle ze sprawą wolności. Gdy w roku 1832 na zjeździe w Bourges delegacji zakładów wojskowych wyłonili komitet pod przewodnictwem Dwernickiego, mający reprezentować emigrację, pierwsza odezwa generała zarzekała się przeciw obcym służbom: "Krew nasza całkiem i wyłącznie ojczyźnie należy. Zadłużona już nam dosyć jest Europa, abyśmy potrzebowali nowymi dla niej zasługami kupować jej braterstwo i przyjaźń. Gotowi do wszelkiego boju przeciw cisnącemu Europę despotyzmowi, bo w takim boju i przyszłe oswobodzenie Polski widzieć będziemy, nie najmiemy się do obcej służby, nie będziemy należeć do żadnej walki, jeżeli nie będzie prowadzona w sprawie wolności europejskiej i w interesie naszej ojczyzny.*)

Przedsięwzięcie portugalskie wywołało zamach na Bema. Każda podobna inicjatywa wywoływała burze protestów i najbardziej krzywdzące oskarżenia. Z wyrokiem warszawskim z 1834 roku zbiegł się osobiście co do czasu inny wyrok, "Ogółu zakładu w Poitiers", zaopatrzone blisko trzema tysiącami podpisów; głosił on światu, że "Adam Czartoryski nie tylko nie posiada ich zaufania, ale uważany jest za nieprzyjaciela Emigracji Polskiej"; dołączając się, zakład w Nevers szedł dalej: uznawał Czartoryskiego za "niegodnego imienia Polaka, za zdrajcę ojczyzny", i "podawał go wzgardzie publicznej i przekleństwu potomności".**) Doprawdy, nielada siły ducha było potrzeba, aby — jak Czartoryski — zęby zacisnąwszy, "bądź co bądź"

*) Odezwa z 3 października 1832, Gadon *Emigracja Polska III*, 302-4.

**) Gadon, t. III, 19-25. — Od razu wtedy zwrócono uwagę na zbieżność tej deklaracji w czasie z wyrokiem carskim; Gadon słusznie zaznacza, że Adam Gurowski, jeden z głównych instygatorów protestu przeciw Czartoryskiemu, już wtedy starał się o łaskę Mikołaja. Wtedy to pisał Mickiewicz w epilogu do *Pana Tadeusza*, że "utraciwszy rozum w mękach długich pluja na siebie i żrą jedni drugich".

czynić swoje, wyjednywać dla tych nieszczęsnych tułaczy azyl od rządów, wyrabianić ich od represyj, z powrotem do Francji sprowadzać mocno skompromitowanych "Szwajcarzan", przeprowadzać w cudzych parlamentach ustawy o zasiłkach dla emigrantów, organizować dla nich pomoc szkolną, zakładać szkoły i inne instytucje społeczne, które miały pokolenie to przetrwać. "Biedni — pisał — więcej ich żalować niż potępiać należy". A po kilku latach, wspominając w jednej z pamiętnych mów listopadowych (1839), że spotykały go i potwarze i objawy przychylności i wielkiego zaufania, wyznawał: "Na pierwsze mam w obronie nieuwagę, często nieświadomość, zawsze zapomnienie; dla drugich zaś szczerze wzajemne czucie i żywą wdzięczność. Ale nie jedne, ani drugie, ani obrazy różnego stopnia i rodzaju, ani przychylnie zachęcenia nie potrafią mnie zbić z toru, na którym zbieg okoliczności nie dopiero (też) mnie postawił i po którym idąc, i odkąd zapamiętam życie, służąc podług możliwości krajowi, nie proszę, nie życzę i nie spodziewam się, aby Bóg mi dopomógł: chyba... że w każdym razie to właśnie uczynię, co w czystym sumieniu, w nieuprzedzonym, niezboconym własnym przekonaniu uznaję być z większym dobrem, z większym bezpieczeństwem, da Bóg z chwałą i szczęściem naszej ukochanej ojczyzny".

Władza za rewolucji spoczywała w sejmie, który "sam jeden powagą wszechwładności był obdarzony". Sejm uchwalił był 19 i 26 lutego (czasu bitwy grochowskiej i zagrożenia stolicy), że ma prawo zebrać się i zagranicą, z wymaganiami kompletu 33 tylko senatorów i posłów. Była przeto w zasadzie możliwość zebrań się sejmu i wyłonienia przezeń legalnej władzy narodowej na emigracji; narady w tej sprawie były od stycznia 1832 roku; w styczniu 1833 zeszedł się komplet wymagany. Sprawa rozbiła się o negatywne stanowisko Czartoryskiego i grona solidaryzujących się z nim posłów i senatorów. Obawiano się pograżenia sprawy publicznej w deklaracyjnym werbalizmie, w retoryce i frazesach. Z gwałtowną opozycją występowało z drugiej strony młode Towarzystwo Demokratyczne.

Może przepadła w ten sposób ostatnia okazja zespolenia emigracji przy symbolu władzy narodowej, bez względu na polityczne różnice. Zrozumiały się jednak obawy tych, którzy sprzeciwiali się otwarciu legalnej sesji sejmu po tragicznych z nim doświadczeniach za rewolucji.*)

Książę miał zatem przeciw sobie większość emigracji; kóż skołatana swą polityki prowadził przy gwałtownym przeciwnym wietrze z tej strony. Oparcia szukać musiał tworząc, teraz dopiero, stronnictwo własne. Tajny Związek Jedności Narodowej, założony 21 stycznia 1833 roku przez Czartoryskiego, Stanisława Barzykowskiego, (minister wojny 1831 roku), Gustawa Małachowskiego (minister spraw zagranicznych), generałów Bema i Dembińskiego, Ludwika Platera i Józefa Świrskiego

*) O sejmie trafnie Handelsman, 257-9.

(minister spraw wewnętrznych w rządzie zakroczymskim), z udziałem następnie Kniaziewiczza, Paca, Niemcewicz, Jelskiego, Chrzanowskiego, Bystrzonowskiego, Breańskiego, oczywiście Zamoyskiego i in., przyjmował jako zasady programowe "równość wszystkich w obliczu prawa", "wolność ogólną osób, wiary i zdań", "własność wszelką" (tj. bezpieczeństwo własności), "nadania własności włościanom przy zabezpieczeniu praw nabytych (zatem z wykupem świadczących i czynszów), wreszcie jedność i tęgość rządu. Wyrażna tu była tendencja do rządu monarchistycznego, konstytucyjnego, umiarkowanego liberalnego, z przyjęciem w zakresie społecznym osiągnięć rewolucji francuskiej.

Co do włościan, precyzowano, że "trzeba im zapewnić własność tam, gdzie są wolnymi, a wolność i własność, gdzie są jeszcze w niewoli" (tym słowem, jak niegdyś Napoleon w konstytucji Księstwa, napiętnowano poddaństwo). Działać chciano "w świętym i religijnym utajeniu" (organizacja o pięciu stopniach wtajemniczenia), by w Kraju choć uciemienionym, utrzymywał się "duch żywotny"; podczas gdy na emigracji działać się będzie "na opinię ludów i na przekonanie rządów".*) W instrukcji dla Karola Marcinkowskiego, wysyłanego do Polski w październiku 1834, książę precyzował swą myśl co do roli kraju i emigracji w walce o niepodległość: "Polska nie może powrócić do swego życia, tylko przez powstanie silne, powszechne, w całym kraju i w porze (właściwej) zrobione"; pokąd taka pora nie nadejdzie, "Kraj musi być rad nie rad cierpliwy. Wszelkie działania częściowe, wszelka wojna bez upoważnienia, przynieść może jedynie klęskę. Emigracja zaś musi zespolić się, pracować i formować zbrojny korpus polski..."**)

Słusznie podnosząc zbawcze postulaty Związku co do włościan, pisze Gadon, idąc na pewno za tradycyjnym poglądem Czartoryskich, że należało tę sprawę "postawić ponad wszelkie inne, poruszać wszelkimi środkami"; że należało dążyć do uwłaszczenia chłopów przez samych obywateli; gdyby rządy zaboreze udaremniały tę akcję, w świadomości ludu by jednak pozostało, że Polska niosła mu oswobodzenie. Z wewnętrzno-politycznego punktu widzenia byłoby to rozbrojeniem grożącej społecznej rewolucji, wytrąceniem broni radykalnej propagandzie przeciw ziemiaństwu ze strony Węglarzy, Młodej Polski i Towarzystwa Demokratycznego. To, ku czemu tamci zmierzali przez wewnętrzną społeczną walkę i rewolucję zbrojną, obóz Czartoryskiego miały osiągnąć w duchu solidaryzmu, jedności narodowej, w imię miłości ojczyzny, jako spełnienie koniecznego wstępnego warunku do jej przyszłego powstania.

Ale wielka ta myśl raz jeszcze natrafiała na jakieś głuche opory we własnym obozie i warstwie ziemiańskiej, na której głównie, choć nie wyłącznie się opierał; torowała sobie zwolna

*) O Związku Handelsman, 264-271; Gadon, II 300-317; Jenerał Zamoyski, III, 102-3.

**) Handelsman, Francja - Polska, 240.

drogę w świadomości tej warstwy, gdy wzbierały tymczasem w Kraju i na emigracji tendencje, identyfikujące rewolucję społeczną z powstaniem polskim.*)

Niepodobna jednak się zgodzić, by to sprawa chłopska dzieliła Czartoryskiego od demokracji, jak to pisze np. Widerszal w przedmowie do publikacji Benisa.

Wobec rozpetanej kampanii przeciw księciu, a jednocześnie ciągłych dowodów ile może w stosunku do obcych jego osoba i jego imię, Związek ewoluował w kierunku wyniesienia go ponad emigracyjne swary i sprawy. Dwie przyszły podniety z zewnątrz. Już w marcu 1834 Mickiewicz radzi, by książe nie popolitował się na emigracji i na króla się zachowywał. "To — notuje słowa Mickiewicza Błotnicki — było filaretów celem" Jednocześnie Mochnacki (już trawiony śmiertelną chorobą) rozwija przed Władysławem Zamoyskim swoją koncepcję monarchiczno-insurekcyjną: "Chcę teraz zjednoczyć pod zwierzchność jednej głowy naczelnej" całą emigrację, celem następnego "poruszenia do insurekcji całego narodu polskiego". W jego myśli związek ogólny emigracji pod przewodnictwem księcia ma się uzasadniać i tłumaczyć interesem przyszłego powstania. Z inspiracji tych wynikała raczej może naczelna władza księcia, tymczasowa, regencyjna, aniżeli próba budowania tronu na wygnaniu. Jednakże nurtuje już odtąd w otoczeniu księcia i jego obozie myśl o żywym symbolu idei — o królu de facto, o dynastii de facto.

VI.

Król de facto

Kiedyś, w roku 1837, pod nieobecność księcia w Paryżu, jeden z najczynniejszych młodszych działaczy jego obozu, Janusz Woronicz, na zebraniu grona członków Związku Jedności Narodowej w Towarzystwie Literackim, rozwinął swą koncepcję monarchii dziedzicznej w rodzinie Czartoryskich, wnosząc okrzyk na cześć króla Adama I. "Dynastie — pisał następnie w swym traktacie o monarchii i dynastii w Polsce — są opatrnością narodów. Polska ma dynastję de facto, miałyby w najniebezpieczniejszej chwili odrzucać środek zbawienia..." Rozwijał tezę, że monarchia bez monarchy jest martwą literą, że musi być ucieleśniona w człowieku. Powstało w r. 1839 z jego inicjatywy, za którą stał Władysław Zamoyski, Towarzystwo Monarchiczno-Insurekcyjne Trzeciego Maja, polityczna, jawna organizacja, kierowana najpierw przez Narcyza Olizara, później przez pułkownika Breańskiego; doszła ona do poważnej na emigracji liczby półtora tysiąca członków i przenikła do Kraju.

Książę Adam opierał się zrazu tym projektom: "chcecie mnie wystawić na śmieszność". Później, według świadectwa Gadona,

*) O nich w moje rozprawie, *Koncepcje powstania narodowego przed Wiosną Ludów*, Teki Historyczne 1948, zes. 3.

choć niechętnie, uległ otoczeniu. Nacisk moralny był ze strony Władysława Zamoyskiego; jawne przyjęcie tronu de facto przez księcia we własnym i rodziny imieniu, zalecał jako ofiarę konieczną dla odbudowania Polski i miał żal, że ani książe, ani jego rodzina, wzdragająca się przed takim brzemieniem, nie zdecydowali się na taką całkowitą ofiarę. Książę nigdy oficjalnie akcji Zamoyskiego i Woronicza nie zaaprobował, choć nie chciał się od niej odcinać, a w Woroniczu miał nadal bliskiego współpracownika.*) Następstwa tego były zrazu bardzo ciężkie: rozpadnięcie się Związku Jedności Narodowej, odsunięcie niektórych poważnych, starych politycznych przyjaciół, ostry zatarg z Władysławem Platerem, niepokój i dezorientacja w Kraju, pewna konsternacja u przyjaciół zagranicznych, nawet u Dudleya Stuarta.

Ten wygnańczy tron nie jednoczył Polaków, ale dzielił: w cpozycji znaleźli się — czasowo przynajmniej — także i ci, którzy widzieli w księciu Adamie naczelnika narodu równego królom, ale nie przyznawali emigracji, czy odłamowi jej, prawa dysponowania tronem polskim, i ci wszyscy, którzy nie byli skłonni zdawać przyszłości narodu na chłopięcych wtedy jeszcze jego synów: siedemnastoletniego Witolda, czy trzynastoletniego Władysława, domniemyanych sukcesorów sędziwego już, blisko siedemdziesięcioletniego księcia. Nie tylko Plater tłumaczył Czartoryskiemu, że najpiękniejszy jest tytuł "patrioty rzeczywistego, a nie króla pozornego". Nie tylko Słowacki, godząc poetycką inwektywą w obóz zachowawczy, z żalem żegnał szlachetną wizję księcia, który "jeden tylko serca męką, zamiarami choć nie skutkiem, wielkim, cichym, dumnym smutkiem, pełną zawsze darów ręką, smętną jakąś nieszczęść sławą, — był szlachcicem — i miał prawo". I uderzał nie tylko on w jego złudę królewskości: "Dziś i ten nie został z wami, swej godności już nie trzyma, marą króla zgnił z królami, dziś go nie ma — i was nie ma".

Dla właściwych politycznych przeciwników był to idealny temat do napaści, szyderstwa i zniewag. Nie szczędził ich też "Pszonka" Zienkowicza i nie było w obozie demokratycznym pisarza, który by o ten tron wygnańczy pióra sobie nie ostrzyż.

Dzieło Handesmana przysporzyło nieco informacji o tej sprawie, nie dając jednak wyraźnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego książę do tej sytuacji dopuścił; można rozumieć, że powodem byłaby słabość w stosunku do otoczenia, niedomaganie słabnącej jakoby woli. Byłoby to poniekąd zgodne z tradycją, prze-

*) Handesman, 270-290; i "Francja-Polska", 260-265; Gadon, III, 254-5 (tu widoczna tendencja do potraktowania sprawy "fikcji tronu tułaczego" z jak największą rezerwą. Wyraźna, ostra krytyka w pogrzebowej mowie ks. H. Kajsiwicza, gdzie widzi "życziwość niepomiarowaną zwolenników", "zbytnią gorliwość przyjaciół". Najwięcej światła rzucają zapiski i listy Władysława Zamoyskiego, *Jenerał Zamoyski*, IV 53-4, 86-7, 91-3, 103, 153-5, 181, 334, 368-71, 463; najważniejszy list do księżnej Sapieżyny, V, 414-6.

kazaną przez Gadona i można by się czegoś podobnego doczytać w zakłopotanej odpowiedzi księcia Platerowi.

Wyjaśnienie takie nie wydaje się dostateczne. Nie tłumaczy ono wcale tej konsekwencji, powagi i rozwagi, z jaką książę ten tron wygnańczy budował i umacniał przez całą resztę życia. Chociaż nie doszło w roku 1839 do zamierzonego proklamowania go królem, choć w roku 1846 na wiadomość o ogłoszeniu Rządu Narodowego w Krakowie natychmiast go uznał i wezwał Towarzystwo Trzeciego Maja do rozwiązania się; chociaż w roku 1848 doprowadzić chciał do jedności wysiłku narodowego nawet w drodze przez zwołanie sejmu na emigracji, chociaż zawsze był gotów pochwylić każdą okazję osadzenia obcej dynastii na tronie polskim, gdyby to miało służyć sprawie niepodległości, a pod koniec życia usiłował poprzeć zarysowującą się możliwość rozwiązania austro-polskiego, — to jednak w działaniu jego do końca był już wyraźny styl królewski. Niewątpliwie, zgodnie z sugestiami Zamoyskiego inicjatywę tę potraktował jako nowy obowiązek, od którego nie może się uchylić: okazania narodowi czym może być, nawet w tak niesłychanie trudnych okolicznościach, monarchia polska; ryzyko śmieszności przyjął po wahaniach jako wyzwanie, by pokazać, odwracając słowa Napoleona, że jeden jest tylko krok od śmieszności do wzniosłości — gdy w grę wchodzi poświęcenie i wielkość duchowa. Korona była tylko cierniowa i dlatego od niej się nie uchyłał, gotów ją nieść pokąd dobro Polski, jak je pojmował, tego wymaga i traktując to jako swoją ofiarę i służbę sprawie.

Wyjaśnienie powyższe wydaje się zgodne z ustępem listopadowej mowy księcia 1841 roku, gdy — wspomniawszy jak dawna współpraca z Aleksandrem utrudniała jego położenie w czasie powstania — oświadczał: "Że zaś teraz — gdy żadne pozorne podejrzenia i potwarze nie mogą mnie już dotknąć — wołam o to, czego brak był przyczyną naszego upadku i bez czego nigdy powstać znowu nie zdołamy, że wołam o uznanie i poparcie jednej władzy, jednego wspólnego środka działania, przez co by naród w niedostatku siły materialnej nabył i utworzył w sobie potęgę moralną, zdolną podnieść jego sprawę i nią pokierować: mam mocne przekonanie, że przez to oddaję krajowi ostatnią może usługę i że tak czyniąc, poświęcenie się moje ma prawdziwie więcej wartości i wagi i jest tym trudniejsze i boleśnieszsze, jak gdybym się tylko obwinął w moją bezinteresowność i nią utulony daleko spokojniej resztę dni moich dożył..." Wtedy to do swej dewizy: "Bądź co bądź" dodał drugą — dewizę angielskiego Księcia Czarnego: "Ich diene" — ja służę.*)

Służył zaś niezmiernym, twórczym wysiłkiem duchowym, nie słabnącym, choć posuwały się lata. Jest drukowany zbiór jego mów z lat 1838 — 1847, wygłaszanych czy to w dniu 3 maja w Towarzystwie Historyczno-Literackim, czy na obchodzie rocznicy listopadowej; mają one styl mów tronowych, treść — w

*) O tej dewizie, że "godło podobnego znaczenia zapisane w sercach", wspomniął w mowie z 3 maja 1841.

większości — wielkich exposés szefów rządów. Wiele z nich — i inne późniejsze — są w jego papierach i w brulionach własnoręcznych, przemawia w nich on sam, jego myśl własna.*) Mowy te głoszą naukę jedności i dyscypliny narodowej, cierpliwego, wytrwałego wysiłku, kierownictwa jednolitego, stałego i przewidującego, działania na daleką metę obmyślanego i celowego, wystąpienia wreszcie do walki, ale przygotowanego i w odpowiedniej chwili. Tak w mowie listopadowej 1840 roku głosi Czartoryski jako pewnik "żeśmy nie zginęli przez oręż nieprzyjacielski", sądzi że upadliśmy nie dla braku środków materialnych, "ale dla braku siły moralnej, która by tamtych mogła zarządzać; dla braku ładu, jedności, zdołanego rządu i wiary w siebie". Stwierdzając, że wojna, która zdawała się bliska, odsuwa się na czas nieokreślony, że rozbrat ówczesny w polityce Anglii i Francji jest triumfem i siłą Moskwy, że jest na Zachodzie obawa powszechna przed wojną, konstatuje odmienną sytuację naszą: "My, Polacy, jedni nie lękamy się wojny; dlatego naprzód, że wojna tylko Ojczyznę wrócić nam może" — a powtóre, bo "nasi ciemiężcy rozumieją się zawsze w stanie wojny z nami" i cierpienia rzekomego pokoju sprawiają, że naród oczekuje wojny jako wyzwolenia. Lecz, aby Polska mogła "wejść prawdziwie w rachuby europejskie", trzeba koniecznie "pewności powstania jednoczesnego i jednoczącego", a "Polska powstająca i walcząca o niepodległość nie powinna być czym innym jak uszykowanym obozem". Trzeba jednak dwóch rzeczy: własnej siły i pomyślnych okoliczności. Czartoryski nie zdaje sprawy polskiej bezwzględnie na pomoc obcą, wie dobrze, jak wiedział w 1831 roku, że "bez wysiłku narodowych" nikt Polski nie oswobodzi, ale wie zarazem, że własne siły do sprawy z trzema rozbiorcami nie starczą. W roku 1842 (również 29 listopada) precyzuje swoją politykę: "Co do mnie, nie omylem raz przyjętego hasła i bądź co bądź pozostanę wierny powołaniu i przekonaniu mojemu; będę zbierał każde osobne ziarno, chwytał każdą nić, ścigał do jednego wątku, do jednego ogniska, aby tym sposobem utworzyć ile można siłę dla Polski, aby usposabiać umysły do wewnętrznego porządku, a serca do śmiałego czynu, kiedy pora pomyślna i pomocne od zewnątrz przymierza przygotowują się i nadejdą".

Myśl Czartoryskiego zwracała się do wszystkich warstw narodu, wszystkich ziem polskich, nie pomijając żadnej sprawy obchodzącej Kraj czy Emigrację. Pod koniec tego okresu z całą mocą postawił w obu mowach 1845 roku — majowej i listopadowej — sprawę włościańską. W pierwszej ujmował się serdecznie za chłopami ze spisku księdza Sciegiennego, przecho-dzącymi srogie katusze, dawał wyraz swojej wierze w lud, od szlachty domagał się, by okazała się godną mu przewodzić i

*) Warto zaznaczyć, że ogromna część jego korespondencji w materiach publicznych istnieje w jego własnoręcznych brulionach, co jest odpowiedzią na wątpliwości wysunięte przez M. Żywieńskiego, o ile polityka Czartoryskiego w tym czasie jest jego własna.

przestrzegali przed zaniedbaniem tej powinności. Odpowiadało to jego pogładowi, wyrażonemu poprzedniego roku w instrukcji dla kraju: "Zasadą jest dla przyszłego powstania, żeby tak go urządzić, aby właściciele wystąpili w nim jako dowódcy ludowego ruchu".

W drugiej mowie mocno i stanowczo domagał się przeprowadzenia uwłaszczenia włościan. "W postępie rzeczy ludzkich przychodzą chwile, w których słowa zaczynają być bezskutecznymi i potrzebują czynów by odzyskać swą wartość..." Do czynów tych zaliczał uwłaszczenie, "główny i najskuteczniejszy środek, jeśli chcemy, żeby w chwili rozstrzygającej naszym losem, cały naród, to jest miliony ludu, zgodnym i powszechnym spółnemi zapalem..." Wskazywał, że to jedyna droga, by uniknąć socjalnych wstrząśnień. Wspominał wiekowe błędy i winy, wzywał do ich zmazania ofiarą, której "domaga się i miłość Ojczyzny i miłość chrześcijańska i konieczność i sprawiedliwość, i, nie waham się stwierdzić, dobrze zrozumiany własny interes".

W tejże mowie — jak w wielu innych — wspominał Rusinów i Litwinów, którzy "są naszymi braćmi i jednym narodem". Zmieszaly nas dzieje, złączyły wspólne cierpienia: "jedyna nadzieja wolności w zgodnym braterstwie". Żądał szacunku dla ich odrębności, dla ich obrządków, obyczajów i mowy. W stosunku do wyłaniającego się zagadnienia odrębności tych ludów, szukał już na przyszłość rozwiązań w duchu słuszności i miłości chrześcijańskiej.

Można wyraźnie zauważyć, jak sprawy religii coraz mocniej zaznaczają się w jego mowach i polityce i jak w latach czterdziestych przemawia coraz wyraźniej językiem wierzącego chrześcijanina. W mowach tych i polityce coraz silniejszym echem odzywały się losy Kościoła, próby poddania go w Królestwie czy Krakowie żandarmskim dyspozycjom władz zaborczych, a w ziemiach zabranych prześladowanie Unii i przymusowe nawracanie na prawosławie. Czartoryski nieraz szukał w Watykanie oparcia i pomocy dla Polski i dla cierpiącego Kościoła w Polsce. Na próżno zwracał się tam już w 1831 o ujęcie się za Polską (misja Badeniego). Potem przyszła, w r. 1832 zredagowana przy udziale posła rosyjskiego pamiętna encyklika Grzegorza XVI "Cum primum", potępiająca powstanie, traktowane łącznie z innymi ruchami rewolucyjnymi (zagroźały równocześnie Państwu Kościelnemu) i głosząca posłuszeństwo monarchom. Wywołała ona ból nieopisany wśród Polaków, wzburzenie przeciw polityce papieskiej, nastroje buntu przeciw samemu papieżowi. Nie odpowiada też rzeczywistości pogląd Żywczyńskiego, że obóz Czartoryskiego — liberalno-zachowawczy, jak należałoby go określić — był od początku czasów emigracyjnych par excellence katolickim; jeszcze wtedy nie sformułował był książę swego wyznania wiary: to nie katolicyzm ma być z miłości Ojczyzny, ale patriotyzm z miłości Boga. Obrona katolicyzmu była dlań wtedy głównie nakazem polskiej

racji stanu, postulatem samoobrony narodowej.*) Próbował nawiązać kontakt z Rzymem, apelując "a papa male informato ad melius informandum", by pogodzić go z narodem polskim i sprawą jego niepodległości.

Próby podejmowane od 1834 roku przez Adama Sołtana nikiły dały wynik; pisał on w lutym 1837 z goryczą: "Chyba by w Moskwie rewolucja zaszła, chyba by despotyzm zdeptano, chyba by car liberalnym został i nowe prawa z pomocą izb zaczął tworzyć, wtedy dopiero może zgańliby go Watykan".

W tym czasie książę zbliżył się z przedstawicielami odradzającej się, we Francji myśli katolickiej z Karolem de Montalembert na czele; przez niego utworowaną drogą dotarł do papieża w czerwcu 1837 roku Władysław Zamoyski. Już w pierwszej rozmowie wywarł silne wrażenie, wywołał jakby wycofanie się papieża z zajętego stanowiska; w drugiej, jego uniesienie jakby udzieliło się papieżowi, który ze łzami w oczach zapewniał, że nie chciał potępiać Polaków, że był źle poinformowany co do charakteru powstania, że chciał przez swą encyklikę oszczędzić Kościołowi prześladowań. W istocie wiedział już dobrze, że mimo stałego wstawienictwa austriackiego u Mikołaja, car źle się odplaca za wyświadczoną przysługę.

Powstało ze strony polskiej wrażenie, że papież zmienił swój stosunek do Polski. Wprawdzie istotną treść encykliki tej powtarzał jeszcze potem w encyklikach 1839 i 1842 roku. Ale nic była nawiązana, kontakty trwały. Od 1837 przez parę lat utrzymuje je w Rzymie Cezary Plater. W roku 1842, w mowie listopadowej, książę, witając gorąco breve papieskie, "odsłaniające przed światem srogość i szpetność postępowania carskiego rządu" przeciw katolicyzmowi w Polsce, stara się ułagodzić i uspokoić opinię w stosunku do Ojca Świętego. Od 1844 roku stale już i na długo działa przy Stolicy Apostolskiej Główna Agencja Rzymska, prowadzona gorliwie i rozważnie przez Ludwika Orpińskiego, byłego redaktora "Trzeciego Maja", a teraz "agent tacitement reconnu".

W roku 1845 książę Adam podejmuje doniosłą inicjatywę w interesie Kościoła wojującego: na ciosy, pod którymi jęczy Unia w Polsce, odpowiada akcją na rzecz unii kościelnej na Bałkanach, mającą narody bałkańskie uodpornić na wpływy Rosji, związać z Polską i Zachodem.**)

Dziedzina, w której polityka Czartoryskiego największą rolę zwinęła czynność, były sprawy wschodnie. Torował jej drogę przez Davida Urquharta i przez generała Chrzanowskiego; w roku 1841, w porozumieniu z Guizotem i Rzeszdem Pasza, wysłał do Konstantynopola Michała Czaykowskiego jako stałego

*) Stąd zastrzeżenie ks. Kajsiewicza w mowie pogrzebowej co do ówczesnych pism i mów księcia.

**) O stosunkach z Rzymem, M. Żywczyński. *Geneza i następstwa encykliki Cum primum z 9 czerwca 1832. Watykan i sprawa polska w latach 1830 - 1837* (Warszawa 1935), M. Handelsman, *Rok 1848 we Włoszech i polityka Ks. Adama* (Kraków 1936), *Jenerał Zamoyski III*, 431 - 441.

agenta, stworzył tam Agencję Główną, czynną odtąd przez ćwierć wieku jako pół-oficjalna reprezentacja dyplomatyczna, z agentami podwładnymi na Kaukazie, w Belgradzie, w Bukareszcie, w Dobrudży, promieniującą przez emisariuszy na Niż i Ukrainę.

Stąd szli jako wysłańcy do walczących Czerkiesów Lenoir-Zwierkowski i Kazimierz Gordon; tu przygotowywano później wyprawy większych misji: Witolda Czartoryskiego (1847), Bystrzonowskiego (1853), nie z polskiej niedoszłej winy. Ale nie szło tylko o podsycanie wojny powstańczej na Kaukazie, czy zachęcanie Turcji do stawiania czoła naporowi carskiemu, czy przypomnianie Zachodowi, że gdy Rosja będzie rozporządzała kluczem do jej domu, za jaki uważa Konstantynopol, w dniu tym — jak pisał Montalembert — nie tylko wolność morza śródziemnego, ale dużo więcej wolności będzie bezpowrotnie narażonych.

Szło o budowanie zapory wschodniej. Panowanie tureckie na Bałkanach było podważane przez wzbierające dążności separatystyczne narodów bałkańskich, podsycane i eksploatowane przez Rosję. Polityka Czartoryskiego krzyżuje wszędzie wysiłki polityki rosyjskiej, staje jako wspólny przyjaciel pomiędzy Portą a jej chrześcijańskimi poddanymi i lennikami, stara się inspirować, łagodzić, powściągać i cierpliwie toruje drogę do pokojowej i ewolucyjnej emancypacji tych narodów, z utrzymaniem związku z Turcją, ale pod wpływem Polski i Zachodu. W r. 1843 Czartoryski oficjalnie reprezentuje Serbię wobec Anglii i Francji. Jego instrukcja dla Franciszka Zacha w Belgradzie wykreśla drogę polityki serbskiej na długie dziesiątki lat, aż do zjednoczenia Jugosławii w 1918 roku, zalecając jednocześnie umiar w działaniu, nie zrywania z Turcją.

Ówczesny książę serbski, Aleksander Karadźordżewicz, zawdzięczał w dużej mierze tron pomocy Czartoryskiego, szedł za jego radą podobnie, jak wielki mąż stanu serbski, Garaszanin. W roku 1844 car Mikołaj wyrzekł w Berlinie: "Wszystkie kłopoty, jakich doznajemy w Serbii zawdzięczamy księciu Czartoryskiemu".

Główny agent polski już stawał się opiekunem Bułgarów, u których budzi się świadomość narodowa. Próbę unii w roku 1845 unicestwiają na razie wywołane ręką rosyjską prześladowania; są pierwsi męczennicy. Akcja ta odżyje później.

Gdy w roku 1849, po katastrofie węgierskiej Turcja, pod groźbą akcji wojskowej austriacko-rosyjskiej, musiała się zgodzić na wydalenie Czaykowskiego, Ambasador francuski, generał Aupick, ujmuje się za nim: przecież to przy jego pomocy Turcja wiąże ludy słowiańskie ze swym państwem, wyjazd jego byłby niepowetowaną stratą. Do wyjazdu wtedy nie doszło; Czaykowski wybrał Islam i służbę sułtańską. Skomplikowało to działalność agencji; przy potężnej jego pozycji, bardzo wyłącznych ambicjach, a ciągłych zapewnieniach wierności dla księcia Adama, rola jego następców nie była łatwa; lecz agencja trwa

ła i Polska ważyła nadal w polityce Turcji, narodów bałkańskich i Zachodu. Myśl księcia Adama biegła wciąż ku tym pobratymczym ludom. U schyłku życia (w 1860) bliskim był, jak mu się zdało, realizacji unii kościelnej w Bułgarii, a z dalekiego Kaukazu połączeni Czerkiesi, których sprawy był rzecznikiem przez długie lata, przekazywali mu jej obronę, dając mu w 1861 uroczyste pełnomocnictwo do zastępowania ich wobec królowej Wiktorii i cesarza Napoleona III.*)

Dla Czaykowskiego Bałkany i Kaukaz były bazami do działania na Niż Czarnomorski, do poruszenia Kozaczyzny ukraińskiej — "z Niżu jedynie tylko można rozburzyć carstwo moskiewskie" (1845). Idą tam jego emisariusze, nawiązuje się łączność przez Dobrudżę i osiadłych tam Kozaków Nekrasowców.

Książę Adam, jak wspomniano wyżej, z uczuciem braterskim i nadzieją witał objawy budzenia się ukraińskiego ducha narodowego. Widział w nim gałąź tegoż narodu, co polski: nie byłże on sam i Litwinem, bo z Litwy ród jego wyszedł, i Rusinem, bo na Rusi był osiadłym. Widział możliwość wolności dla Rusi jedynie w związku z Polską i znów dostrzegał rozstrzygające znaczenie rozwiązania sprawy włoskiej na tych ziemiach — żądał, by rozwiązywano je "z sercem czystym i myślą niezachmurzoną ślepym egoizmem". W tym widział jedyną drogę, by pragnienie wolności tego ludu nie znalazło ujścia w nowej kolizyjności, ale w walce wspólnej o niepodległość.**)

Rozwijająca się na taką skalę akcja polityczna wymagała ośrodka kierowniczego w jakimś punkcie stałym, czegoś w rodzaju wygnańczej stolicy. Tym stał się w r. 1843 stary pałac na wyspie św. Ludwika w Paryżu, Hôtel Lambert. Przez parę lat dziesiątków pod nazwą tą znany był Polakom polski kierowniczy ośrodek polityczny na obczyźnie.

Nabyty został ten dom dzięki poprawie sytuacji majątkowej księcia Adama: jego teściowa, księżna Anna Sapieżyna, mieniła się "femme de charge et d'affaires de la famille" zdołała ocalić majątek córki, sprzedać w porę by uniknąć zaboru, przez pomyślnie lokaty go przysporzyć. Tu była siedziba rodzinny księżęcej, biura polityczne, ognisko akcji charytatywnej, prowadzonej przez księżnę Annę Czartoryską; tu mieścił się również Instytut Panien Polskich. O tym dworze wygnańczym dużo interesujących szczegółów, w znacznej części nowych, podaje dzieło Handelsmana; szkoda tylko, że ludzie, występujący w ciągu lat kilkunastu i różne sprawy, dziejące się w tym okre-

*) Do polityki wschodniej Czartoryskiego podstawowe prace: Handelsman, Czartoryski, Nicolas I et la question du Proche Orient (1934); L. Widerszal, Sprawy kaukazkie w polityce europejskiej w latach 1831 — 1864 (1934); tenże Bułgarski ruch narodowy (1937); A. Lewak, Dzieje emigracji polskiej w Turcji (1831 - 1878) (1935); H. Batowski, Państwa Bałkańskie (1938). Polski Słownik Biograficzny pod BEM, BREŃSKI, BYSTRZONOWSKI, CHRZANOWSKI, CZAYKOWSKI.

***) Handelsman, Ukraińska polityka ks. Adama Czartoryskiego (1937) 98 — 128.

się, są tu pokazane jakby na jednej płaszczyźnie, w jednym obrazie bez perspektywy. Co się tu zatraca, to zachodzące głębsze przemiany nie tylko w składzie współpracowników księcia, ale i w nim samym — i jego bliskich. Nie podobna pisać historii tych przemian w braku bezpośredniego oparcia o archiwum i rodzinne papiery. Zaznaczyć tylko można pewne rozbieżności co do roli poszczególnych osób. Dla przykładu: trudno do "dworu" książęcego zaliczać "kochanego družbę" Mickiewicza, który by się o to obraził — a często się obrażał i przekonanowo nieraz oddalał, przy czym nieraz nie miał racji i bywały chwile, gdy wyraźnie się zabłąkał na bezdrożach. A pułkownik Zamoyski, (generał od 1853 roku) nie był "majordomusem" i trudno dłań wymyślać urzędy; ten siostrzeniec był bliskim jak syn, gdy synowie wnukami być mogli, przyjacielem i wyręczytciem, bezgranicznie oddanym, bezgranicznie ofiarnym, zdolnym do najwyższego zaparcia się siebie. Mówi Handelsman, że był on "złym duchem" Hotelu Lambert, nazywa go Mierosławskim à rebours. Co do tego porównania, obaj mieli wojskowe talenty, choć Mierosławski raczej w koncepcjach, Zamoyski raczej w działaniu jako żołnierz i dowódca. Obaj mieli pasję polityczną, przy czym może u Zamoyskiego temperament brał czasem górę nad rozważą — u Mierosławskiego zawsze. Obaj byli arbitralni i niełatwo godzili się z cudzym zdaniem, choć dla Zamoyskiego człowiek innego zdania to jeszcze nie wróg osobisty i zemstą go nie ściga. Ale tu podobieństwa się kończą. Szalony egoizm i pycha Mierosławskiego są przeciwieństwem służebnego stosunku do sprawy i ducha chrześcijańskiej pokory, które coraz silniej rozwija w sobie Zamoyski. Toteż, gdy o "złym duchu" mowa, przypomina się "Przygotowanie" z "Kordiana" i ochrzczenie tam księcia Adama: "Dajmy mu na pośmiewisko sprzeczne z naturą: nazwisko, nazwijmy imieniem czarta".

Na co należałoby zwrócić uwagę, charakteryzując Hôtel Lambert, to na występującą z biegiem lat coraz wyraźniej zakonną niemal atmosferę tego "dworu". "Błogosławiony — mówi książę — i człowiek i ten naród, który czy w pomysłności, czy w najsroźszej niedoli zawsze się widzi przed Bogiem". Tak żyje sam. I do tego trybu ma się dostosować i ta rodzina i ten dom. Księżna, jałmużniczka emigracji, dumna jej kwestarka, gdy prosi obcych o jałmużnę, pisze, że stoi za nią cały lud wygnańców. George Sand, z którą znają się przez Chopina i Grzymałę, pisze do niej: "Chère Majesté, Regina Coeli". Ale przychodzą i u niej chwile zwątpienia, załamania duchowego, rozterki; wymownie o tym świadczą przytoczone przez Handelsmana urywki z korespondencji księcia z 1845 roku. Starszy syn, Witold, broni się przed brzemieniem wymaganej od niego służby politycznej i wojskowej, wydzwignięcia się na szczył woda i męża stanu i podporządkowania pragnień osobistego szczęścia nakazom obowiazku, które narzuca familijna racja stanu, sublimowana jako służba sprawie. Ale duch zakonny bezwzględne posłuszeństwa i zupełne zaparcie się siebie stop-

niowo przenika tu wszystko, zgodnie z wolą księcia Adama wyrażaną w tych latach czterdziestych i później do zgonu w tych najprostszych, nieraz powtarzanych słowach: "Ja służę" — i "Bądź jednak Twoja, nie nasza wola".

VII.

Rewolucje. Wojna Wschodnia. Światłość o zmierzchu.

W roku 1845 Centralizacja Towarzystwa Demokratycznego pod naciskiem gorętszych, młodych elementów sprzysiężenia krajowego, zdecydowała się, na wszczęcie w roku następnym powstania, "jakiego bądź powstania", jak się wyrażał desygnowany na jego wodza wojskowy trybun ludu, Mierosławski.

Nie o takim powstaniu myślał książę Adam, przemawiając 29 listopada, gdy jednocześnie na innym zgromadzeniu padała z ust Mierosławskiego zapowiedź wystąpienia zbrojnego. Powstanie było przez demokrację pojęte jako "rewolucja społeczna" w sensie uwłaszczenia włościan. Miało być walką o duszę chłopstwa polskiego pomiędzy zaborcami a Polską. Zapobiec tej straszliwie ryzykownej próbie mogło być jedno: wdrożony na wielką skalę przez ziemiaństwo proces uwłaszczenia w drodze umów z chłopami, a przez to rozbrojenie-konfliktu społecznego, po czym długiej jeszcze trzeba by pracy nad pozyskaniem chłopstwa dla polskości i podniesieniem jego świadomości narodowej.

Tak chciał Czartoryski; tak chciała ustawa Związku z 1833, jego instrukcja, tę drogę wskazywał w swoich mowach. Jego mocne ostrzeżenie z 29 listopada przychodziło już za późno. Ziemiaństwo mogło stanąć wobec alternatywy: czy szukać osłony przed rewolucją u władz zaborczych, czy pójść z powstaniem którego zahamować nie było w stanie, i przez swój akces zamortyzować w nim czynnik walki klasowej, zwracając — zgodnie z wezwaniem demokratycznych przywódców — jednolity front narodu przeciw najazdowi.

W tym kierunku poszły dyrektywy księcia Adama i w Galicji były spełnione. Książę, jak wspomniano wyżej, podporządkował się ogłoszonemu w Krakowie Rządowi Narodowemu. Dał wyraz publiczny swemu stanowisku, co pociągało za sobą sekwestr jego dóbr galicyjskich — Sieniawy. Decyzję swoją tłumaczył później w mowie listopadowej tego tragicznego roku: "Postąpiłszy, jak dobrzy żołnierze, co słysząc huk armat chcą biegnąć na pomoc walczącym braciom, niewiele pytając jaka jest nadzieja boju i kto nim dowodzi".

Przez te decyzje uniknęła może Polska straszliwej moralnej klęski, jaką byłaby wojna domowa między demokratami a zachowawczym ziemiaństwem przy arbitrażu zaborców, którzy dąliby szlachcie przejściowy triumf nad rewolucją społeczną, by później lud po swojemu oswobadzać od szlacheckiego panowania i próbować od Polski oderwać na zawsze. Przysporzyły one za to ofiar, ułatwiły biurokracji austriackiej robotę przez upro-

szczenie sytuacji, skoro wszystkie dwory były z powstaniem.*)

To, co w lutym zaszło w Galicji, było okropną klęską polityczną obozu demokratycznego; całość zaś wypadków tego roku w Polsce skompromitowała gruntownie jego nieudolne kierownictwo. Lecz obóz insurekcyjno-monarchiczny nie wychodził z tej tragicznej przeprawy ze wzmocnionym autorytetem: nie zdołał przecie zapobiec rewolucji, ani wziąć steru w ręce, politycznie abdykował wobec "rozumnych szaleńców". Stąd ciężki kryzys, jaki przeżywał teraz na emigracji i w kraju. Niepoczytalny list Aleksandra Wielopolskiego jako "szlachcica polskiego" do Metternicha uderzał wyraźnie w Hôtel Lambert, w żebranie pomocy Zachodu, głosił wcielenie się organiczne szlachty polskiej — bo niczego poza nią widzieć nie chciał — w rosyjskie imperium i oddanie się pod opiekę Mikołaja, który jest dobrym szlachcicem i pomści to, co szlachtę polską spotkało, na Austriakach.

Na list ten car nie odpowiedział ani nie zwrócił uwagi. Ze strony polskiej, z inspiracji Czartoryskiego, odpowiedział generał Franciszek Morawski, z godnością i umiarem uchylając samobójczy pomysł. Ale był on symptomatyczny, nie odosobniony; podjął go bliski dotąd księciu Tytus Działyński, oświadczając w piśmie do ambasady rosyjskiej w Berlinie, że Polacy rzucają się do carskich stóp. W Paryżu była chwila ogłuszenia ciosem; nawet Zamoyskiego — jak wyznaje — ogarnęło przez chwilę zwątpienie, a sekretarz jego ówczesny, Walerian Kalinka, zapisywał: "Od owej rzezi galicyjskiej wszelka myśl o powstaniu polskim staje się szaleństwem, prawie zbrodnią".

Były naciski rodzinne na księcia. Był gwałtowny list księżnej Sapieżyny, że obłąkaniem jest dalsze kompromitowanie się na emigracji. Była jakaś próba podjęta przez brata jego w Wiedniu, a zdezawuowana przez niego od razu, by za zwrot Sieniawy zobowiązać go do wycofania się z życia politycznego, na co Austriacy zażądali publicznej deklaracji potępiającej spiski i powstania. List teściowej przesłał do Londynu Zamoyskiemu, który odpowiadał: "Nie jest obłąkaniem wierność dla przeszłości naszej. Kto tak żył, jak Wuj, ten jest niewolnikiem przeszłości swojej". Książę nie miał co do tego wątpliwości.**)

Trzeba było od razu stawiać na nogi opinię świata przeciw zbrodni austriackiej i carskim zbrodniom, zapobiegać moralnemu rozbiciu wśród Polaków, wybraniać Polskę przed oskarżeniami Metternicha, który na samych Polaków zwalić chciał winę rabacji; inspirować debaty w parlamentach; przekonywać papieża. Dalszy rozwój wydarzeń — konieczność obrony Krakowa przed austriackim zaborem — zmuszał do uwielokrotnienia wysiłków, zarówno nad Sekwaną, gdzie rozszedł się książę ostatecznie z uległym wobec Rosji Guizotem, jak nad Tamizą, gdzie

*) O stanowisku Czartoryskiego wobec wydarzeń 1845 i 1846 pisalem w szkicu *Przedwiosnie rewolucji i wojna poetów* w "Kulturze", 1948, nr. 6.

***) Generał Zamoyski, IV, 457-8.

przynajmniej formalnie wypowiediano się za stanem prawnym i przeciw faktom dokonanym.

Gdy Rzeczpospolitą Krakowską kasowano wyrokiem trzech mocarstw bez silniejszego sprzeciwu Zachodu, na front wysuwały się automatycznie sprawy pruskiego zaboru. Przed wypadkami 1846 roku był on tym prawie w naszym życiu narodowym, czym Galicja miała się stać w początku tego stulecia. Zgnębiła kraj w roku 1846 likwidacja niedoszłego powstania przez masowe aresztowania, represje, sekwestry; była trwoga o życie więźniów postawionych przed berlińskim Kammer-Gericht; zaogniły się stosunki prusko-polskie, rozwijające się w ostatnich latach raczej w duchu tolerancji dla naszego życia narodowego. Od wstąpienia na tron Fryderyka Wilhelma IV (1840) Czartoryski liczył na daleko idący zwrot w tych stosunkach w związku ze zwrotem w stosunkach prusko-rosyjskich; bo nowy król nienawidził szwagra, Mikołaja, i rosyjskiej kurateli. Zaufany jego, pułkownik von Radowitz, oświadczał Zamoyskiemu (1841), że "król nie chce zamykać Księstwa przed polskimi emigrantami, z czasem będą mogli wszyscy tam się przenieść" i mocno, wojowniczo wypowiadał się przeciw Rosji. W roku następnym była wizyta króla w Londynie: przez zacnego księcia Sussex starano się nań wpłynąć i nawiązać jakąś nić porozumienia. Już przedtem książę dał publicznie wyraz uznaniu dla nowej polityki pruskiej i nadziejom na przyszłość.*) Witał je jako ponowienie się z innej strony takiej okazji do podniesienia sprawy polskiej, jaką były pierwsze lata carstwowania Aleksandra I.

Kontakty były i potem przez Radziwiłłów berlińskich. Teraz, w roku 1847, była na porządku dziennym sprawa reform konstytucyjnych w Prusach, a tym samym przyszłość Wielkiego Księstwa. Książę przygotował grunt do jego wyodrębnienia na wzór Królestwa z 1815 roku, w unii personalnej i celnej z Prusami. Rzecz była w toku w przededniu rewolucji marcowej.**)

Otwierały się w tymże roku 1847 nowe możliwości działania we Włoszech, gdzie ruch narodowy mocno zagrażał istniejącemu stanowi rzeczy, zmierzając do zjednoczenia Włoch z oswojeniem ich od Austrii, a w potrzebie w walce z Austrią. Dzięki nowemu Papieżowi, Piusowi IX i jego liberalnym reformom i zaufaniu doń narodu, Rzym staje się ogniskiem i stolicą ruchu; Palmerston popiera koncepcję federacji włoskiej pod przewodnictwem papieża; wystaniec, lord Minto, jest dobrym znajomym Zamoyskiego, co ułatwia akcję polską. Idzie nie tylko o sprawy polskie w polityce Watykanu, lecz także o czynną

*) Generał Zamoyski IV, 188-91, 217-227 i passim; Mowy Czartoryskiego z 29 listopada 1841, 1842.

jako ponowienie się z innej strony takiej okazji do podniesienia sprawy polskiej, jaką były pierwsze lata carstwowania Aleksandra I.

***) Nieco wskazówek daje S. Kieniewicz: *Spółeczeństwo polskie w powstaniu poznańskim* (1935), str. 83 sq. i passim.

rolę Polski i jej wojskowego potencjału w organizowaniu narodowych sił zbrojnych włoskich. Jest to koncepcja silnej misji wojskowej.

Wybuch rewolucji włoskiej w styczniu 1848 przyspiesza decyzję: konsulta rzymska jednomyślnie decyduje powołanie biego zagranicznego generała: ma to być Chrzanowski.

W lutym przybywa do Rzymu Mickiewicz; w apostołskim uniesieniu głosi wojnę o wolność narodów i ludzkości, a skupiwszy garść młodzieży tworzy swój legion. Nieunikniona jest kolizja między jego apostołstwem zbrojnym a polityczno-wojskową akcją Hôtel Lambert, uwieńczoną nawet umową zawartą w kwietniu przez Orpiszewskiego w imieniu ks. Adama z rządem papieskim. Rozdźwięki przeniosą się do Turynu, gdy legion Mickiewicza staje w Lombardii wspólnie z Sardyńczykami do walki przeciw Austriakom, tymczasem zaś Zamoyski rokuje z rządem Sardyńskim o misję wojskową (wskutek rozwoju wydarzeń nie mającą już widoków w Rzymie) i stworzenie tam nowej regularnej formacji polskiej. Uzyskuje zaproszenie Chrzanowskiemu, a wkrótce powierzenie mu naczelnego stanowiska jako szefa Sztabu Głównego przy królu i decyzję, co do rozwinięcia legionu, któremu pod wpływem angielskim chcą jednak Włosi w obawie przed prowokowaniem Rosji, odmówić imienia polskiego. Zamiast rozrostu następuje w końcu 1849 rozkład oddziału, dobrze reprezentującego to imię ofiarnością i męstwem. Ubocznym wynikiem jest rozgoryczenie Mickiewicza, którego dzieło chciał książe uszanować i zachować, ale nie zapobiegł kolizjom: podobna sytuacja miała w r. 1855 powtórzyć się na Wschodzie.*)

Wybuch rewolucji lutowej w Paryżu od razu stawia na porządku dziennym sprawę legionu polskiego; książe Adam uzyskuje zgodę Rządu Tymczasowego, na wiadomość o wybuchu berlińskim skierowuje go przez Niemcy do Polski, sam pędzi do Berlina na wiadomość od Bystrzonowskiego, że wojna nieunikniona; z ministrem Arnimem podejmuje układy o "reorganizacji" W. Księstwa, stworzeniu wojska polskiego, wojnie z Rosją — którą i Arnim uważa za pewną — przyszłości Polski.**)

Hamujący wpływ Anglii, wyraźna rezerwa francuskiego Rządu Tymczasowego, a zwłaszcza nieoczekiwana oględność w postępowaniu Mikołaja zapobiegły wybuchowi wojny. Zamiast przewidywanego zaś braterstwa broni prusko-polskiego pojawił się zajadły spór narodowy o stan posiadania w Poznańskim, rozpoczęta zaś formacja wojskowa polska nie z Rosjanami się zmierzy, lecz z niedoszłym sprzymierzeńcem pruskim.***)

Książę Adam szybko zorientował się w Berlinie ku czemu

*) Handelsman, *Rok 1848 we Włoszech* (1936); Kalikst Morawski, *Polacy i sprawa polska w dziejach Italii 1830 - 1866* (1937).

**) J. Feldman, *Sprawa polska w roku 1848* (1933), str. 123, 171, 337-340.

***) O tym najbardziej wnikliwie L. B. Namier, *The Revolution of Intellectuals* (1947).

zmierzają wypadki i powrócił do Paryża. Przekonał się przy tym, że nie ma dostatecznego oparcia w przedstawicielach kraju, przelicytowany przez nich in minus wobec Prusaków, a dezawuowany wobec dyplomatów obcych. Na naradzie obozu zachowawczego we Wrocławiu (w kwietniu), udaje się Wielopolskiemu przeprowadzić uchwałę by "odsunąć wszelki wpływ Emigracji", zagradzając tym drogę kierownictwu Czartoryskiego.) A contre cœur ziemiaństwo poznańskie, niechętnie przewodztwu Hôtel Lambert, będzie słuchać niebawem samozwańczego dyktatora — Mierosławskiego.

Tymczasem w wyniku rewolucji wiedeńskiej zarysował się rozkład monarchii Habsburskiej. Czartoryski nie myśli o powstaniu w skrwawionej świeżo Galicji; pisze 24 marca do szwagra, Leona Sapiehy: "Nie trzeba jeszcze powstania, ani chorągwi polskiej, ale w imię osobnej narodowości, osobnej prowincji, trzeba domagać się podobnych jak inne koncesji, a raczej sami je wziąć". Przede wszystkim zaś tonem rozkazu żąda: "Znieść natychmiast pańszczyznę zupełnie". Ale liczy się z możliwością zupełnego rozpadu monarchii: widzi wyłaniające się z tej rewolucji Włochy niepodległe i zjednoczone, niepodległość Węgier (może i Czech). Przewiduje, że wyzwalające się tutaj narody będą zmuszone walczyć z Rosją o swą świeżą niepodległość. Z góry szuka im sprzymierzeńców na Wschodzie, gdzie dyplomacja nasza przygotowuje ewentualne wystąpienie Turcji, i na północy, gdzie nowa placówka w Kristianii ma sondować możliwości powstania w Finlandii i wystąpienie Szwecji.

We Włoszech są Zamoyski i Chrzanowski; własny syn księcia, Witold, bije się jako oficer sardyński. Przy pośrednictwie polskim staje sojusz węgiersko-sardyński, przewidujący między innymi przebudowę federacyjną Węgier; pośrednictwo polskie — Zamoyski i Bystrzonowski — przygotowuje układ między Włochami a Słowencami i Chorwatami. Nawiazane układy urywają się wskutek klęski włoskiej pod Nowarą w marcu 1849 roku.

Z poręki księcia Adama Dembińskiego i Bem dowodzą armiami węgierskimi; ale widzi on beznadziejność walki, mimo zwycięstw chwilowych, gdy oprócz Austriaków, Węgrzy mają przeciw sobie Chorwatów, Serbów, Rumunów, walcząc na wszystkich frontach i prowadząc wojnę domową, a groźny cień Rosji rysuje się na horyzoncie. Niezmiernym wysiłkiem energii i dobrej woli Czartoryskiego, Zamoyskiego, Bystrzonowskiego udaje się przygotować grunt do porozumienia w duchu federacji między Węgrami a innymi narodowościami korony św. Szczepana; książe doprowadził nawet do spisania układu w Paryżu 19 maja 1849 roku.**)

Był to triumf nieładnej dyplomacji polskiej. Poszedł on na marne wskutek gwałtownego sprzeciwu Kossutha. Gorzko

*) Kieniewicz, o. c. 109, 158-60, 197-8.

**) H. Batowski, *Państwa Bałkańskie 1810 - 1923* (1938), str. 60; L. Rusjan, *Polacy i sprawa polska na Węgrzech 1848 - 1849*, (1934) str. 152 - 176 i passim; Feldman, op. cit. 304 - 322.

żałował on tego po niewczasie i naprawiać usiłował, jako wygnaniec.

Ociągali się Węgrzy we współdziałaniu z Polską wygnaćczą i może nie bez racji, skoro widmo Polski na Węgrzech spędzało sen z oczu Mikołaja i Nesselrodego. Gdy wybuchła rewolucja lutowa, w manifeście swym zamieścił car groźne słowa: "Upokórzcie się narody, bo z nami jest Bóg"! Nie chciały się upokorzyć, a wszędzie gdziekolwiek przeciwstawiły się jego woli, działało tajne mocarstwo — unicestwiona przezeń Polska. Niewątpliwie okoliczność ta przyczyniła się do jego decyzji wysłania armii Paskiewicza, "Kniazia Warszawskiego", przeciwko Węgom i powalenia Węgier i Polski za jednym zamachem. Po klęsce pułkownika Zamoyski z gaską dzielnych ludzi osłaniał w tylnej straży — jak niegdyś pod Opolem — odwrót tych Polaków i Węgrów, co odmówili kapitulacji; bronił ich przeprawy za Dunaj, wspólnie z Bystrzonowskim wyjednał gościnne przyjęcie w Serbii i wolny przemarsz, przeciwstawił się w porę rozpaczliwemu pomysłowi Czaykowskiego: masowego przyjęcia Islamu, by tym kupić opiekę Porty. Czaykowski dokazywał cudów, by podtrzymać opór Turcji przeciw ekstradycji, której domagali się obaj cesarze. Turcja się odważnie oparła, ale on sam padł ofiarą: zgodzili się na jego wydalenie. Jak wspomniano, wolał się poturczyć i przejść w służbę sztuafską.

Polityka Czartoryskiego zdawała się przegrana, triumf Mikołaja zupełny. Morał wydarzeń dwóch lat spisał już przedtem, 15 maja 1849, poseł francuski w Berlinie: "A zatem w istocie rzeczy sprawa polska zadecydowała o związku Rosji z Austrią i zgodzie Prus na ich działanie. Pod tym względem te trzy monarchie połączone są żelaznymi pętami. Ilekroć widmo Polski się im ukaze, jednoczą wysiłki, by je zwalczyć i Europa staje wobec zgodnej ich postawy. Powstanie węgierskie, groźne początkowo dla samej Austrii tylko, stało się przez związek z ruchem powstańczym polskim niebezpieczeństwem dla wszystkich trzech dworów".*)

Triumf Mikołaja był nadspodziewanie nietrwały, solidarność trzech mocarstw krucha. Przyszła w cztery lata zaledwie wojna wschodnia, ta wojna koalicyjna przeciw Mikołajowi, do której przez dwa z górą dziesięciolecia przygotowywał Czartoryski grunt w opinii dyplomatów, rządów, parlamentów, narodów. Mocne miał teraz związki w Paryżu, gdzie zawiązały się przyjazne stosunki między Tuileriami a Hôtel Lambert, między Napoleonem III, a sędziwym przeciwnikiem dawnym wielkiego Napoleona. Walewski, dawny agent dyplomatyczny księcia z 1831 roku, był teraz cesarskim ministrem spraw zagranicznych. Mocna była pozycja w Londynie, gdzie Władysław Zamoyski bardziej niż kiedykolwiek był nieoficjalnym ambasadorem polskim; w Turcji, gdzie pod rozkazami Sadyka-Czaykowskiego wojował pułk Kozaków sułtańskich, a przyjaźń dla Polski i szacunek dla

*) Przytoczone u Handlsmiana w rozdziale pracy drukowanym w "Przeglądzie Historycznym" 1948.

księcia były u szczytu. Niczego nie zaniedbano, by sprawę polską postawić na porządku dziennym, by uzyskać możliwość rozwinięcia sztandarów narodowych przez stworzenie dywizji polskiej uzbrojonej i wyposażonej przez Anglię; o to doszło do smutnego konfliktu z Sadykiem, za którym uczuciowo ujmował się Mickiewicz, a przez to do nieporozumienia z Mickiewiczem i jego urazy tym boleśniejszej, że zatrąła mu ostatnie tygodnie życia.*) Starano się skłonić sprzymierzonych, by wojnie, prowadzonej jakby demonstracją zbrojna, nadać charakter rozstrzygający. Szukano nowego sojusznika w Szwecji (w misji do Sztokholmu zmarł przyjaciel niezawodny i ofiarny, Dudley Stuart). Ale był hamulec, którego wyłączyć dyplomacja polska nie była w stanie: wzgląd na Austrię, którą pozyskać chcieli sprzymierzeni. "Zadziwiła świat swoją niewdzięcznością" w stosunku do Rosji, lecz rezultatem było, że sprawa polska ani w toku wojny nie została postawiona przez sprzymierzonych na porządku dziennym, ani nie była poważnie poruszona na kongresie paryskim. Nawet w wojnie z Rosją Zachód nie poważił się upomnieć o Polskę i jej prawa, by nie wskrzesić solidarności jej rozbiorców.

I to zniósł starzec ze zdumiewającą siłą ducha. Oferty rosyjskie, jeszcze w czasie wojny czynione przez Działyńskiego, zresztą prowokacją zatrącające, odrzucił. Gdy zawarł pokój, będący przegraną Rosji, ale i naszą, nie zwątpił. Pracy nie zaniechał; gdy przegrywała sprawa polska stawał na porządku dziennym wiele szczegółowych spraw polskich i obcych, domagających się interwencji, czujności i uwagi. W roku 1858 był krótko w Poznańskim, u córki Izy, "księżniczki rewolucji" (bo urodzona w powstańczej Warszawie), teraz zamężnej za Janem Działyńskim, i u brata Konstantego w Wiedniu; składał wizytę Franciszkowi Józefowi — rozmowa była krótka i zimna — cesarz jakby zakłopotany tym spotkaniem z księciem buntownikiem; ale we dwa lata później przez syna, Władysława, dochodziły już stamtąd dwukrotne propozycje Gołuchowskiego, projekt porozumienia cesarza Franciszka Józefa z Napoleonem III: w Polsce sekundogenitura Habsburgów z restytucją Galicji, Wenecja dla Włoch, dla Austrii odszkodowanie w Bośni i Hercegowinie.

Propozycję tę Napoleon III lekceważąco odrzucił; przyjęcie jej może byłoby oszczędziło Polsce powstanie, Austrii — Sadowy, Napoleonowi III — Sedanu. Tu był jednak początek orientacji austro-polskiej, ku której ostrożnie ewoluuje teraz Hôtel Lambert.**)

Zapadł zmierzch długiego życia, gdy rozświetliły go wieści z Warszawy o manifestacjach, strzałach, "rewolucji moralnej", załamaniu się władz okupacyjnych, wyłonieniu reprezentacji

*) O co właściwie szło, mówi jasno i serdecznie list Zamoyskiego do Sadyka 25 października 1855 (Jenerał Zamoyski VI, 172).

**) O tym krótko w Słowniku Biograficznym sub voce Czartoryski Władysław.

polskiej, zapowiedzi reform. Witając te wypadki jako początek wyzwolenia ze łaźmi radości. "Powtarzał — mówi Kajsiwicz — słowa starca Symeona: Teraz puścisz, Panie, sługę swego w pokoju, albowiem widziały oczy moje zbawienie Twoje". Wydał ostatnie instrukcje polityczne dla Polski na ręce Andrzeja Zamoyskiego, mającego w opinii publicznej Królestwa pierwsze teraz miejsce. Kazał przeprowadzić uwłaszczenie chłopów, żądać przywrócenia konstytucji, upominać się o ziemie zabrane. Akcji Wielopolskiego nie potępiał; od swoich żądał jednak, by nie wyrzekali się dążenia do niepodległego bytu.

Jeszcze na 3 maja 1861 przemawiał po raz ostatni. Dyktował dodatki do "Essai", do pamiętników, wytyczne organizacji państwa polskiego, Pracował do ostatniej chwili. W lipcu, w Montfermeil, gdzie go wywieziono na lato, nadeszła ta chwila. Spotkał śmierć z radosną niemal pogodą. Świadomie przyjął ostatnie sakramenty modląc się z kapłanem. W przeddzień zgonu kazał odczytać w obecności zebranej rodziny, przyjaciół i współpracowników swą ostatnią polityczną wolę. Stwierdzał w tym akcie, że kraj już sam wziął na siebie ster sprawy polskiej. Zadaniem emigracji jest służyć krajowi, zwłaszcza oświecać rządy i opinie świata w sprawie polskiej. "Chcąc zabezpieczyć bieg służby politycznej na emigracji" książę wzywał młodszego syna, Władysława, "aby dalej prowadził to dzieło", zobowiązywał starszego syna, Witolda, i generała Zamoyskiego, aby mu byli pomocą. "Z głębokim uczuciem pokory i rzetelnego przejęcia" dziękował Bogu, że mu dozwolił "doczekać chwili, w której przyszłość narodu już z wiekowej niepewności odsłaniać się zaczyna". Na te słowa zapłakał, a za nim wszyscy obecni. Osłępił już prawie, zażądał pióra i akt pełnym nazwiskiem podpisał.*)

Nazajutrz konał. Jeszcze na usłyszane imię Polski ostatni uśmiech rozpromienił mu twarz i ku niej wybiegło ostatnie słowo: "Błogosławie".

Marian KUKIEL.

Mowgli w Paryżu

Zacznę od często powtarzanego paradoksu — gdy po trzech latach nieobecności wróciłem do Paryża, zaskoczył mnie przede wszystkim narzucający się z natarczywą siłą fakt tego, że Paryż uległ zastanawiającej zmianie. Stwierdzenie zmiany wywoływało wrażenie zetknięcia się z czymś nowym najzupełniej i miało w sobie jednocześnie posmak rzeczy starej jak świat. W uczuciu starości takiego odkrycia tkwi nieunikniona powtarzalność naszego istnienia. Od wieków i zawsze, ludzie, wracając do miejsc widzianych przedtem konstatają przeobrażenia, którym miejsca te uległy. Pod tym względem jesteśmy konserwatywni i pełni tradycji. Ale z drugiej strony bawimy się w odkrywców i cieszymy się nowością. Tutaj też otwiera się przed nami pole niekończącego się hasania. Myślę, że granice tego pola są lekkie jak eter i może właściwie wcale nie istnieją. Wszystko zależy bowiem od tego, czy istnieją granice naszej własnej przekształcalności.

Ala wróćmy do tematu. Paryż uległ zmianie. Jest co prawda wieża Eiffla, mosty na Sekwanie, bistra, w których podają aperitiwy, elegantki na Champs Elysées i tłumy rozchełstanych, brudnych, spoconych turystów z guidami w ręku. Ci turyści mówią przeważnie po angielsku. Trzy lata temu po Paryżu waleśały się tłumy ludzi mówiących również po angielsku, ubranych w mundury. My także chodziliśmy w mundurach. Fakt noszenia przez nas mundurów wywoływał oczywiście nieporozumienie. Mieszkaliśmy w zarekwirowanych hotelach, jadaliliśmy w najelegantszych restauracjach, które były messami, jeździliśmy samochodami. Społeczeństwo francuskie patrzyło na nas z podziwem, szacunkiem, może zazdrością. Byliśmy dla nich kastą uprzywilejowaną. O kosztach tego chwilowego uprzywilejowania się nie mówiło i nie myślało. Społeczeństwo francuskie nie myślało także o tym, że uprzywilejowanie to było bardzo chwilowe. W każdym razie między społeczeństwem tym a nami leżało nieporozumienie. Dla nich byliśmy ludźmi o specjalnych przywilejach, o godnej pozazdrośczenia pozycji moralnej i materialnej, przed nami zaś i w nas rozciągała się pusta przestrzeń niewiadomej.

Dzisiaj, gdy po trzech latach jestem w Paryżu — nie mam już na sobie munduru i nie ma także między mną a społec-

*) Generał Zamoyski VI, 356-7. — Testament w druku współczesnym. — H. Kajsiwicz, *Mowa pogrzebowa po sp. Adamie Jerzym księciu Czartoryskim* (1862), 23-7.

czeństwem francuskim nieporozumienia. Stosunek nasz zredukowany został do właściwych proporcji. Myślę także, że fakt noszenia przeze mnie zwykłej cywilnej kurtki zmienił wygląd Paryża. Z tym cywilnym ubraniem, które mam na sobie, łączy się jeszcze coś innego. Do Paryża przyjechałem by szukać pracy. I te właśnie moje poszukiwania — pełne zawodnych nadziei, uparte i oparte być może na złudnych założeniach, przyczyniają się do ukazania mi Paryża od wewnątrz. Ośmielam się też wysunąć przypuszczenie, że dzięki temu Paryżowi od wewnątrz — i poważna kopuła Inwalidów i mosty na Sekwanie wyglądają inaczej.

Mam wrażenie, że w stosunku do większości Polaków na emigracji jestem spóźniony. Większość Polaków bowiem już się w ten czy inny sposób "urządziła". Wśród tak zwanych urządzonych Polaków rozróżnić można z grubsza trzy kategorie. Są najpierw ci, którzy dzięki albo posiadanym kapitałom, albo dzięki poszukiwanemu na rynku pracy fachowi (mam tu przede wszystkim na myśli rzemieślników i wykwalifikowanych robotników, wśród inteligencji wypadki takie są rzadkie) potrafili w ciągu szybkiego czasu uzyskać zatrudnienie i zapewnić sobie i rodzinom utrzymanie. Druga kategoria to ci, którzy nie posiadali ani kapitałów ani odpowiedniego fachu, lecz którzy zdobyli się na przeprowadzenie radykalnej zmiany w swym życiu, którzy przestawili się na tak zwany drugi zawód i zamiast powiedzmy pracować tak, jak przedtem, intelektualnie, siedząc za biurkiem w urzędach czy ministerstwach, są obecnie kelnerami, maitre d'hôtelami, szoferami, piekarzami itd. Ci także z głodu nie umierają, czasami nawet zarabiają zupełnie nieźle. Przerzucenie się na drugi zawód łączy się z szeregiem problemów. Decyzja taka jest nie tylko aktem odwagi (inni nazywają to rozsądkiem), lecz i samozaparcia. Wymaga ona bowiem wykreślenia tego, co nazywamy zamiłowaniem do pewnego rodzaju pracy. Wymaga ona całkowitego zobiektywizowania się w pracy, lub inaczej mówiąc, przywiązywania wagi tylko do osiągniętych przez pracę tę środków materialnych. Konsekwencje takiego zobiektywizowania są daleko idące i poważne. Nie będę jednak o nich mówił, bo wymagałoby to osobnego artykułu. Myślę tylko, że tendencja do obiektywizowania się w pracy jest cechą charakterystyczną naszych czasów, w emigracji zaś polskiej przybrała ona, niestety z konieczności, wyraz absurdalnej i bolesnej drastyczności.

Zamiłowanie jednak do ściśle określonego gatunku pracy, które w czasach dzisiejszych jest — jak powiedzieliśmy — w stadium zanikania, może być czasami silne i uparte. Może ono wbrew oczywistemu układowi stosunków próbować stawiać opór, torować sobie drogę, starać się żyć. Wówczas, jak to zwykle bywa, powstają kompromisy. Są ludzie, którzy starają się łączyć swe zamiłowania i przyzwyczajenia (inni powiedzą

zgubne i przestarzałe nawyki) z wroga i obcą rzeczywistością. Wśród ludzi tych jest tendencja zachowania chociażby części siebie z czasów poprzednich, chociażby pozoru ciągłości. Polacy tacy — jakże rzadcy zresztą — po długich staraniach dostają skromne i źle płatne posadki w urzędach, bankach, agencjach handlowych itd. Ci Polacy są równie odważni jak i ci, którzy przestawili się na drugi zawód. Dla wielu uchodzą jednak za niezdary życiowe. Mówi się o nich, że nie umieją się dostosować do wymagań czasów dzisiejszych i że skazani są na wegetację. Ja dla ich wegetacji mam najwyższy szacunek.

Poza tym myślę, że oba te rodzaje "urządzonych" Polaków charakteryzują się tym, że żyją w fikcji. Tylko, że jedni wolą fikcję dostatku zobiektywizowanej pracy, a inni trudną fikcję pozoru ciągłości. To zanurzenie w fikcji to jeden z najtragiczniejszych objawów naszej emigracji. Nie chciałbym by mnie tutaj źle rozumiano. Nie mówię o znaczeniu i charakterze politycznym naszej emigracji, mówię tylko o smutnej stronie jej życia materialnego. Konieczność zmusza tę kategorię ludzi do życia w fikcji. Oczywiście, że z fikcją tą walczą wewnętrznie. Próbuja wmówić w siebie i w innych, że są zadowoleni, że o ileż szczęśliwsi są od tych, którzy pracy w ogóle nie mają, starają się z fikcją swą żyć, z nią pogodzić, ją uznać. Wtedy są jak poczciwy Sganarelle z Cocu Imaginaire. Szukają usprawiedliwienia dla bolesnej sytuacji, upiększają ją, przebudowują, są o krok od tego kapitalnego zdania, w którym oburzony na żonę Sganarelle mówi — *elles font la sottise, et nous sommes les sots*. Ale molierowskie dowcipne i zabawne spostrzeżenia nie są tutaj, mam wrażenie, na miejscu. Czyż jest w tym coś dziwnego, że staramy się żyć z fikcją? Któżby tego nie robił, znalazłszy się w potrzasku, otoczony ze wszystkich stron koniecznościami?

A poza tym mówi się — wolimy życie w ciężkich warunkach materialnych z wszystkimi tego faktu konsekwencjami psychicznymi, ale na wolności i w poczuciu spełnionego obowiązku. I w tym jest wiele prawdy. Nawet prawdy, która ostrość fikcji łagodzi, zmienia jej ciężar i wagę.

Należę do kategorii Polaków "nieurządzonych" i do tych, którzy pragną uniknąć radykalnej zmiany przestawienia się na drugi zawód. Szukam kompromisu. Stoję na stanowisku pozoru ciągłości i szukam pracy w bankach, agencjach handlowych itd. Znalezienie takiego kompromisu okazuje się trudne, wymaga upartego wysiłku i poważnego zapasu dobrej woli. Poza tym jest w tych poszukiwaniach pewna doza romantyzmu, nieliczącego się z realiami i wiary w osobiste szczęście. A nuż się uda! Z drugiej jednak strony wlecze się za nimi jak nieznośny cień uczucie, że się jest niepotrzebnym. To uczucie idzie, pogłębiając się w miarę napotykanych zawodów, wpływających listów z odmowami, grzecznych i bezradnych gestów, które mówić mają, że nic zrobić się nie da. Uczucie

niepotrzebności jest chyba dominantą. Składam jednak uparcie podania i drepczę po biurach pośrednictwa pracy.

W każdym z tych biur otwiera się przede mną jakiś nowy aspekt trudności. Jest na przykład biuro dla cudzoziemców, które działa z ramienia rządu. Duży, ogromny pokój, przedzielony ladą. W korytarzu przed wejściem do tego pokoju stoją grupki mężczyzn i kobiet, które prowadzą rozmowy w różnych językach świata, podarte i zniszczone ubrania, jakieś szepty tajemnicze i wtajemniczające. W pokoju samym panuje już cisza i dyscyplina narzucona przez dwie panienki w białych bluzkach zza lady. Oczywiście przed przeprowadzeniem zasadniczej rozmowy próbuję zasięgnąć języka. Od razu też wśród grup stojących ludzi znajduję Polaków. Ci Polacy opowiadają mi historie swego życia, ich wędrówki różne i nieoczekiwane, są wśród nich tacy, którzy świeżo przyjechali tutaj z Niemiec i tacy, którzy dopiero co przybyli z Polski. Nikt z nich nie mówi po francusku, proszą mnie o pomoc i pośrednictwo w rozmowach z pannami w białych bluzkach. Czują się niepewni, jest w nich jakieś stopienie i obojętność. Po chwili wchodzę z nimi na salę i zaraz potem pośredniczę przy podpisywaniu umowy na pracę w Creusot, staram się pomóc przy złożeniu deklaracji o skradzeniu portfela z dokumentami, próbuję uzyskać darmowy przejazd dla powracającego po chorobie górnika do miejsca jego pracy, zajmuję się ustaleniem wysyłki bagażu dla milczącego i rozglądającego się z nieufnością Poleszuka, który jedzie pracować na roli. Właściwie, zapominam o celu mojej wizyty, staram się tym zagubionym i bezradnym ludziom przyjść z pomocą. Załatwienie tych wszystkich spraw idzie opornie, ciężko — szłoby jeszcze gorzej na pewno, gdyby nie najzupełniej przypadkowa moja pomoc. Potem przychodzi kolej na mnie. Tutaj na przeszkodzie staje nie fakt braku znajomości języka ale fakt, że staram się o inny rodzaj pracy. Ładna panienska w białej bluzce oświadcza, że kategorii ludzi takich jak ja, nie potrzebują, że o ile zdecyduję się na pracę fizyczną — to mam najpierw pójść do lekarza, a potem wrócić do niej. Wychodzę.

Oczywiście, że panienska zza lady ma rację. Byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Cała rzesza przewalających się codziennie przez jej pokój cudzoziemców ma znaczenie o tyle tylko, o ile gotowi są oni wypełniać niewdzięczne i pogardzane przez Francuzów prace. Taki jest punkt widzenia, który panuje w tym pokoju przedzielonym ladą. Od czasów niepamiętnych, poprzez imperium rzymskie i obecnie, gdy ustroje totalitarne zapełniły obozy pracy w większości cudzoziemcami, ten punkt widzenia przewijał się przez historię raz w łagodniejszej, a czasami w ostrzejszej formie. Myślę jednak, że między cudzoziemcami, których widziałem w tym pokoju i którzy przeważnie pochodzą z krajów zza żelaznej kurtyny, a cudzoziemcami, którzy zapełniali ten sam pokój w okresie przed wojną 1939 roku, jest duża różnica. Za cudzoziemcami sprzed 1939 roku

stali ich państwa, obronę ich interesów i z punktu widzenia prawnego i materialnego gotowe były podjąć w każdej chwili konsulaty i poselstwa, za plecami ich było oparcie, istniały na świecie miejsca, do których mogli zwrócić się o pomoc. Za rzeszą emigrantów z krajów zza żelaznej kurtyny nie stoi obecnie właściwie nikt. Zdani są na siebie i na przypadkową grę sił.

I ci Polacy, którzy świeżo tu przybyli i którzy nie znają nawet francuskiego i ja, który wbrew oczywistości staram się znaleźć pracę niefizyczną, zawieszeni jesteśmy w próżni. Wyrzuceni zostaliśmy z pewnego określonego układu stosunków, z pewnej ustalonej zwyczajami i prawami sytuacji, a dostosowanie się i wejście nasze do zmienionych warunków, do nowej rzeczywistości jest trudne, czasami wątpliwe, rezultaty jego niepewne. Na jakich prawach poruszać się będziemy w tej nowej rzeczywistości i jak będziemy się w niej czuć — oto są istotne pytania.

Przypomina mi się Mowgli. Mały, ciemny Hindus, któremu na nic się zdały pełne mądrości nauki doświadczonego Baloo, pełna miłości opieka Bagheery i zasady, którymi rządził się wolny lud wilków. Mały Mowgli nie był wilkiem. I mimo, że znał zawołania i język dżungli na Skale Obrad zdecydowano, by wrócił do ludzi. Zaczynał wstawać świt gdy Mowgli zupełnie sam zszedł ze wzgórza, udając się do tych dziwnych istot zwanych ludźmi. Potem w wiosce hinduskiej Mowgli przyglądał się z nieufnością ludziom, a oni jemu. Mowgli także zawieszony był w próżni.

Siedzimy w cichym, ciemnym i chłodnym barze na wygodnych fotelach. Na dworze jest upał ciężki i duszny, co chwila któryś z nas wyciera pot z czoła i narzekamy na gorąco. Powoli i leniwie zaczynamy mówić o jakichś niesprecyzowanych możliwościach pracy dla mnie. Podobno ktoś szuka sekretarza znającego języki. Zapalam się do tego projektu, zastanawiamy się jak dotrzeć do owej znakomitej osobistości poszukującej sekretarza. I w pewnej chwili jeden z moich znajomych pyta się:

— No dobrze, ale niech mi pan powie, jaki jest pana stosunek do homoseksualistów?

Milczę, zaskoczony.

— No tak — ciągnie mój znajomy — ten pan jest pederastrą, tutaj we Francji stosunki seksualne odgrywają poważną rolę. Trzeba o tym wiedzieć i o tym nie wolno zapominać.

Wybucham śmiechem. Kochana, cudowna Francja — nic się nie zmieniła. Przewalają się wojny, rewolucje i Francja zawsze jest taka sama. Czyż to nie jest pocieszające?

Przypomina mi się taka historia. W roku 1940 po kampanii francuskiej i po przedostaniu się do tak zwanej zony wolnej, znalazłem się w Tuluzie. Byłem bez grosza, mieszkałem, jak wielu Polaków, w stajni na słomie, czekałem na wypłatę za-

ległych dodatków frontowych i na wyjazd przez Hiszpanię i Portugalię do Anglii. Żyłem chlebem i pomidorami, bo były one najtańsze i za ostatnie pieniądze kupiłem "Le livre jaune". Chodziłem do parku czytać tę śmiesznie paradoksalną, jak na owe czasy, książkę.

Któregoś dnia jakiś siwy zupełnie i dostojnie wyglądający staruszek, siedzący obok mnie na ławce, nawiązał ze mną rozmowę. Zainteresowało go to, co czytam. Pokazałem mu książkę i pełen zamyślenia kiwał głową. Potem pokazał mnie książkę, którą studiował do tej chwili uważnie i w milczeniu. Było to tysiąc czy tysiąc pięćset przepisów kulinarnych. Ogarnęła mnie wesołość, poczułem nieodpartą sympatię do tego pełnego spokoju i godności staruszka. Czyż nie było wzruszające to uważne zgłębianie przepisów kulinarnych wśród zieleni pięknego parku, na wygodnej ławce, z błękitem nieba nad głową, z dala od wszystkich męczących problemów dnia, bolesnego zaważenia się Francji, niepewnych losów jutra?

Nawiązała się żywa rozmowa. Staruszek okazał się bogatym właścicielem kilku ferm pod Tuluzą, mieszkającym jednak już od dłuższego czasu w mieście. Zaczął wypytywać się o moje dzieje, popatrzał na mnie z sympatią, gdy dowiedział się, że jestem Polakiem. Opowiedziałem mu o armii polskiej we Francji, o tym, że jestem tylko chwilowo w Tuluzie, że jestem bez pieniędzy, że chciałbym dostać jakąś pracę, chociażby na kilka dni, aż do czasu, nim z Francji nie wyjadę, że gotów jestem pracować jako robotnik na fermie, lub gdzie indziej. Opowiadaniem tym przejął się bardzo, wzruszył, kiwał głową w zastanowieniu. Na twarzy jego malował się wysiłek myśli. Chciał mi pomóc. I nagle twarz jego zmieniła się jakby na skutek radosnego odkrycia. Przyjrzał mnie się uważnie od stóp do głowy.

— Pan jest przystojny — powiedział. Zdumiony, wzruszyłem ramionami. Ciągłe mi się przyglądając, zaczął mówić:

— Pan musi podobać się kobietom, prawda? Jestem tego pewien, że pan podoba się kobietom. Widzi pan — ożywił się wyraźnie — przyszła mi taka myśl do głowy. Znam tutaj jedną panią, która chciałaby mieć przyjaciela. Ona jest bogata, ma ładną willę z ogrodem niedaleko stąd, ma nie więcej niż czterdzieści lat, jest czysta, zapewniam pana, że czysta i ma miły charakter. Będzie pan u niej wygodnie mieszkał, dobrze jadł i na pewno dawać panu będzie trochę pieniędzy na papierosy, aperitiwy, czy kino. Przeczeka pan sobie spokojnie wojnę. Jeżeli pan chce, możemy do niej zaraz pójść.

Dusząc się ze śmiechu, zgodziłem się natychmiast. Staruszek zerwał się z ławki i nieomal biegł poprzez park, podniecony i ożywiony. Przed domem jednak pani poszukującej przyjaciela, ku rozpacz staruszka, zrezygnowałem z jego zachęcającej propozycji.

Dzisiaj rozmowa w chłodnym i ciemnym barze przypomnia-

ła mi tę historię. Nie ulega wątpliwości, że Francja się nie zmieniła.

W moich codziennych staraniach zabrnąłem także do biura, które zajmuje się wyszukiwaniem pracy dla intelektualistów. Czekając na urzędnika, który gdzieś na chwilę wyszedł, przysłuchuję się rozmowie przy sąsiednim stoliku. Stoi przed nim wysoki brunet o kędzierzawej czuprynie, w okularach, o podłużnej, zamyślonej i zmęczonej twarzy, niepokojąco chudy w swym podniszczonym ubraniu. Młodzieniec ten jest Węgrem. Siedzący za biurkiem urzędnik zadaje mu właśnie pytanie:

— Czy ma pan rower?

Węgier przestępuje z nogi na nogę niespokojnie.

— Rower? Nie, nie mam roweru. Ale po co rower?

Przez twarz jego przebiega zdumiona bezradność. Urzędnik za biurkiem tłumaczy: — Widzi pan, gdyby pan miał rower, mógłbym dać panu pracę. Mógłby pan być un garçon de course w redakcji jednego poważnego pisma. Ale ponieważ nie ma pan roweru, niech pan przyjdzie tutaj za miesiąc — może coś się znajdzie dla pana.

Intelektualista Węgier rozkłada ręce. Pewnie chce powiedzieć, że czekać miesiąc, to dla niego za długo, że nie rozumie, dlaczego każą mu mieć rower i że nie wie, że intelektualiści we Francji muszą umieć jeździć na rowerze. Dotychczas myślał, że intelektualiści mają inne obowiązki. Ale nie mówi nic i wychodzi.

Smutny jest i zabawny ze swym smutkiem ten Węgier o zamyślonej twarzy. Myślę, że mam nad nim tę przewagę, że już wiem, iż w naszych czasach intelektualiści muszą umieć jeździć na rowerze. Nie wystarczy być intelektualistą. Zmieniający się układ stosunków na świecie inaczej formuje teraz zapotrzebowania na rynku pracy. Są takie towary, które na rynku tym nie przedstawiają same w sobie żadnej wartości. Trzeba je uzupełniać właściwościami dodatkowymi. Towar, który dostarcza pewien typ intelektualisty nie jest poszukiwany. Mecenasów sztuki zastąpili mecenasami przemysłu. I o tym trzeba pamiętać. O tym także aspekcie naszych trudności nie można zapominać.

Panuje w Paryżu, a może w całej Europie Zachodniej pewna choroba, przez którą przechodzą wszyscy ludzie szukający pracy, nie tylko emigranci polscy. Choroba ta polega na przekonaniu, że starać się należy o pracę przede wszystkim u Amerykanów. Amerykanie dobrze płacą, wymagają co prawda rzetelnego wysiłku, ale przed oczami każdego z nas snują się miraż fantastycznych i spektakularnych karier, szybkiego wzbogacenia się, zawrotnych możliwości. Amerykanie i filmowo błyskawiczna kariera — to właściwie jedno i to samo.

Chorobie tej i ja poddaję się bez oporu zarażony bakcylem

mody i modernizmu. Poza tym ludzę się nadzieją, że może znajde u nich łatwiej mój kompromis.

Próba zdobycia pracy u Amerykanów oznacza w głównej mierze usiłowanie dostania się do jednej z organizacji międzynarodowych działających pod ich egidą. Jest to oczywiście cały problem. Trzeba starać się o poparcie, trzeba pokonać olbrzymią konkurencję stworzoną przez rozpowszechnienie się wyżej wspomnianej epidemii, która grasuje bezkarnie w tej części Europy. Któregoś jednak dnia pewien znajomy mój komunikuje, że przy jednej z działających w Paryżu organizacji międzynarodowych powstać ma nowa sekcja, która jakoby zatrudni dziesięć osób. Nie tracę ani chwili czasu i wyruszam pod wskazany adres. Przyjmują mnie niezmiernie uprzejmie i każą wypełnić ogromny formularz. W formularzu tym spowiadam się szczerze ze wszystkich przewinień mojego zycia, opowiadam o nim szczegółowo i bezbarwnie, składam zapewnienia co do lojalności i braku złych intencji pod adresem ustroju Stanów i osoby Prezydenta Trumana.

Po złożeniu formularza, rozmawiam przez dłuższą chwilę z sympatyczną urzędniczką. Jest ze stanu Ohio i bardzo lubi Francję. Szczególnie perfumy francuskie. Takich perfum podobno w Ameryce nie ma. Potem przeglądając formularz mówi, że żadnej decyzji o utworzeniu nowej sekcji jeszcze nie ma, że jest bardzo możliwe, iż sekcja ta w ogóle nie powstanie, tym niemniej gotowa jest podanie moje zatrzymać razem z 600 innymi.

— Sześćset? — pytam się zdziwiony.

— Tak, a na pewno będzie ich jeszcze znacznie więcej.

Ogarnia mnie zniechęcenie. Uzyskanie kompromisu na tej drodze wydaje się naprawdę mało realne. Tymczasem sympatyczna urzędniczka zadaje mi jeszcze pytania i stara się uzupełnić wiadomości. Opowiadać więc jej muszę o tym co robiłem w czasie wojny i o tym, jakie są moje zapatrywania polityczne, jakie uprawiam sporty i kogo znam z Amerykanów. Wszystko co mówię zupełnie widocznie trafia jej do przekonania. Może jednak pokonam owych sześciuset konkurentów — myślę. Urzędniczka pyta się — czy ma pan znajomych i przyjaciół w Polsce?

— Mam.

— A czy jest pan z nimi w korespondencji?

— Tak, czasami pisujemy do siebie.

Zapada chwila milczenia. Amerykanka składa uważnie arkusz mego formularza, podaje mi go i mówi — bardzo żałuję, ale podania pana przyjąć nie mogę.

Wstaję i nie bardzo rozumiem o co chodzi. Dopiero po chwili uświadamiam sobie wszystko. Pisywanie listów do Polski może być rzeczą podejrzaną. Więc przebywanie na emigracji nie jest dostatecznym argumentem. Wymagają od nas przecięcia wszystkich więzów, całkowitego oderwania, zapomnienia. Francuz, Belg i Szwajcar na pewno nie utrzymuje korespon-

dencji z krajami zza żelaznej kurtyny. A polski emigrant pisuje do swych przyjaciół w kraju o tym, że w Paryżu jest gorąco, że trawa na peluzach ogrodu luksemburskiego żółkła w sposób zadziwiający i że mu smutno. I mówi się mu, że lepiej listów takich nie pisać, bo ten listowny związek z krajem nasunąć może podejrzenia. Jeszcze niedostatecznie zawieszani jesteśmy w próżni.

Czyż nie zastanawiający jest naprawdę ten paradoks naszej sytuacji?

◆ Szukanie pracy przez biura pośrednictwa nie jest rzeczą wystarczającą. Są jeszcze ogłoszenia w gazetach i tak zwane stosunki. Ogłoszenia ukazują się rzadko niezmiernie i niestety dużo szans się z nimi nie wiąże. Ważniejsze są "stosunki". Sprawa tych stosunków wśród Polaków na emigracji wygląda mniej więcej tak.

Jest dosyć nieliczna grupa osób, która dzięki uprzednio posiadanej pozycji, czy to na terenie towarzyskim, czy w sferach pracy oficjalnej wyrobiła sobie dość znaczny czasami zakres znajomości. Teraz w większości wypadków zakres ten na skutek wiadomych nam okoliczności politycznych i materialnych kurczy się w oczach. Bardzo nieliczni są ci, którzy potrafili stosunki utrzymać, lub nawet wyrobić sobie nowe. Ogólnie Polacy spychani są przez nieunikniony bieg wypadków do własnego ghetta. Ci, którzy część poprzednich stosunków utrzymali — trzymają się ich zazdrośnie.

Nasuwa mi to zawsze przed oczy następujący obrazek. Płynnie bryła topniejącego lodu na oceanie. Na bryle tej siedzi Polak-emigrant i patrzy z niepokojem na to, jak powierzchnia lodu maleje, usuwa się mu spod nóg, kurczy, Ta bryła topniejącego lodu — to jego stosunki. I czyż jest w tym coś dziwnego, że nie chce on za żadną cenę wpuścić na bryłę tę swego znajomego czy przyjaciela, że chce ją zachować w swym wyłącznym i zazdrośnie utrzymywanym władaniu? Takie stanowisko wydaje mi się najzupełniej zrozumiałe.

Jest jednak wśród Polaków i Francuzów kilka osób, które losowi emigranta poświęcają swój czas w sposób całkowicie bezinteresowny. Chcą mu pomóc, starają się znaleźć mu pracę, flają rady i wskazówki. Takie stanowisko jest już dla mnie o wiele mniej zrozumiałe. Ale bogactwo i różnorodność psychik ludzkich jest podobno nieograniczona.

Dzięki jednej z tych osób otrzymuję skierowanie do wysoko postawionej osobistości w Senacie francuskim. Udaję się do miejsca jego urzędowania i na dole wypełniam aż w czterech egzemplarzach kartę wstępu. Potem wspaniali woźni, ubrani na czarno i stylowo przekazują mnie sobie kolejno, prowadząc poprzez piętra, salony, sale obrad i korytarze. Rozmowa z senatorem jest utrzymana w tonie serdecznym. Na początku wysłuchuję pełnego współczucia przemówienia o Polsce, o tym, że Polska jest krajem męczenników, że stosunki między nią

a Francją były zawsze przyjazne i że przeznaczenie skazuje nas na wieczne cierpienie. Poza tym Polacy są ofiarni i pełni wdzięku. Polacy i Francuzi rozumieją się doskonale. Jestem wzruszony i potakuję. Potem senator zadaje mi pytania co do mojej przeszłości i moich możliwości. Pyta się mnie o wszystko szczegółowo i bardzo uważnie. Między innymi pyta się — czy pan jest hrabią?

— Nie, nie jestem.

Na twarzy senatora maluje się szczere zdumienie.

— Czyż być może? Nie jest pan doprawdy hrabią? Jest pan pierwszym Polakiem, którego poznaję i który nie jest hrabią.

Senator nie dowierza i przygląda mi się z zainteresowaniem. Czuję się trochę jak uczeń, który coś zbroił.

Po chwili zaczyna mówić o sytuacji we Francji, o wszystkich jej trudnościach, stara się wytłumaczyć rzeczy, o których już wiem i które odbierają mi resztki nadziei. Kładzie nacisk na fakt, że jestem Polakiem-emigrantem. Właściwie namawia mnie do naturalizacji, przedstawia wszystkie jej korzyści, daje do zrozumienia, że znalezienie pracy po uzyskaniu obywatelstwa francuskiego będzie znacznie łatwiejsze. Poza mirażem owej naturalizacji od senatora francuskiego nie uzyskuje nic.

I znowu piękni woźni w stylowych ubraniach odprowadzają mnie do wyjścia, pełni szacunku i respektu. Chce mi się śmiać. Proponują mi tyle rzeczy. I pracę robotnika fizycznego i naturalizację i zakazują pisywania listów do kraju i dziwią się, że nie jestem hrabią. Ale nikt nie chce mi pomóc w znalezieniu kompromisu. A ja się upieram, coraz mniej mam nadziei, ale jednak upieram się. Wspaniali woźni są pełni szacunku i respektu. A ja patrzę na nich z zazdrością.

Dzisiaj myślę jednak, że może nie jest tak źle. Proponują mi właśnie przed chwilą pracę. Mam zająć się sprzedażą żarówek firmy "Kilanoy-Fintex". Praca podobno nie jest ciężka. Będę chodził po Paryżu, może jeździł po Francji z teczką pod pachą i sprzedawał żarówki. Nawet wiem już jak należy to robić i jak zachęcać będę klientów do kupna. Mam już slogan, wiem co będę klientom tym mówił. Będę mówił im — kupujcie najlepsze na świecie żarówki firmy "Kilanoy-Fintex". Żarówki te świecą się — nawet po wyłączeniu prądu elektrycznego.

Józef URSYN.

Archiwum polityczne

Jak mogłaby powstać Europa

Będę mówić wam o roku 1950. Nie sądzicie, że zamierzam bawić się w proroka. Nie myślę bowiem, by umysł ludzki był zdolny do przewidywania przyszłości. A jednak... wierzę, że czasami, umysł nasz koncentrując się uważnie w dziedzinie spraw jemu właściwych, dojrzeć może pewne kontury rzeczy przyszłych, które są niedostrzegalne dla ludzi innych, ludzi mniej zainteresowanych tego rodzaju poszukiwaniami. Lecz nawet w momentach owego uprzywilejowania nie można przewidzieć tego, co się stanie, a dostrzega się tylko zarysy, możliwości, zagadnienia. Jest to jednak już dużo. Jest to wstępne wynurzanie przyszłości z chaosu, w którym wydaje się ona drzeć.

Za podstawę wezmę kilka danych już nam wiadomych. Rok 1950 jest rokiem wyborów w Wielkiej Brytanii, jest także rokiem, w którym dojdzie do kryzysu w Ameryce. Wynika z powyższego, że w niedalekim czasie kapitaliści amerykańscy pragnąc będą, by Anglia wyzbyła się kierownictwa partii pracy, podczas gdy równolegle, partia pracy angielska pragnąc będzie rozwoju socjalizmu w Ameryce. Dojść może do jednej, albo drugiej z tych możliwości, lub, co ciekawsze — do obu ich jednocześnie. Trzeba jednak dużej dozy optymizmu, by przypuszczać, iż z ewentualności tych powstanie bardziej jednolite i skuteczne kierownictwo spraw światowych.

W Europie zachodniej — nie jest to zresztą trudne do przewidzenia — utrwali się, a nawet pogłębi dalszy stopniowy rozkład partii u władzy. Gdyby we Francji w roku 1950 próbowano zarządzić wybory, większość sił antykomunistycznych nie skupiłaby się tak, jak w roku 1946 naokoło M.R.P. Prawdopodobnie to samo miałyby miejsce i we Włoszech. W każdym razie ostatnio zwiększenie się wpływów komunistów, monarchistów i faszystów w niektórych wyborach częściowych pozwala przypuszczać, że nawet w Rzymie demokracja chrze-

sycjańska osiągnęła pełnię swych możliwości i minęła już szczytowy punkt swego rozwoju.

Nie chciałbym zresztą zatrzymywać się dłużej na tej sprawie, wydaje mi się bowiem, iż bez względu na fakt rozwoju, lub cofania się wpływów istniejących partii, na pewno — nie na tym planie znajdziemy rozwiązania naszych trudności. Ci, którzy zapewniają nas o możliwościach odbudowy i, posługując się tymi metodami osiągnąć jedynie mogą zmiany składu Parlamentów. Zmiany te polegać będą na wprowadzeniu do Parlamentów tych dostatecznej ilości elementów nowych, by sparaliżować ich pracę i doprowadzić w ten sposób do nowych wyborów, które z kolei dałyby ludziom tym większość absolutną i możliwość działania według własnej woli. Ale jest jasne, że taka linia postępowania żadnego rozwiązania w roku 1950 nam nie przyniesie. Nasza najbliższa przyszłość ukształtuje się raczej pod wpływem wypadków o charakterze międzynarodowym, które zaważą na niej znacznie wcześniej niż rozwiązania naszych konfliktów wewnętrznych.

W państwach sowieckich to, co nazwano tityzmem zostanie tymczasowo zlikwidowane, lub rozciągnięte się na inne państwa. Obecnie wydaje się, iż pierwsza z tych dwu hipotez jest bardziej prawdopodobna. W Ameryce zarysowanie się poważnego kryzysu może być na rękę jednocześnie zwolennikom wojny, polityki zbrojeń i ultimatum skierowanego do Rosji, jak też i izolacjonistom, przeciwnikom niesienia pomocy Europie. Powyższe, na pierwszy rzut oka wydaje się wzajemnie sobie przeczyć. Lecz oba te kierunki mogłyby w równej mierze znaleźć swe uzasadnienie w tezie, zanadto rozpowszechnionej w niektórych kołach wojskowych amerykańskich i utrzymującej, iż niekoniczna jest dla ostatecznego uratowania Europy jej poprzednia obrona.

Ewolucji stosunków rosyjsko-amerykańskich nie możemy nadać kierunku, jakiego pragnęlibyśmy. Staliśmy się bowiem w pewnej mierze tylko widzami, którzy czekają na to, by dowiedzieć się czy zostaną zaopatrywani z zewnątrz, finansowani, uzbrojeni, rozbrojeni, podbici i wyswobodzeni. A tymczasem, czyż nie jedynie interesującą rzeczą jest wiedzieć co robić powinniśmy? I o tym też chciałbym pomówić.

O ruchach, które walczą o jedność Europy mówiono wam już — mam wrażenie — niejednokrotnie. Chciałbym dzisiaj na sprawę tę spojrzeć pod nieco odmiennym kątem widzenia. Mam największy szacunek dla wysiłku z jakim pracuje się obecnie nad zorganizowaniem Europy pod względem gospodarczym. Tylko, jakież uderzający kontrast ukazuje się oczom człowieka ulicy pomiędzy niektórymi komunikatami oficjalnymi, a obserwacjami narzucającymi się mu podczas podróży. Mówi się nam o wolnej wymianie walut i jednocześnie odmawia się nam dewiz na podróż do krajów sąsiednich. Mówi się o tworzeniu rozległego rynku europejskiego, a handel między Francją a

Szwajcarią zostaje wstrzymany. Ambasador jednego z państw wchodzących w skład organizacji gospodarczej Europy mówił mi kilka miesięcy temu: "Jeszcze nie byłem świadkiem tego, by jakieś zagadnienie potraktowano naprawdę w duchu europejskim" i przypuszczam, że to samo powiedziałby mi jeszcze dzisiaj.

Tak samo z głębokim zadowoleniem patrzę na ludzi wartościowych, pracujących nad stworzeniem Parlamentu europejskiego. Myślę, że praca ich jest potrzebna. Tylko, że studiując historię nigdzie nie zetknąłem się z faktem, by narody, które od dawna dzielą mocno zasiedziałe nieporozumienia zjednoczyły się pod wpływem takich ostrożnych metod, które się stosuje dzisiaj. To Bismarck dokonał zjednoczenia Niemiec, a nie Zgromadzenie we Frankfurcie. Tak samo w Stanach Zjednoczonych siła zadecydowała o procesie unifikacji. Otóż rzecz, której należy uniknąć za wszelką cenę, to właśnie interwencji siły. Wojna, nawet cywilna byłaby dla Europy — pod tym względem wszyscy jesteśmy zgodni — zbiorowym samobójstwem. Jak więc bez udziału wojny użytkować ten zbiorowy dynamizm, wylewający się w przeszłości w zdobyczach, wyprawach krzyżowych, wielkich rewolucjach socjalnych i który na prawdę kształtował oblicze ziemi? Na tym polega cały problem.

Nie dawno w Strasburgu zebrał się pierwszy parlament europejski. Z chwilą tylko, gdy spróbowano pchnąć go na tory realnej pracy wyłonił się przed nim szereg groźnych problemów: sprawa udziału komunistów w tym Parlamencie, sprawa dopuszczenia Niemiec, sprawa uzbrojenia Niemiec. I zobaczyliśmy wówczas jak rozpięło się to sztuczne porozumienie licznych organizacji, które wywiesiły sztandary z jakże niesprecyzowanymi hasłami zjednoczenia Europy. Ukazały się nam wówczas wielkie linie konfliktu, w którym zetkną się ze sobą sprzeczne siły. Walka tych sił trwać będzie tak długo, aż któraś z nich nie zatriumfuje i nie narzuci innym swej polityki wewnętrznej Europy.

Jeżeli chodzi o mnie myślę, że nie będzie Europy o ile nie będzie owej wspólnej polityki wewnętrznej. Polityka ta jest znacznie łatwiejsza do ustalenia, ludzie bowiem lepiej zdają sobie sprawę z realnej wartości zagadnień między-europejskich w zestawieniu z własnymi problemami narodowymi. Aby rzeczywiście słowo Europa brzmieć miało pełnowartościowo, trzeba by realizacja tego celu zastąpiła prawie wszystkie punkty normalnego programu politycznego narodowego. Jeżeli na przykład stworzy się monetę europejską, to nie trzeba będzie szukać gwarancji przed wprowadzeniem inflacji w jakimkolwiek z państw europejskich. Kraj taki bowiem nie mógłby samodzielnie przeprowadzić inflacji bez natychmiastowego narażenia się na zgubne i ściśle określone konsekwencje. Jeżeli przyjmujemy takie odwrócenie punktu widzenia, to wówczas dyskusje na temat wewnętrznej polityki narodowej staną się po prostu tylko zabawą.

Wysuwa się jako przykład — ja także to robiłem — Benelux. Ale przykład ten — jakkolwiek byłby zachęcający — ukazuje nam trudności i powolność z jaką dochodzą do skutku układy czysto ekonomiczne między państwami suwerennymi. Trzeba powiedzieć sobie szczerze, że Europa, o ile nastąpić ma jej zjednoczenie będzie niewygodna dla wielu, ukróci szereg krzywdzących przywilejów, obniży poziom życia leniuchów, wystawi na współzawodnictwo chronione dotychczas gałęzie przemysłu. By pokonać te opory trzeba by doprowadzić temperaturę polityczną Europy do wysokiego punktu fuzji. By to osiągnąć widzę tylko jeden środek: utworzenie w każdym z poszczególnych krajów ruchów narodowych, mających wspólny program. Jedynie ten nowy internacjonalizm może przeciwstawić się zwycięsko międzynarodówce komunistycznej, bez wystawiania nas na te same niebezpieczeństwa. I w istocie, ruchy te o kierunku dośrodkowym pozostałyby wolnymi, nie byłyby podporządkowane żadnej obcej władzy, a równocześnie ich zjednoczenie stanowiłoby ich rację bytu i instynkt zachowania popychałby je do skutecznej pracy w tym samym kierunku. Czy możecie wyobrazić sobie jak ruchy te wspomagałyby się wzajemnie, jak echo każdego ich sukcesu wybiegałoby daleko poza granice, jak nawoływano by się do solidarności wszystkich. Kraj, w którym powstałby najpierw takich ruch nabrałby znaczenia w stosunku do innych. Nie widzę też, by Francja mogła w inny sposób odegrać jeszcze jakąś poważniejszą rolę.

Mam wrażenie, że pewna grupa rozsądnie myślących ludzi zdaje już sobie z tego sprawę. Myślę także, że w dziedzinie naszej polityki narodowej powstaje pustka, która jest wskazówką pewnego oczekiwania. Syndykaty tracą swych członków, partie swych zwolenników, gazety swych czytelników. Wszyscy ci ludzie pragną — może nawet nieświadomie — zazerwować siebie, dla rozgrywki o znaczeniu bardziej istotnym. I ci ludzie właśnie stanowią będą jutro szeregi osób walczących o Europę.

By ożywić w każdym z zainteresowanych państw owe ruchy dośrodkowe, trzeba by wytwarzać wszędzie świadomość Europy i dumę z Europy. Prawdziwy Europejczyk — to człowiek, który faworyzuje wypracowanie wspólnej historii Europy, będącej do przyjęcia przez wszystkich jej synów. To człowiek, który świadomie przywiązuje wagę do utrzymania wpływów nie tylko własnego kraju, lecz także innych krajów Europy w całym świecie, który nie stara się na przykład zawładnąć koloniami swego sąsiada i który nie pragnie osiągnąć znaczenia kosztem innych. To człowiek, który z troską myśli o wszystkim, co wiąże się z duchownym początkiem Europy, z jej głębokimi, życiowymi źródłami — który (by poruszyć temat aktualny) nie uważa za sprawę pozbawioną sensu zagadnienie ochrony miejsc świętych w Jerozolimie.

Powiecie mi: "Jaki obszar obejmować ma owa Europa? Kto wejść ma w jej skład? Jakie będą jej granice?" Odpowiem:

Europy nie trzeba określać — określi się ona sama. Sami zobaczycie, gdzie ruchy europejskie zakwitną, w jakich krajach osiągną maksymalny rozwój, nad jakimi rządami będą one w stanie po kilku miesiącach, czy kilku latach rozciągnąć kontrolę. W tym względzie dwie ewentualności są łatwe do przewidzenia: ruch ten zakazany zostanie w Europie wschodniej i cieszyć się będzie on mniejszym powodzeniem w Wielkiej Brytanii niż na kontynencie.

Tak, Europa zadając kłam wszystkim planom teoretyków powstanie z ludzi żywych. Zacznie istnieć tam wszędzie, gdzie ludzie czuć ją będą w sobie i z chwilą istnienia rozpoczną promieniować. Jeżeli się zorganizuje, jeżeli stworzy naokoło siebie entuzjazm, jeżeli przyniesie pracę i domy mieszkalne, jeżeli zawładnie rynkami, to wciągnie nieodwołalnie w swoją orbitę kraje Europy wschodniej, które są dzisiaj satelitami Rosji sowieckiej. Powiedziałbym nawet, że ta próba pacyfistycznego podboju części Europy, która znajduje się obecnie w niewoli winna stać się jednym z tematów lirycznych, który wysunęłoby się w programach ruchów europejskich. Tak wyglądałaby wyprawa krzyżowa czasów dzisiejszych.

Europa zachodnia tak, jak ją widzimy dzisiaj nie tworzy harmonijnej całości gospodarczej. Jest zanadto uprzemysłowiona, przeludniona, stanowi bardziej siłę konkurencyjną niż uzupełniającą. Tym niemniej rozwój jej wewnętrznej wymiany towarów jest możliwy. Wszyscy czytaliśmy niedawno w gazetach o historii jarzyn, których nie można było sprzedać i które kilka miesięcy temu wysłano w pośpiechu do Niemiec. We Francji istnieje normalnie nadprodukcja artykułów żywnościowych rolniczych, a w Niemczech i innych krajach nie brak jest ludzi zgłodniałych, wyczekujących ich napływu. Lecz to nie wystarczy. Europa musi odzyskać swe dawne źródła zaopatrzenia w produkty rolnicze w basenie dunajskim oraz szukać musi w Afryce brakujących jej surowców.

Zadania, o których wam mówię są bezwzględnie ogromne. Niektórzy będą chcieli uchylić się od nich, mówiąc: "Poczekajmy jeszcze kilka lat". Odpowiem im: "Jeśli nie wykorzystamy tych lat, stracimy na zawsze okazję, Europa stworzona zostanie przez nie-europejczyka. Wiek dwudziesty jest wiekiem pośpiechu i nie uznaje zwlekania".

Inni powiedzą: "Europa, którą pragnie pan stworzyć dostanie się pod władzę Niemiec". Powiedzenie takie jest zarówno z punktu widzenia narodowego jak i europejskiego niedopuszczalnym defetyzmem. Nie myślę, by jakkolwiek Francuz, godny tego imienia, mógł uznawać jako zasadę fakt, iż rodacy jego są mniej inteligentni, mniej pracowici, mniej zdecydowani od Niemców.

Powie się także europejczykom: "Gdy staniecie się potężni stworzycie sobie wrogów". Odpowiem na to, iż próżne są wszelkie próby uchylania się od własnego przeznaczenia. Albo będziemy wegetować i zostaniemy wchłonięci, albo rozpoczniemy

życie od nowa i nasz rozwój niepokoić będzie innych. Powiem nawet, iż próżne będą nasze usiłowania zapomnienia o aspekcie militarnym naszej potęgi. Za naszych czasów potęga wojskowa sprowadza się w ostatecznym rozrachunku do potęgi przemysłowej. Jeżeli będziemy się rozwijać, jeżeli zwiększy się nasza produkcja, jeżeli połączymy się w wspólny wysiłek eksploatacji Afryki, staniami się — nawet gdybyśmy tego nie pragnęli — potęgą militarną, której inni będą się bać i szanować.

Powie się jeszcze: "Przeciętny wyborca nie interesuje się Europą". To prawda. Ale stwierdzenie takie staje się z dnia na dzień mniej prawdziwe, mimo, że jest ono jeszcze ciągle prawdziwe. Trzeba prowincjonalizm ten zaatakować propagandą. Zresztą, nieunikniony bieg wypadków zredukuję go na pewno. Na skutek kolektywnego traktowania nas przez Amerykę i Rosję Europa uświadomi sobie w końcu swe własne istnienie. To nasz los, los Francuzów rozstrzygał się zeszłego roku w Rzymie podczas wyborów 18-go kwietnia i w Berlinie podczas blokady. Komunizm we Włoszech lub Niemczech oznaczał komunizm za jakiś czas i we Francji. Niech nie wmawiają więc w nas, że mówimy o rzeczach przyszłych. Mówimy o rzeczach, które już są, lecz których nie wszyscy chcą dostrzegać.

Ujmuje się często zagadnienia międzynarodowe w formie abstrakcyjną. Mówi się na przykład, iż należy grupować ludzi rozrzuconych po świecie, a mających ten sam stosunek do takich zasad, jak obrona wolności osobistych, lub innych. Lecz co znaczyć może najszersze nawet porozumienie, jeżeli porozumienie to pozostawi Europę na łasce czy niełasce okupacji rosyjskiej? Wolności osobiste, które chciano ocalić zmiecione by zostały po upływie trzech dni.

Inne jeszcze zastrzeżenie: "Powyższe zagadnienie nie jest tylko problemem europejskim, zależymy przede wszystkim od Ameryki. Jedynie Ameryka odnieśli może napastnika i wygrać ewentualną wojnę". Bez wątplenia. Dlatego też nie pragnę, w każdym razie chwilowo, stworzenia trzeciej siły międzynarodowej. Myślę, że powinniśmy działać bardzo szczerze i w porozumieniu z Ameryką. Ale dodaję, że tylko dzięki wspólnemu wysiłkowi europejszyków Pakt Atlantycki nabierze właściwej treści. Dzisiaj Pakt Atlantycki jest tylko parawanem, który ukryć ma plan strategicznego cofania się. Pomoc amerykańska zabezpieczy nas zapewne przed ostateczną porażką. Ale pomoc ta nie zabezpieczy nas przed okupacją. I nie znajdziemy wybawienia dla rozstrzelanej w jakimś nowym Katyniu — elity.

Właściwie co przeciwstawić możemy programowi europejskiemu? Czyżby program czysto imperialny? Nie posiadamy ani ludzi, ani odpowiednich kapitałów, by eksploatować nasze imperium. Nie możemy też zdecydować, by leżało ono u górom dla samej przyjemności tylko niedopuszczenia do niego od innych. Epoka tego rodzaju przywilejów feudalnych minęła.

A może program światowy? Czyżby istniała na prawdę ja-

kaś mistyka Organizacji Narodów Zjednoczonych tak, jak istniała kiedyś mistyka Ligi Narodów? Mój wiek pozwala mi na zrobienie tego porównania. Pamiętam też, iż w roku 1925 zebrania w Genewie otoczone były atmosferą entuzjazmu, której nie dostrzegam, niestety w czasie zebrań w Palais de Chaillot i w Lake-Success.

Przede wszystkim nie myślm, iż możemy pozostać bezczynni. Tego roku byliśmy świadkami ogólnego podniesienia się na duchu. Czytaliśmy w pismach, że frank został uratowany i że Rosja decyduje się na współpracę z Zachodem. Tego wszystkiego słuchaliśmy z przyjemnością. Wiadomości te upoważniały nas w pewnym sensie do nierobienia niczego. Dzisiaj mam wrażenie, iż okres owego podniesienia się na duchu dobiegł końca. Nie ma prawdziwego odprężenia w Europie, a problem franka jest właściwie ciągle nierozwiązany. Posuwające się naprzód siły destrukcyjne zatrzymać tylko możemy budowaniem rzeczy nowych. Ludzi nie wciągniemy do pracy, proponując im zachowanie stanu posiadania. Trzeba pokazać im cel do osiągnięcia — cel niezbyt łatwy, nie zanadto bliski, lecz i nie zanadto trudny do realizacji. Już teraz powinniśmy wyruszyć w stronę tego celu, ożywni nadzieją, że dotrzemy do niego przed naszą śmiercią.

Cel ten należy ująć w formie bardzo prostej. Bezpieczeństwo, wolność, potęga, tylko te odwieczne pragnienia skupiały niezmiennie ludzi naokoło siebie. Należy udowodnić, że jedynie zorganizowana siła Europy może ich zadowolić. Trzeba by powiedzieć: "Ameryka może nas oswobodzić, lecz jedynie Europa może nas obronić, broniąc się wspólnie. Moneta europejska będzie monetą silną, o której marzymy, a której oddzielnie stworzyć nie jesteśmy w stanie — silna moneta, to znaczy dla każdego z nas — zabezpieczenie jutra, zabezpieczenie lat starości, to znaczy także prawdziwe rozwiązanie zagadnień socjalnych. My, Europejczycy, którzy żyjemy dzisiaj w kompleksie niższości, w rzeczywistości posiadamy wszystko: liczbę, inteligencję, tradycję, a nawet dzięki Afryce bogactwa kontynentu jeszcze niewyczerpanego. Brakuje nam tylko wiary. Stwórzmy ją w nas i naokoło nas, a przestaniemy być marionetką w rękach innych mocarstw, gdyż złączeni, stworzymy największą potęgę".

Jaki piękny program. I czyż nie byłoby we Francji chociaż jednego człowieka, który by chciał go głosić? I czyż nie byłoby milionów ludzi, by programu tego wysłuchać, uznać go, zapalać entuzjazmem, i innych milionów, by entuzjazm ten roznieść daleko poza granicami naszymi? Jeżeli chodzi o mnie nie wierzę, by tak było. Dlatego też od roku 1950 oczekuję powstania tego wielkiego ruchu europejskiego, który skupi naokoło siebie siły, rozproszone niegdyś w narodowych faszyzmach.

Alfred FABRE-LUCE.

Tłumaczył Józef URSYN.

"ORZEL BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
59/61, Hatton Garden — London E.C.1.
Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Najnowsza historia Polski

Pierwsze władze Polski Podziemnej

(Wspomnienia osobiste)

I.

Warszawa w październiku roku 1939

Jest połowa października 1939 roku i już kilka dni minęło od mego powrotu do Warszawy. Wzięty do niewoli sowieckiej pod Włodzimierzem Wołyńskim, uciekłem z transportu i odnalazłszy po drodze żonę w Kowlu, pół pieszo, pół końmi, dowlokłem się z powrotem do domu. Jestem ciągle jeszcze wytrącony z równowagi, ciągle jeszcze mam przed oczyma okropne obrazy ostatnich tygodni, ale czuję się już pewniejszy, bo przecież wśród swoich i na własnych śmieciach. Chodzę po Warszawie i oglądam dobrze znane widoki. Ale i miasto i ja znajdujemy się teraz w jakimś innym świecie. Niby ten sam obraz, a widzi go się inaczej. Wszystko zanurzone w jakiejś innej atmosferze. Miasto jak gdyby w żałobie. Przez gęsty welon kurzu ledwie widać jego rysy tak dla mnie zawsze miłe. Ani śladu dawnej elegancji i wesołości, wszystko poszarzało — tu i tam zwalone przez bomby kamienice zwracają uwagę, jak dziury w ubraniu. Okaleczone domy o czarnych, pustych framugach okien, stoją jak rzędy ślepców. I wszędzie masa potłuczonego szkła, tej zawsze pierwszej ofiary wojny. Piszczy pod nogami, aż się dostaje gęsiej skórki. Na płytach tu i tam symetryczne rozetki wybuchów. I ludzie jacyś inni. Poubierani na szaro, wychudzeni, przesuwiają się bokiem. Ale to już znam. To już widziałem po tamtej, sowieckiej stronie. Jest to wygląd ochronny, który ma zabezpieczyć przed okiem wroga. Idealna barwa — to kolor kamienic lub bruku, po którym się chodzi. Zasada — żaden szczegół w ubraniu i ruchach nie powinien zwracać uwagi. Ale nowy wygląd warszawskiej ulicy nadają przede wszystkim hulaśliwe postacie w szaro-zielonych mundurach, wyszczekujące głośno każde zdanie i wałęsające się wszędzie.

II.

Spotkanie z b. marszałkiem sejmu Maciejem Ratajem

Odszukuję przyjaciół i znajomych i dowiaduję się już o pierwszych szczerbach, jakie wśród nich zrobiła wojna. Idę na Hożą czternaście, do mieszkania byłego marszałka sejmu, Macieja Rataja, prezesa Stronnictwa Ludowego w okresie, gdy Wincenty Witos przebywał na emigracji. Chcę się dowiedzieć, co się z nim i jego rodziną dzieje.

Na Hożej zastaję już marszałka Rataja. Skromne, czteropokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze, trochę starych mebli, parę dywanów, szafy biblioteczne wypełnione po brzegi, kilka obrazów, w tym piękny, duży portret zmarłej żony Rataja. W mieszkaniu króluje ukochana jedynaczka Hanka, która otworzyła mi drzwi i z typowo warszawskim — "kogo ja widzę!" — wprowadziła do ojca. Rataj wychudł, mocno posiwił przez te kilka tygodni i zapuścił brodę. Przyglądam się uważnie jego pięknej, postarzałej twarzy i po pewnym czasie spostrzegam lekkie, nieustanne drżenie głowy. Sadza mnie w wygodnym fotelu i opowiada. Opuścił z córką Hanką Warszawę, tak jak wielu, i pojechał na wschód. Zięć, Stankiewicz, mąż Hanki, poszedł do wojska i dopiero teraz mają wiadomość, że jakoś uniknął niewoli i zatrzymał się w rodzinnej wsi Rataja. Sam Rataj czuje się szczęśliwy, że wrócił do Warszawy, nie może jednak przyjść do siebie w obliczu tak strasznej klęski. I teraz Rataj przez parę godzin zaczyna mi wykladać swój pogląd na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Widać, że czuje potrzebę wypowiedzenia przed kimś tego, co się w nim nagromadziło. Ból i żal tryska z każdego słowa, gdy mówi o przeszłości, o polityce wewnętrznej sanacji, polityce zagranicznej Becka, o nieprzygotowaniu do wojny, i Rydzu Śmigłym i tak dalej. Sięga wspomnieniami daleko wstecz. Mówi nawet o zamachu majowym z dwudziestego szóstego roku i o swojej rozmowie wówczas z marszałkiem Piłsudskim w Komendzie Miasta, na Placu Saskim. Był to tak niezwykły fragment, że utrwaliłem go sobie w pamięci, jako wyraz wrażeń, jakie Rataj wyniósł z tego spotkania.

— "Walki uliczne trwały. Dowiedziałem się, że marszałek Piłsudski jest w Komendzie Miasta i pojechałem tam natychmiast. Wprowadzono mnie do niego bez zwłoki. Zacząłem rozstrząsać istotę i skutki zamachu i robić marszałkowi wyrzuty. Wyszukiwałem ich bez słowa odpowiedzi. Robił na mnie wrażenie człowieka, będącego w rozterce. Zapytałem wreszcie: — Panie marszałku, co będzie dalej, dotąd pan zmierza? Odpowiedział: — Nie wiem, — i odniosłem wrażenie, że w tej chwili mówił prawdę".

Na zakończenie rozmowy prosił Rataj, by go często odwiedzać: — "Niech pan, panie Stefanie, przychodzi, kiedy ma pan ochotę. Trzeba będzie pomyśleć o przyszłości, pewno znajdują się jeszcze jacyś inni, nasi ludzie, trzeba się z nimi trzymać razem".

W kilka dni później odwiedziłem Rataja, tym razem w konkretnej sprawie. Nie mogłem się pogodzić z perspektywą beczynnego oczekiwania na koniec wojny, urozmaiconego może pracą zarobkową, boć z czegoś przecież trzeba żyć. Przedsmak tego, co mnie czeka już mam, wysiadując po godzinie policyjnej w domu, zawalonym gratami ze zniszczonych mieszkań i pełnym depczących sobie po piętach ludzi, martwiących się o każdy drobiazg. Czyż mam całą wojnę tak przesiedzieć? Oczywiście, myślałem już, jak tysiące innych, o akcji podziemnej przeciw Niemcom.

Już mamy wiadomości o rządzie, powstającym zagranicą, o organi-

zowanej tam na nowo armii, o dalszej walce tych, którzy są na wolności, na szerokim świecie. Radio dopiero skonfiskują za kilkanaście dni, na razie słuchamy i wiemy, co się dzieje. Czy nie byłoby lepiej i pewnie pójść na Węgry i stamtąd jakoś do Francji? Cel jasny i prosty — trzeba iść do wojska. Jeśli chodzi o walkę, jestem, jak tysiące mi podobnych, zupełnie niewyżyty i czuję, że zaspokojenie tego pragnienia jest absolutną koniecznością. Wszystko to dręczy i nie daje spokoju. Zdecydowałem się więc pójść do Rataja i zapytać go o radę.

Rataj spokojnie wysłuchał mych zwierzeń, oczy miał jakieś pełne ciepła, nieraz się uśmiechał, ale spoważniał natychmiast, gdy zacząłem mówić o konspiracji, jako o konieczności, do której nas pchają właściwości narodowe i względy polityczne. Gdy skończyłem, Rataj położył mi rękę na ramieniu (ręce miał wyjątkowo piękne, długie palce, żywe, nerwowe) i ścisnąc mocno, powiedział:

— "Dobrze się stało, że pan do mnie przyszedł przed podjęciem decyzji. Od tej chwili wszystko, co mówimy, jest najściślej tajemnicą".

I przez jakieś dwie godziny, przejęty do szpiku kości, słuchałem Rataja, który wstając od czasu do czasu z fotela, i chodząc tam i z powrotem po pokoju, wtajemniczał mnie w szczegóły rodzącej się konspiracji. Jest w ścisłym kontakcie z Niedziałkowskim i planują zorganizowanie akcji podziemnej w skali krajowej. Nasza katastrofa wojenna jest także ostateczną katastrofą reżimu sanacyjnego. Kierownictwo podziemia winny ująć w swoje ręce partie opozycyjne, które przechowały ideały demokracji. Klęska powinna podzielać oczyszczając, jak ogień. Partie powinny wyzbyć się tego, co przeszkaadzało ich współpracy. — "Nie wezmę udziału w żadnych gierkach i rozgrywkach" — mówił Rataj. — "Ruch podziemny musi być oparty o ideały demokratyczne, rząd na emigracji również. Z tego wyłoni się przyszła Polska wolna, praworzadna i czysta". Dał mi do zrozumienia, że na czele całej akcji podziemnej stanie on, Rataj i Niedziałkowski, który nie opuścił ani na chwilę Warszawy i w czasie oblężenia wchodził w skład Obywatelskiego Komitetu Obrony Stolicy. Wymienił z wtajemniczonych Stanisława Dubois. Powiedział: — "Pewno się pan ucieszy, jeśli panu powiem, że do naszych planów włączyliśmy pańskiego przyjaciela Staśka. Niech pan z nim utrzymuje stały kontakt". W dalszym ciągu Rataj wyjaśnił, że z naszego stronnictwa zamierza prócz mnie, wciągając do roboty tylko nieliczne jednostki, nadające się, według jego oceny, do konspiracji, zatem zobowiązuje mnie do absolutnego milczenia także w stosunku do kolegów ze stronnictwa. Moje zwierzenia przyspieszyły wykonanie powziętej z Niedziałkowskim decyzji. Wreszcie zakończył przysiężeniem, że w tych warunkach chyba przystępuję z wyjazdu zagranicę.

Natychmiast się z tym zgodziłem i wyszedłem uspokojony i zadowolony. Widziałem teraz wyraźny cel przed oczyma. Pozostanie w kraju miało już swój sens, no i do tego wspaniała perspektywa akcji podziemnej! Wszystkie troski i niepokoje ustąpiły w tym momencie na bok i po raz pierwszy od wybuchu wojny byłem po prostu i zwyczajnie wesoły. Byłem jeszcze na tyle młody, że sama walka, jej momenty sportowe, awantura, lub jak kto woli, Wielka Przygoda przez duże W i P, miały jeszcze dla mnie swój urok. Wszak całe pokolenia dojrzałe w niepodległości, zazdrościły starszym dawnej konspiracji. Owiana tajemniczością i bohaterstwem, w hierarchii walki o Polskę zajęła pierwsze miejsce. Być może, po takiej rozmowie należało być wstrząśniętym do głębi, na ponuro, być może należało zrobić się tajemniczym (co, jak to życie później wykazało, nie jest wcale równoznaczne z rzadko spotykaną w konspiracji trudną umiejętnością dochowania tajem-

nicy), być może, znalazłszy się u źródła konspiracji, należało "ważyć w sobie wielkie plany". Ale nic z tego w tej chwili nie czułem, a po prostu wesoły, jak szczygieł, kroczyłem do domu jeszcze wówczas legalnego.

Później, w konspiracji, jeśli idzie o zachowanie ludzi z podziemia, wytworzył się na pewien fason, zresztą rozsądny. Obowiązywała powaga, ale nie koturny i żałoba narodowa. Uważaliśmy, że można ją zachować na przykład przez pięć miesięcy, ale nie przez pięć lat. Ludzie dość naturalnie żyli, spiskowali i... ginęli. Bez pozy, bez wielkich gestów, a mimo to w cieniu wielkości. Zawodowi oficerowie nosili meloniki, kalosze i parasole, cywile — jakieś kurtki, czapki i wojskowe spodnie. Każdy uciekał od stroju, który nosił przedtem. Wojskowi chodzili pochyleni, jakby całe życie spędzili za biurkiem. Cywile — jak kij poiknął. Pewne zwyrodnienie tego fasonu obowiązywało do wzniosłości w mowie i piśmie i stuprocentowej tajemniczości. Przewijali się postacie, jak z prowincjonalnej sceny: milczące, ponure, cedzące półsłówka, postacie, których chód i wygląd wołał do wszystkich: "jestem konspirator!". Te śmieszne atrybuty nie przeszkadzały temu wcale, że w swej pracy codziennie igrali ze śmiercią i w razie potrzeby umierali, jak bohaterowie.

Skoro mowa o "fasonach" konspiracyjnych, to trudno nie wspomnieć o modzie, która wówczas nie tylko rządziła w Paryżu, Londynie i New Yorku, na tak zwanym "wolnym świecie", ale w zimie 39/40 roku rządziła także w Warszawie. Któż nie pamięta młodych ziemian w lisich kołpakach i niedźwiedziach szubach do kostek, zamiatających polami błoto uliczne? Ubrani, jak na polowanie w Puszczy Białowieskiej, kroczyli od kawiarni do kawiarni, od baru do baru. A kelnerki w kawiarniach? Panie "z towarzystwa", w większości żony, siostry, narzeczone wojskowych, pracowały z potrzeby. Część jednak pań — dla mody. Ta moda przeniknęła nawet przez mury Ghetta. — "Wiesz co? W kawiarni... podaje Szereszewska, wiesz, ta córka bankiera. Wszyscy tam chodzą ją oglądać"). A męskie marynarki o wypchanych ramionach na plecach warszawianek? W szkocką kratę, w pepite, zawsze za obszerne. A do męskich marynarek oczywiście męski krok i męskie ruchy! A moda na buty z cholewami? Chociaż nie na te piękne, lśniące, drogie, jedyne na świecie warszawskie buty z cholewami, z tradycją Kilińskich, Leszczyńskich, Strusiów i Kieliszków, ale w każdym razie na solidne, ciepłe, grube, długie buty. Ta moda przyszła dość późno, ale Niemcy w lot się zorientowali kto jej hołduje. Iluż to młodych chłopców poszło przez nie do więzienia! Niemniej młodzież w AK paradowała w nich od rana do wieczora i żadne ryzyko nie mogło jej od tego odwieść. Jeden z moich przyjaciół, siedzący zresztą obecnie w więzieniu w Polsce, został pewnego razu aresztowany przez cywilnego agenta na przystanku tramwajowym. Dopiero na korytarzu gmachu niemieckiego urzędu śledczego przy rogu Alei Ujazdowskich i Koszykowej, tam, gdzie jest obecnie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, udało mu się wykupić większą łapówką. Agent, widocznie folksdojcz, zapytany na pożegnanie o powód aresztowania, powiedział: — "Po jaką cholere chodzi pan w butach z cholewami i to w dodatku wpuszczonymi w nogawki? Nie wie pan, kto u was w długich butach chodzi, czy co?"

Utrzymuję teraz ciągiły kontakt z marszałkiem Ratajem, ale sytuacja w jego mieszkaniu przestaje mi się podobać. Po prostu drzwi się przed gośćmi nie zamykają. Spotykam tam ludzi ze wszystkich partii i rozmaitych kierunków. Jest w tym wszystkim jakiś instynktowny pęd ludzi zagubionych, szukających wskazówek i kierownictwa. Początkowo

często asystowałem przy rozmowach, na które trafilem, później zaczęliśmy tego unikać, by nie zwracać uwagi na bliski kontakt Rataja ze mną. Temat rozmów z małymi odchyleniami — ten sam. Nieoczekiwanie szybka klęska, zupełne nieprzygotowanie do wojny, rząd na emigracji. Sikorski i potrzeba pracy dla przyszłej, innej, lepszej Polski. Orientuję się, jak wielki autorytet polityczny i moralny reprezentuje Rataj dla swych rozmowców. O prezesie Witosie wiemy tylko tyle, że jest aresztowany i nieosiągalny — staramy się zebrać o nim jak najwięcej wiadomości. Rataj góruje zresztą wyraźnie nad swymi rozmówcami inteligencją i poziomem politycznego myślenia. Ma w sobie dużo entuzjazmu, promienieje z niego jakaś siła — wyczuwa się, że ma pewną wizję przyszłości, pewną koncepcję, dla której pragnie działać i organizować ludzi. Przed wojną znałem Rataja dość dobrze, mimo że w hierarchii partyjnej dzielił nas dość duży dystans. Obecnie — poznaję go jeszcze lepiej, zaczynam go bardzo cenić, a że w stosunkach osobistych jest bardzo miły, uprzejmy i delikatny, zaczynam go również bardzo lubić.

W czasie licznych rozmów omówiliśmy przyszłą strukturę partyjnej organizacji konspiracyjnej i dokonaliśmy przeglądu osób, które należałoby wciągnąć do roboty w ośrodkach prowincjonalnych. W opiniach o przydatności poszczególnych osób, Rataj łamał wszelkie zasady hierarchii partyjnej i był bardzo szczerzy. Jedyne kryterium, jakie uznawał, to przydatność do roboty podziemnej.

Zwróciłem w tym czasie uwagę Rataja na niebezpieczeństwo, związane z przyjmowaniem tak dużej ilości osób. Rozłożył na to ręce: — "Sam sobie z tego zdaję sprawę. Ale jak tego uniknąć? Nie sposób trzymać cały dzień drzwi zamknięte. Chyba, żebym się wyprowadził, ale tego nie zrobię, bo zanadto przywiązałem się do tego miejsca". Poparła mnie gorąco córka Rataja, Hanka, która orientowała się w tym, co się wokół niej działo i próbowała ograniczyć spotkania i wprowadzić pewną selekcję, ale rezultat tego był znikomym.

Dziś, gdy piszę te słowa, rozumiem, jak byliśmy wówczas naiwni i nieostrożni. Poza oficerami, którzy w ten czy w inny sposób uniknęli niewoli i wybitniejszymi politykami, związanymi z reżimem, którzy obawiali się, iż Niemcy mogą ich aresztować pod takim czy innym pretekstem i z tego powodu ukrywali się, wszyscy inni pozostali w swych przedwojennych mieszkaniach lub powrócili do nich z wędrowki wojennej. Rozumowano w sposób następujący: — "Jeśli my się zewnętrznie dostosujemy do przepisów prawa międzynarodowego i zachowamy spokój, to i Niemcy muszą odpowiedzieć podobnym". Studiowano w prawie międzynarodowym wszystko to, co dotyczyło sytuacji kraju okupowanego i pocieszano się, że tego a tego Niemcy zrobić nie mogą. Sprawa organizującej się konspiracji — to co innego — ale była ona dla Niemców jeszcze tajemnicą, a pozory były zachowane. O mordach, dokonanych w Poznańskim, dochodziły dopiero pierwsze słuchy. Obawiano się prześladowań Żydów, ale o zbiorowej odpowiedzialności, o aresztowaniu bez dowodów winy, o "ludobójstwie" jeszcze wówczas nikt nie myślał. Łapanki, Pawiak, Oświęcim, Ghetto — w tej chwili była to jeszcze przyszłość. Pierwszy cios został zadany dopiero przez pobór zakładników w dniu 9 listopada 1939 roku, a drugi wkrótce potem przez słynną egzekucję w Wawrze.

Zakładnicy

Rano obudziło mnie w domu walenie do drzwi i niemiecki krzyk: — "Otwierać!" Włożywszy na siebie na prędce co było pod ręką, otwo-

rzyłem drzwi. Wszedł gestapowiec w towarzystwie dwóch żandarmów. Miał listę w ręku i zapytał o mnie, wymieniając nazwisko i zawód. Gdy odpowiedziałem twierdząco, usłyszałem rozkaz: — "Ubierać się! Pójdzie pan z nami". Zacząłem wolno się ubierać, starając się opanować szok. Żandarmi obchodzili mieszkanie pokój po pokoju. Ręce trochę drżą, po głowie latają myśli: — "Jeszcze się prawie nie zaczęło, a już koniec?... Jak wykryli? Czy jakaś wsypa? Czy Rataj również aresztowany?" Gestapowiec stał przy mnie i naglił. Żona blada, ale spokojna, podawała mi najpotrzebniejsze rzeczy: ręcznik, mydło, bieleźnię. Wreszcie wyszliśmy. Przed domem stał samochód ciężarowy, a w nim dwie skulone sylwetki. Blade twarze, jakieś znajome z sąsiedztwa. Przyszło zaraz otrzeźwienie — "to nie to, to jakaś inna historia"... Gdy po kilkunastu minutach żandarmi wprowadzili nas na wielką salę gmachu uniwersytetu na Krakowskim Przedmieściu, gdzie już było widać kilkadziesiąt takich jak my wystraszonych osób, zrobiło mi się jasno w głowie. To nie żadna wsypa, a jakaś akcja, związana z 11-tym Listopada. Za chwilę witałem się z Henrykiem Kołodziejskim i Emilem Breiterem, którzy potwierdzili moje przypuszczenia. W pół godziny potem oficer żandarmerii poinformował nas, że jako znani obywatele zostaliśmy wzięci na zakladników, dla zapewnienia spokoju w mieście w dniu 11 listopada. Jeśli by się wydarzyły jakieś rozruchy, zostaniemy rozstrzelani. A więc nie wsypa. Wrócił mi natychmiast dobry humor, objadłem się kaszy z konserwami, którą przynieśli żandarmi, a potem, leżąc na sienniku, gawędziłem długo w noc z Kołodziejskim i Breiterem, leżącymi obok. Dziwili się mej niefrasobliwości, której powodów nie mogłem im wytłumaczyć, ale powoli i im wrócił spokój. Gadaliliśmy tak ze sobą przez następne dwa dni. Jedenastego listopada po południu, zadowoleni ze spokoju na mieście Niemcy, zwolnili nas. Przed bramą czekała już żona. Wróciliśmy szczęśliwi do domu, ale nie podobało nam się, że zostałem tak szybko przez Niemców "wyróżniony".

Pierwsze aresztowania marszałka Rataja

Po kilku dniach, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość o aresztowaniu Rataja. Gestapowcy przyszli nad ranem i zabrali go szybko, nie pozwalając nawet wziąć ze sobą płaszcz i niezbędnych drobiażków. Wszystko to opowiedziała mi blada, ale opanowana córka Rataja, Hanka, z którą spotkałem się na mieście, z zachowaniem wszelkiej ostrożności. A więc — uderzenie w samo serce powstającej organizacji! Byłem ogromnie przygnębiony, ale przede wszystkim starałem się zorientować co do przyczyn aresztowania. Po paru godzinach już wiedziałem, że Niedziałkowskiego nie aresztowano, ale że z miasta zabrano więcej osób. Naradzałem się z Dubois i doszliśmy do wniosku, że wystrzelono na ślepo i że dowodów jeszcze w ręku mieć nie mogą. Dubois, o doskonale zachowanej przedwojennej tuszy, w wiatrówece i "pumpach" grasował już po całej robotniczej Warszawie, bardzo przez wszystkich lubiany i wszędzie mile witany. Zachował pogodny humor na codzienny użytek i spotkanie z nim było prawdziwym odprężeniem. Mielśmy wiele wspólnych przeżyć i obiecywałem sobie po wojnie pójść na wspinaczkę w Tatry z trzecim przyjacielem, Mieczysławem Thuguttem, który zawieruszył się gdzieś na szerokim świecie i którego nam bardzo brakowało.

Hanka wychodziła ze skóry, aby ojcu dostarczyć bieleźnię i koc, ale nic jej nie wychodziło, nawet nie mogła się dostać do wnętrza gmachu przy Aleji Szucha, który już zaczynał nabierać złej sławy. Postanowiłem zaryzykować i pójść samemu do jaskini lwa, w charakterze adwokata,

zaangażowanego przez rodzinę dla obrony Rataja. Sam się z tego jeszcze dzisiaj śmieję, ale to były przecież początki! Hanka z moją żoną nadeszły z paczką przed gmach Gestapo z jednej strony, a ja, starannie ubrany, z piękną teczką w ręku — z drugiej. Patrzyliśmy na gmach dawnego ministerstwa oświaty i ocenialiśmy sytuację. Kilku żandarmów stało przed nowoczesnym, lśniącym jasnymi płytami portalem. Przed nimi grupki osób, o twarzach pełnych niepokoju i oczekiwania — to rodziny aresztowanych. Kręciły się także jakieś podejrzanе indywidua, widocznie pośrednicy lub agenci Gestapo. Wkrótce groza, bijąca od tego gmachu, wypłoszy wszystkich z Alei Szucha, a nazwa tej spokojnej dotychczas ulicy, stanie się synonimem zbrodni i mordu. W tej chwili jednak stosunki były jeszcze idylliczne i żandarmi przyglądali się wszystkim obojętnie.

Poszedłem pewnym krokiem wprost na nich. Stuknęli obcasami i przepuścili bez słowa. Dobry początek! Wzięli mnie za Niemca. Po gmachu wędrowałem jakąś godzinę, nie nagabywany przez nikogo. Czyste korytarze, ruch na nich duży. Oficerowie i szeregowi gestapowcy w szarych mundurach, w koszulach khaki, kręcili się tu i tam z teczkami i papierami w ręku. Tu żandarmi prowadzą jakiegoś bladego mężczyznę ze stosem książek na rękach, które z trudem dźwiga. Łapię po drodze jego spojrzenie — ma nieprzytomne, nic nie widzące oczy. Widać, że tylko co aresztowany. Tam jakaś grupa cywili z pistoletami maszynowymi w ręku, śmiejąc się głośno, wychodzi z pokoju. W dalszej wędrowce widzę jęczącą, pokrwawioną kobietę, z wyrwconymi do góry białkami oczu, sprowadzaną, a właściwie ciągniętą w dół po schodach przez dwóch gestapowców. Na mnie nikt nie zwraca uwagi. Tracę powoli spokój i pukam nerwowo do pokoju to tu, to tam i pytam moim kiepskim niemieckim, gdzie mógłbym się dowiedzieć o aresztowanym Macieju Rataju. Odpowiadają jedni uprzejmie, drudzy gburowato, że to nie tu. Wreszcie dostałem kartkę z numerem pokoju i zaczęłem jakiegoś niedbale ubranego, starszego cywila, który na moje pytanie któregoś iść, odpowiedział po polsku: — "A o kogo panu chodzi?" — "O byłego marszałka sejmu, Macieja Rataja". — "Co, to pan Rataj aresztowany?" — dziwi się zaśliniony cywil. Opowiadam co i jak i widząc, że nazwisko Rataja zrobiło na nim wrażenie, proszę o pomoc. — "A jak się pan tu dostał? Kto pan jest?" — Na moje wyjaśnienia pokręcił głową z powątpiewaniem i zaprowadził do drzwi z napisem "Schutzhaft", niżej kartka z rangą SS i nazwiskiem Thiele. Zapukał i na gromki odzew wszedł, zgięty w ukłonie. Za chwilę drzwi się uchyliły i kiwnął na mnie palcem. Za biurkiem ujrzałem stojącego oficera Gestapo, olbrzymiego wzrostu, który patrzył na mnie ostro i nieprzychylnie. Twarz przystojna, rysy regularne. Jeszcze dzisiaj bez trudu wywołuję ten obraz na siatkówce oka. Wyjaśniłem, o co mi chodzi, poprosiłem o doręczenie paczki Ratajowi i o wiadomość, za co został aresztowany. Olbrzym wszedł i za chwilę wrócił z kartką z kartoteki w ręku. Z oczyma wlepionymi w kartkę krótko oświadczył, że "Schriftsteller" Maciej Rataj znajduje się w więzieniu na Dzielnej, gdzie mogę zanieść paczkę i powołać się na to, że on, Thiele, zezwala na jej doręczenie. Usiadł i zrozumiałem, że rozmowa skończona. To jednak było za mało, by wrócić do czekającej na ulicy Hanka, wzięłem więc na od wagę i zapytałem: "Ale za co Maciej Rataj jest aresztowany i jak długo to potrwa?" Thiele spojrział na mnie piorunującym wzrokiem, ale nim ryknął, już byłem na korytarzu. Uprzejmy cywil, który wypchnął mnie za drzwi, krzychał mi ze złością wprost w twarz: — "Czyś pan zwariował! Za samo takie pytanie można pójść za kratę!" Zza drzwi dolatywało groźne mruczenie Thielego. Podziękowałem cywilowi,

wskazał mi jeszcze drogę do wyjścia, przestrzegając przed jej zmyleniem i za chwilę opowiadałem wszystko dwóm kobietom, które od paru godzin spacerowały po ulicy, modląc się już tylko o to, bym wrócił cały. Hanka natychmiast poszła na Pawiak, lecz paczki jej nie przyjęła.

Spotkanie z Niedziałkowskim

Dubois umówił mnie na spotkanie z Niedziałkowskim w kawiarni "Napoleonka", na rogu Nowego Świata i Wareckiej, na ósmą rano. Buntowałem się przeciw tak wczesnej godzinie, ale Staś uciął krótko, że "Mek" ma zwyczaj wstawać wcześniej i koniec. Punktualnie o ósmej wchodzącemu już do kawiarni. Tylko co ją otworzono, zimno jak w psiarzni. Po pustej sali i przy bufecie kręciły się dwie starsze, znane mi z widzenia aktorki-kelnerki, ustawiając popielniczki i poprawiając krzesła. Usiadłem w jednym kącie, drugi za chwilę zajął jakiś pan, który mi się zaczął dyskretnie przyglądać. Prócz nas w kawiarni nie było nikogo. Odpłacałem mu się pięknym za nadobne i tą wzajemną obserwacją przerwało dopiero wejście Niedziałkowskiego. Ucałował szarmancko ręce obu kelnerek, ukłonił się po drodze nieznanemu i przysiadł do mnie. Znałem go dość dobrze z częstych wizyt u mego krewnego, dr Zygmunta Gralińskiego. Przyglądałem mu się jednak uważnie i nie spostrzegłem żadnych "śladów wojny". Wyglądał bez zmian. Blyszczące binokle, czupryna zaczesana do góry, nawet śmieszny trochę, pełny podbródek ten sam. Przypatrywałem mu się z zaciekawieniem, usprawiedliwionym rolą, jaką odegrał w ostatnich miesiącach. Organizowanie baonów robotniczych w czasie obłężenia stolicy, działalność w Obywatelskim Komitecie Obrony, współpraca ze Starzyńskim, — wszystko to wskazywało, że miałem przed sobą przywódcę, który zdał już egzamin praktyczny z tego, co innym zalecał na wiarę. Wymieniliśmy zwyczajowe zapytania, przy czym spytałem go o nieznanego, z którym wymienił ukłon. Otrzymałem tajemniczą odpowiedź: — "Za chwilę go poznacie".

Niedziałkowski szepetem, który zresztą w pustej sali słychać było w każdym kącie zapoznał mnie z sytuacją. Musiałem bacznie nasłuchiwać, gdyż mówił niewyraźnie i trochę sepleniał. Poinformował mnie, że Rataj wymienił mnie jako wtajemniczonego, który na odcinku stronnictwa ludowego będzie spełniał funkcje identyczne z tymi, jakie na odcinku PPS sprawuje Dubois. Wobec tego, że Rataj jest aresztowany, powinienem zastępczo objąć jego funkcje i poprowadzić robotę w myśl ustalonych wytycznych. Był on zresztą zdania, że Rataj został wzięty bez związku z robotą i z pewnością zostanie wkrótce zwolniony. Pod rygorem najściślejszej tajemnicy powiadomił mnie, że powstało już naczelne polityczne ciało konspiracyjne, w skład którego wszedł on — Niedziałkowski, jako przedstawiciel PPS i przewodniczący, Rataj ze Stronnictwa Ludowego i dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, Leon Nowodworski, jako osoba dokooptowana ze Stronnictwa Narodowego. Wymienił mi ponadto, jako kierownika roboty wojskowej, generała Tokarzewskiego i wskazując na siedzącego w rogu samotnego mężczyznę, dodał: — "To jest właśnie jego człowiek, który zapozna Was z systemem roboty wojskowej i skontaktuje z kim trzeba". Za chwilę zostawił mnie z nieznanym. Przyjrzałem się z bliższą uwagą nowemu towarzyszwowi. Twarz rumiana, blyszczące wygolone policzki, włosy czarne, zresztą żadnych "znaków szczególnych". Gdy wypowiedział pierwsze zdanie, widzę, że Małopolanin. Był to Kortum, — z Komendy Głównej Służby Zwycięstwa Polski, później Związku

Walki Zbrojnej (ZWZ). Siedzieliśmy w kawiarni i piliśmy podłą lurę. Wysłuchałem dłuższego wywodu, w którym Kortum określił postulaty wojska w podziemiu pod adresem partii politycznych. Wszystko oparte na założeniu, że przeszłość przekreślona i nigdy się nie powtórzy. Jedność w koncepcji, jedność w działaniu. Wyszedłem z rozmowy pod wrażeniem, że trzeba temu wyjść naprzeciw i podzieliłem się tym z kolegami ze stronnictwa. Nie jestem już teraz sam w Warszawie, bo odnalazł się Józef Grudziński, członek NKW Stronnictwa Ludowego i przed przyjazdem Kazimierza Bagińskiego z emigracji, z Czech, sekretarz naczelny stronnictwa, — oraz Stanisław Miłkowski, wiceprezes "Wici". Nie widziałem innej rady, jak wtajemniczenie ich we wszystko, zanim Rataj zostanie zwolniony i będzie mógł to sam zrobić. Rozmawialiśmy ze sobą cały dzień i zgodnie postanowiliśmy podjąć robotę w myśl wytycznych Rataja i informacji Niedziałkowskiego. Ułożyliśmy natychmiast plan wyjazdu Grudzińskiego do ludowych ośrodków prowincjonalnych dla nawiązania kontaktów, przekazania niezbędnych informacji i zorganizowania ośrodków konspiracyjnych. Grudziński drobny, okrągły, rumiany, i raczej nieśmiały, którego spotkałem przypadkiem na ulicy, był bardzo zadowolony, że się coś robi. Miał zamiar wyjechać na wieś, w lubelskie i tam się zagrzebać, gdy nagle nastąpił całkowity zwrot w jego planach. Żalował tylko, że nie zdążył się spotkać z Ratajem przed jego aresztowaniem.

Spotkanie z Roweckim

Wkrótce, przez dobre mi znaną łączniczkę, ze Stronnictwa Ludowego, otrzymałem zaproszenie na rozmowę z szefem sztabu organizacji wojskowej. Gdzieś przy Koszykowej, czy Piękiej, spotkałem się z nią wieczorem. Było ciemno i ledwo rozpoznałem niską postać, stojącą w bramie. Schwyciła mnie za rękę i przez ciemne schoły poprowadziła w górę. Zapukała do drzwi i szeptem wymieniła hasło. Za chwilę byłem już w słabo oświetlonym pokoju, gdzie na powitanie wstał z wyciągniętą ręką wysoki, barczysty mężczyzna w średnim wieku, o przystojnej twarzy i ciemnych włosach świeżo odrastających, widać, że niedawno ściętych przy skórze. Milczeliśmy przez chwilę i przyglądaliśmy się sobie uważnie. Podobał mi się. Twarz energiczna, uśmiech miły, oczy, chociaż zimne, ale skierowane wprost na rozmówcę, głos mocny o przyjemnym brzmieniu. Znałem jego prawdziwe nazwisko, nic mi zresztą specjalnego nie powiedziało, tak, jak i temu moje. Rozmawialiśmy parę godzin, przy czym raczej mówił mój towarzysz, a ja słuchałem. Temat — rozwinięcie poglądów i dezyderatów, o których mówił Kortum, tylko w bardziej określonej formie. Podziemne organizacje partyjne powinny stanowić zaplecze społeczne dla monopolicznej organizacji wojskowej, podległej rządowi. Skupiona w nich młodzież winna stopniowo wchodzić do szeregów podziemnego wojska. Ostateczne zorganizowanie zapoczątkowanego przez Niedziałkowskiego i Rataja ciała politycznego jest koniecznością. Wypowiedział pogląd, że powinno ono zacząć działać jak najszybciej. Należy też natychmiast skontaktować podziemną organizację partyjną na prowincji z działającymi tam ośrodkami wojskowymi...

W ten sposób, w ciemnym i zimnym pokoju, gdzie na Piękiej czy Koszykowej, doszła do skutku znajomość, która zostawiła dużo śladów i wspomnień w moim życiu. Nie przeczuwałem wówczas, że siedzę przed jedną z najbardziej bohaterkich postaci przyszłej konspiracji i że jest on jednym z dwóch ludzi, w imieniu których będę za półtora roku kierował Ruchem Oporu (walką cywilną), całego cywilnego

społeczeństwa polskiego. Rozmowa toczyła się swobodnie, w atmosferze dużej szczerości. Siedzieliśmy blisko siebie, twarzą w twarz i pod koniec mówiliśmy już o wszystkim, nawet o sprawach rodzinnych i osobistych. Gdy się zęgnąłem, byłem pod dobrym wrażeniem, które mnie nigdy w przyszłości nie opuściło. A późniejsze rozmowy nie wyglądały już tak idyllicznie. Nieraz się ścierały odmienne opinie i sprzeczne zdania. Nieraz podniesione głosy dochodziły do górnych rejestrow. A i pięści bijące w stół też sobie przypominam. Nie mniej pierwsze dobre wrażenie ze spotkania z pułkownikiem Roweckim — bo on to był właśnie — pozostało do końca.

Kontakt z generałem Tokarzewskim

I tak, krocząc coraz wyżej, od szczebla do szczebla drabiny wojskowej, spotkałem się któregoś wieczoru z generałem Tokarzewskim, ówczesnym Komendantem ZWZ. Otrzymałem adres mieszkania i dokładny opis drogi. Wbiłem sobie wszystko w pamięć, bo notować nie wolno. Szedłem wieczorem po ulicy Rakowieckiej i powtarzałem w myśli raz po raz coś w rodzaju: — „Wejście przez stróżówkę, gdyby dozorca zapytał do kogo, powiedzieć, że do doktora, potem w podwórzu na prawo, trzecie wejście, pierwsze piętro po lewej stronie, zapukać dwa razy mocno, potem przerwa i raz jeszcze mocno. Otworzy starsza pani. Hasło — przyjechałem z Pragi. Odpowiedź — czekamy w kolacji”. — Już się rozdził system, którego naruszenie w przyszłości mogło nie tylko uniemożliwić spotkanie, ale doprowadzić do likwidacji lokalu, alarmów itd. „Pukał ktoś nieznamy, mówił, że to na pewno tutaj miał się z kimś spotkać, ale nie wymienił hasła. Wyglądał podejrzanie, był natarczywy, trzeba natychmiast się stąd wynosić”. Konspirator wysłany w drogę mógł w ten sposób utracić upragniony nocleg, mieszkanie i kontakt i dobrze było, jeśli tylko wrócił z niczym. Toteż mrużę pod nosem... „na prawo, trzecie wejście...” Myślę też po drodze o Tokarzewskim. Nie wiele o nim wiedziałem, ale pamiętałem przedwojenny Kongres Stronnictwa Ludowego w Krakowie. Rataj stoi na trybunie, ujmuje w rękę wiązaną czerwoną różą i patetycznym gestem wskazuje je przepelnionej sali: — „Te róże przysłał Kongresowi pewien generał”. Wybucha burza oklasków i gdzieś z kąta sali rozlega się okrzyk: „Niech żyje generał Tokarzewski”. Pokiwałem głową — tak niewiele czasu upłynęło, a tyle zmian! Ale byłem już przy ulicy Fałata i wkrótce sprawdziłem, że pamięć mi dopisała. Stróżówka, podwórce, drzwi, schody, pierwsze piętro, znów drzwi. Stałem, wciągnąłem oddech i zacząłem wybijać sygnały, jak na bębnie. Drzwi się zaraz otworzyły i nim odemknąłem usta, starsza pani milczącym gestem wskazała mi pokój w głębi mieszkania.

Rozmawialiśmy przez dłuższy czas. Generał Tokarzewski wykazywał dużą znajomość zagadnień i stosunków politycznych. Absorbowała go przede wszystkim sprawa stworzenia dla organizacji wojskowej szerokiego zaplecza społecznego i uruchomienia naczelnego konspiracyjnego ciała politycznego, według znanych mu projektów Niedziałkowskiego i Rataja. To ostatnie zaczyna się jednak opóźniać z powodu trudności, powstałych w łonie Stronnictwa Narodowego.

Gdy skończyliśmy rozmowę, miałem już pierwszą serię spotkań z górą ZWZ poza sobą i dość jasny pogląd na strukturę wojska polskiego w podziemiu i jego potrzeby.

Organizacja partyjna

Zaczeliśmy już planować zasady współpracy naszej podziemnej organizacji partyjnej z wojskiem i nawiązaliśmy pierwsze kontakty. Wkrótce też wyłoniły się pierwsze trudności, wynikiem ze skrzyżowania dążeń wojska, zmierzających do wchłonięcia wszystkiego, z naszymi chęciami utrzymania samodzielności organizacyjnej. Jest nas już więcej, gdyż po naradzie z Grudzińskim i Miłkowskim, postanawiamy rozszerzyć koło wtajemniczonych ludowców. Organizujemy pierwsze większe zebranie w... małej kawiarence, przy Kruczej. Wszyscy niezmiernie przejęci skąpymi informacjami, których udzielam, z wyraźną radością zgłaszają akces do roboty. Żałujemy, że nie ma Bagińskiego, który ma bogate doświadczenie konspiracyjne i bardzo by się teraz przydał. Nie ma o nim żadnej wiadomości, tyle tylko wiadomo, że w krytycznych dniach września opuścił Warszawę, udając się tak, jak tysiące innych w kierunku wschodnim. Ustanawiamy lokal kontaktowy dla ludowców z prowincji w dawnej siedzibie stronnictwa, przy ulicy Książęcej 4, gdzie zostaje założona księgarnia. Ktokolwiek z naszych ludzi przyjeżdża do Warszawy, ten zawsze zagląda do dawnego lokalu, by zasięgnąć języka. Pelen zapału Grudziński podejmuje się objechać większe nasze ośrodki i wyjeżdża najpierw do Krakowa, a później do Lublina. Miłkowski bierze na siebie Kielecczynę, a ja nawiązuję kontakt z byłym posłem, Władysławem Prągą, przedwojennym sekretarzem zarządu wojewódzkiego w Białymstoku, którego byłem prezesem. Wkrótce udał się on na ten teren, by podjąć robotę i niebawem zapłacił za to życiem.

Aresztowanie Niedziałkowskiego

W międzyczasie miałem kilka spotkań z Niedziałkowskim, któremu przedstawiłem wyniki i wrażenia z rozmów z wojskowymi, o poza tym poinformowałem go o postępie prac wewnątrz stronnictwa. Na moje pytanie, kiedy odbierzemy wspólne zebranie z przedstawicielem Stronnictwa Narodowego, Niedziałkowski ogólnikowo wyjaśnił, że z powodu powstałych trudności w łonie tego stronnictwa, nie zwołuje na razie posiedzenia przedstawicieli trzech stron, ale ma nadzieję, że wkrótce uda się to zrobić. Niemniej żadne takie spotkanie z udziałem Niedziałkowskiego, przedstawiciela Stronnictwa Narodowego i moim w ogóle do skutku nie doszło. Powiadomił mnie też pewnego razu, że w wypadku gdyby został aresztowany, będzie go zastępował Dubois. Nie odniosłem jednak wrażenia, by się poważnie liczył z taką możliwością, gdyż nadal pozostał w swoim przedwojennym mieszkaniu.

A jednak w święta Bożego Narodzenia spadła niemiła wiadomość. Niedziałkowski aresztowany! Przyniósł ją wstrząśnięty Dubois. Niedziałkowski, wzięty na przesłuchanie do Gestapo, na Szuca, przed południem, w przeddzień Wilii, otrzymawszy po przesłuchaniu polecenie przyścia nazajutrz, to jest w samą Wilię Bożego Narodzenia, wytłumaczył gestapowcom, że Wilia jest w Polsce dniem uroczystym, wobec czego prosi, by dokończyć przesłuchania tegoż dnia popołudniu. Gestapowcy byli bardzo uprzejmi i wyrozumiali. Zgodzili się szybko i oto Niedziałkowski, po krótkiej przerwie w południe, powrócił do Gestapo... by stamtąd nigdy już nie wrócić.

Byliśmy wszyscy zrozpaczeni. Więc już i Rataj i Niedziałkowski w więzieniu! Co to ma znaczyć? Czy wbrew naszym przypuszczeniom góra podziemna już jest rozszyfrowana? Zaczęliśmy badać sprawę na wszystkie strony, ale nie natrafiliśmy na żadne konkretne wskazówki.

Wyglądało na to, że Niedziałkowskiego, tak jak i Rataja, aresztowano po prostu dlatego, że byli głośnymi politykami, a w dodatku Niedziałkowski socjalistą.

I tak zaczął płynąć miesiąc za miesiącem, bez żadnej pewnej wiadomości, co było powodem aresztowania. Dowiedzieliśmy się tylko, że siedzi na Pawiaku i trzyma się wspaniale psychicznie i fizycznie. Wiadomości przynosili bądź zwolnieni (to się jeszcze zdarzało), bądź przesiadali od polskich dozorców. Jednak w drugiej połowie 1940 roku, zaczęły się rozchodzić uporczywe wieści, że Niedziałkowski został z większą grupą osób rozstrzelany w Palmirach. Wkrótce już znaleźliśmy datę egzekucji — 21 czerwca 40 roku.

Ujrzałem jeszcze Niedziałkowskiego, ale w sześć lat później, już w trumnie. Wydobyto ze zbiorowej mogiły w Palmirach dobrze zachowane zwłoki, przy nich fotografię żony, papierośnice, nawet wzytówki. Potem fałsz i obłuda uroczystego pogrzebu "na koszt państwa". Towarzysze pracy i walki, stojący gdzieś z boku, patrzą rozszerzonymi oczyma na tragiczne widowisko. Przy trumnie sylwetka żony w głębokiej żałobie, a obok ci, których Niedziałkowski najwięcej za życia nienawidził! Agencji policji tajnej, jawnej, mundurowej i cywilnej, polskiej Bezpieki i rosyjskiej NKWD, wojsko z Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego, — jedni z bronią w ręku, drudzy ukrytą, a wśród nich Bierut, "dygnitarze państwowi", zabezpieczeni w ten sposób przed rzekomo wielbiącym ich tłumem robotników i chłopów, którzy masowo przybyli na pogrzeb. Stoją nad grobem Niedziałkowskiego przyjaciele i współpracownicy Niemców, w chwili, gdy ci mordowali Niedziałkowskiego, z przybraną na twarze obłudną maską żałoby, a wśród nich świeci lysą czaszką cyniczna twarz "wieprza z Chicago", Cyrankiewicza. Niedziałkowski otrzymuje po śmierci z rąk Bieruta najwyższe odznaczenie — "Krzyż Grunwaldu". Order, wrzucony w dół, na trumnę, trzasnął jak policzek.

Pierwsze posiedzenie Politycznego Komitetu Porozumiewawczego

W dniu 7 lutego 1940 roku, przemykałem się ulicami trochę podniecony na pierwsze posiedzenie przedstawicieli trzech stronnictw: PPS, Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Ludowego z Komendantem Związku Walki Zbrojnej, gdyż taką nazwę otrzymała teraz organizacja wojska w podziemiu. Rozglądałem się dyskretnie dookoła, by sprawdzić, czy nie jestem obserwowany. Z biegiem miesięcy i lat ten zwyczaj wejścia mi w krew i stanie się po prostu czynnością mechaniczną, spełnianą przez oczy, jakieś komórki w mózgu i instynkt, najważniejszy ze wszystkich. Nieustannie ćwiczenie wyrobił zmysły do tego stopnia, że automatycznie rejestrują wszystko, co się dookoła dzieje i w odpowiednim momencie podsuwają potrzebny obraz. Na przykład, natychmiast poznaje nieznajomą osobę, spotkaną na ulicy drugi raz tego samego dnia. Jeśli ktoś dłuższy czas idzie za mną, wyczuwam to w pewnej chwili. Działa tu jakiś "radar" ukryty w ciele ludzkim. Reaguję w takim wypadku zatrzymaniem się przy oknie wystawowym, skręceniem w boczną ulicę, przejściem na drugą stronę, lub skokiem w tramwaj, no i dalszą obserwacją. Każdy stara się poznać wszystkie przejściowe kamienie, to jest z wyjściem na dwie ulice. Jeśli idący po piętach agent o tym nie wie, to zatrzyma się przed domem do którego wszedł obserwowany i będzie czekał na jego wyjście aż do sądnego dnia. Zatrzymany kiedyś przez żandarmów wraz z Kaczanowskim z Socjalistycznej Organizacji Bojowej, na Marszałkowskiej, nie daleko Hersego i ulokowany w sieni, przez podwórze

i drugą bramę ulotniłem się bez wysiłku na ulicę Szkolną.

Idąc tak z wszelkimi ostrożnościami na pierwsze posiedzenie, znalazłem się wreszcie w Alei Niepodległości, przed drzwiami wskazanego mieszkania. Otworzyła mi młoda pani w fartuchu lekarskim, uśmiechająca się porozumiewawczo. Wymieniliśmy hasła i za chwilę siedziałem już w poczekalni lekarskiej, w towarzystwie generała Tokarzewskiego, pułkownika Roweckiego i pana, którego mi przedstawiono, jako "dyrektora", a którym był Kruk-Strzelecki, późniejszy Szczepan, ówczesny szef wydziału polityczno-propagandowego ZWZ. Czekając na pozostałych, zabawialiśmy się rozmową, przy czym Tokarzewski powiadomił mnie, że ma wiadomość, iż PPS delegowało Pużaka, zaś Stronnictwo Narodowe — byłego posła i więźnia brzeskiego, Aleksandra Dębskiego. Wkrótce nadszedł wysoki, trochę pochylony, siwawy Pużak. Rzucają się w oczy okulary o dużych, grubych szklach. Mówi z lekkim akcentem kresowym. Ostatni przychodzi Aleksander Dębski, szczupły, wysoki, też pochylony, też w grubych szklach, nerwowy i żywy. Nastroj wśród zebranych poważny, pełen skupienia. Przyglądamy się sobie wzajemnie. Wojskowi politykom, — politycy wojskowym. Zetknięcie rzeczywiście dość niezwykle. Trzej przedstawiciele partii opozycyjnych i trzej byli legionści, reprezentanci wojska, tej alfy i omegi przedwojennej Polski. Wydaje mi się, że wszyscy w tej chwili zadają sobie pytanie: "Czy znajdziemy wspólny język? Co z tego wyniknie?"

Zagał zebranie gospodarz lokalu, generał Tokarzewski, zaproponował porządek dzienny i powołanie na przewodniczącego najstarszego wiekiem Pużaka. Po objęciu przewodnictwa, Pużak, zgodnie z przyjętym porządkiem, udzielił głosu pułkownikowi Roweckiemu i w ten sposób rozpoczęło swoje funkcjonowanie ciało, kierujące całą polską konspiracją przez około dwa lata. Obecni przyjęli pseudonimy, które z czasem uległy licznym zmianom. Pużak zamienił się na Bazylego, Dębski stał się Stachurskim, ja będę się odtąd zwał Nowak. Tokarzewski — to "doktor", także Michał. Rowecki — "inżynier", później Rakoń, Tur, Jan, Grot. PPS — to "koło", Stronnictwo Narodowe — "kwadrat", Stronnictwo Ludowe — "trójkąt", ZWZ — "Z".

Pierwsze posiedzenie obracało się dookoła celów, jakie sobie stawiamy i organizacji kraju pod okupacją. Sformułowanie zadań wywołało krótkie, gorące, jednomyślne wypowiedzi: walka na śmierć i życie z Niemcami, prowadzona od zaraz. Nikt nie wysunął na przykład koncepcji biernego oczekiwania na wynik wojny, dostosowania się do warunków, przybrania barwy ochronnej, lub szukania porozumienia z Niemcami. Dziś, gdy piszę te słowa, bynajmniej się tym nie zachwyca, gdyż zagadnienia te zasługiwały w każdym razie na to, by je postawić i przedyskutować. Jeśli dyskusji nie było, to tylko dlatego, że wszyscy te sprawy już przetrwali i w sobie i we własnych zespołach organizacyjnych, a nieprzejednane nastroje społeczeństwa były też wszystkim dobrze znane. Uważaliśmy, że należy kontynuować walkę w podziemiu, chcieliśmy walkę w kraju uczynić elementem dalszej rozgrywki z Hitlerem, który alianci zmuszeni będą uznać i ocenić, pragnęliśmy dopomóc do zwycięstwa i mieć możliwie poważną pozycję w aktywach ostatecznego bilansu. Nikt w kraju, prócz Studnickiego (bo trudno liczyć paru zbalamuconych górali), nie reprezentował odmiennej opinii, zaś polityka rządu na emigracji szła po tej samej linii. Obecnie, gdy nie z naszej zresztą winy, znaleźliśmy się "pod bilansem", mogą budzić się zrozumiałe refleksje na temat, czy tak łatwo przyjęta koncepcja walki była słuszna, czy warto było przelać tyle krwi z tak nikłym rezultatem. Jeśli dziś mogą się rodzić wątpliwości, to wtedy jed-

nak, w warunkach, w jakich pobieraliśmy decyzję, inna nie była do pomyślenia. Zresztą cała sprawa jeszcze nie jest zakończona. Trudno wyciągać ostateczne wnioski z historii bez ostatniego rozdziału.

W tej postawie kraj wytrwał do końca i nie wydał Quislinga. Czy były w czasie okupacji próby ze strony Niemców porozumienia się w kraju z Polakami? W tej formie, że Niemcy jednostronnie i bezosobowo chcieli oddziaływać na Polaków, by dawali robotnika do Niemiec, by dostarczali żywność, zachowali spokój i zaniechali konspiracji — tak. Wiele oświadczeń Niemców w tej mierze było puszcanych w obieg z Krakowa, z zarządu GG, lecz natrafiały one na mur wrogości i nienawiści. Jeśli chodzi o utworzenie rządu, Niemcy zastanawiali się nad tą koncepcją i przeprowadzali próbne sondowania, których odgłosy dochodziły do władz podziemnych. Wynik tych akcji, być może przeprowadzanych na własną rękę przez niektórych dygnitarzy z GG, musiał być jednak negatywny. Niewątpliwie wykazały one, że postawa Polaków jest najbardziej wroga ze wszystkich narodów okupowanych. Społeczeństwo polskie, wpatrzone w rząd na emigracji i posłuszne podziemnym władzom krajowym, o czym Niemcy dobrze wiedzieli, odrzuciłoby każdą taką koncepcję. Być może obok tego podzielał trzeźwiaco nieudany eksperyment z Radą Regencyjną w 1916 roku, obliczony na utworzenie po stronie Niemiec armii polskiej. Nie jest wykluczone, że przeważał pogląd, że każdy rząd, choćby powołany przez Niemców i całkowicie uległy, mimo to będzie symbolem państwa polskiego i przeszkodą przy planowanej polityce eksterminacji i "ludobójstwa". Wreszcie, niedaleka przyszłość wykazała, że tylko ten kraj otrzymywał z ramienia Niemców rząd, który już przed wojną posiadał potencjalnego Quislinga, obojętnie czy się nazywał Laval, Paweł, Degrelle, czy inaczej. Naturalny polski kandydat, niedowarzony Piasecki, z pochwałą trzeba to stwierdzić, wyrzekł się z miejsca brunatnych kuzynów z zachodu i znalazł się w szeregach konspiracji. Tę powściągliwość odbija sobie obecnie z nawiązką, blisko wspólnym kuzynami ze wschodu. Inicjatywy tworzenia rządu z polskiej strony — nie było ("Polska Quislinga nie wydała"). A najbardziej wystawiony na pokusy ośrodek krakowski (Rada Opiekuńcza) trzymał się i... był trzymany przez władze podziemne w granicach akcji charytatywnej.

Na czoło naszej dyskusji na pierwszym posiedzeniu wysunęły się zagadnienia polityczno-organizacyjne. Przedyskutowaliśmy projekt powołania Rady Obrony Narodowej, przy czym myślę — "Co za czasy!" — gdy "doktor" — Tokarzewski stwierdza, że tylko stronnictwa opozycyjne mają szanse skupienia wokół siebie zaufania zawiedzionego społeczeństwa. Jednakże zorganizowanie Rady uznało Stronnictwo Narodowe za przedwczesne, toteż zdecydowaliśmy się, nie rezygnując z tej koncepcji, szukać na razie innych tymczasowych form dla reprezentacji społeczeństwa polskiego.

Dyskutowaliśmy także sprawę ustanowienia w kraju Delegata Rządu, przy czym starły się dwie koncepcje: jedna, by rząd mianował swym Delegatem osobę, znajdującą się już w kraju, ewentualnie zaproponowaną przez stronnictwa, — druga, by rząd przysłał do kraju jednego z członków gabinetu.

W czasie obrad obserwuję uczestników. Bazyli poważny i skupiony, gdy argumentuje wpada w zapał, mówi z dużą siłą, często z sarkazmem. Ma wielkie doświadczenie polityczne i konspiracyjne z czasów walki z caratem i ma za sobą osiem lat twierdzy w Schlisselburgu! Widać ze sposobu, w jaki się wszyscy do niego odnoszą, że jest on centralną osobą w naszym gronie. Dębski, mówiący bardzo żywo, inteligentnie, nie chce się zbyt angażować, jest najbardziej powściągliwy i ostrożny

w koncepcjach. Tokarzewski o ujmującym zachowaniu, robi wrażenie więcej polityka, niż wojskowego. Przyczynia się do tego swoboda, z jaką obraca się wśród zagadnień politycznych i inicjatywa, jaką przejawia w tej dziedzinie, którą zresztą staramy się powściągnąć. Co do Roweckiego, to widać, że na terenie politycznym czuje się niepewnie. Zawsze w przyszłości będzie robił na mnie wrażenie człowieka, któremu "robienie polityki" nie leży w naturze. Co uderza mnie we wszystkich przemówieniach — to dążenie do zgody i pojednania oraz tendencja do stworzenia na czas wojny jedności narodowej. Doszedł tu widąc do głosu zdrowy instynkt narodu w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Po zebraniu wyszliśmy kolejno, jeden w kilka minut po drugim. W ten sam sposób będziemy się zbierać na przyszłość, to jest jeden będzie przychodził w pięć minut po drugim, ściśle według rozkładu. Przybyć bowiem naraz sześciu osób mogłoby zwrócić uwagę, mimo, że się scho- dzimy u lekarci.

Pobyt na Pawiaku

Koło 20 lutego 1940 roku, nad ranem, budzi mnie już raz słyszane walenie we drzwi i głosy niemieckie. Mieszkamy jeszcze w Alei Róż 10, oficjalnie, tak jak prawie wszyscy. Ledwo ubrany otwieram drzwi. Wchodzi kilku gestapowców i żandarmów i znów słyszę własne nazwisko. Po kilkunastu minutach byłem już na ulicy, prowadzony przez Niemców. Wszędzie ciężarówka, pełno kręcących się gestapowców i żandarmów. Ze wszystkich domów wyprowadzają mężczyzn. Widzę, że to samo dzieje się na Koszykowej i Mokotowskiej. Odetchnąłem z ulgą. A więc znów jakaś zbiorowa akcja, a nie indywidualne aresztowanie. Przy wejściu do ciężarówka gruby żandarm pomaga mi kolbą. Siedzi tam już kilkanaście wystraszonych osób, na ławkach ustawionych wpoprzek. Wsadzają do nas po chwili hr. Ronikiera, prezesa RGO (Rady Główniej Opiekuńczej), którego legitymację i wyjaśnienia żandarmi całkowicie ignorują. Z kierunku, w jakim jedziemy, orientuje się, że na Pawiak. Tam nas ustawiają na podwórzu i wydzielają aresztowanych dozorców domowych w oddzielną grupę.

Rozglądam się z ciekawością właściwą skazańcom. Oko chwyta wszelkie szczegóły. Stoimy w szeregach na brudnym, zdeptanym śniegu, przeszło stu. Naokoło mury i zakratowane okna. Zimno piekielne, czuje je wszędzie, w całym ciele i w głowie. Przed nami kilku oficerów gestapo i jakiś cywil, którego ktoś rozpoznaje jako Niemca z pochodzenia, docenta wyższej uczelni w Warszawie. Cywil ten staje przed nami i ogłasza po polsku, że zostaniemy tutaj pewien czas jako zakładnicy i gdyby w tym czasie wydarzyły się nieporządki na mieście, zostaniemy rozstrzelani. Już po raz drugi słyszę takie przemówienie. Na zakończenie, zwracając się do dozorców, powiedział: — "A wy teraz wracajcie do domów i powtórzcie to wszystko, coście tu słyszeli. Niech wszyscy wiedzą, że od ich spokojnego zachowania zależy los tych zakładników".

Dozorca z mego domu, mały, nieśmiały Stanisław, podbiegł do mnie, wepchnął mi w rękę zawiniątko z chlebem i szepnął: — "Niech się pan nie martwi, wszystko będzie dobrze". — "Niech pan, panie Stanisławie zaraz idzie do żony i powie, że to tylko zakładnictwo". — "Zaraz pójde do pani i wszystko powtórzę". Dozorcy odchodzą powoli, z ociąganiem, oglądając się za nami. Stanisław był jednym z tych kilku dozorców warszawskich, których do końca życia będę z wdzięcznością wspominał. Narażali oni nieraz swoje życie, by mnie kryć, orientując się tylko powierzchownie co do tego, że działam w podziemiu. Kiedy np. przeszedłem na stopę nielegalną, nie wymeldowa-

łem się w porozumieniu z dozorcami z oficjalnych dwóch mieszkań. Liczyłem na to, że w razie poszukiwania mnie przez Gestapo, przyjdzie ono najpierw do mieszkania, gdzie byłem meldowany. Przewidywania te były trafne i do mego mieszkania przy Alei Przyjaciół Nr 1 kilkakrotnie w nocy zjeżdżali gestapowcy. Za każdym razem dozorca oświadczał, że mieszkam teraz na wsi, do mieszkania zaglądam tylko od czasu do czasu i nie zna mego adresu. Gestapowcy przystawiali mu rewolwer do głowy, grozili aresztowaniem i śmiercią, żądając podania adresu, lecz nieustraszony Jan, który zresztą został zamordowany w czasie powstania warszawskiego, robił głupekowatego i odpowiadał "nie mówił mi". Tymczasem, nim jeszcze Gestapo odeszło, jego dziewięcioletni syn pędził do gmachu Prudentialu, na punkt alarmowy i za pół godziny wiedziałem już, że Gestapo podjęło na nowo poszukiwania. Muszę tu dodać, że bardzo na dobre wychodziła nam systematyczność Niemców, którzy rozpoczynając co parę miesięcy poszukiwania na nowo, zawsze rozpoczynali od oficjalnego, starego adresu.

Zostaliśmy umieszczeni w dwóch oddzielnych salach, których umeblowanie stanowiły metalowe łóżka i sienniki. Na środku stał stół, obok żelazny piecyk. Wszystko to brudne, odrażające i zimne. Ze ścian wilgoć ściekała strumykami. Z sali wyjście wprost do klozetu. Ulokowałem się w środku między tą instytucją a oknem, skąd dochodziło świeże powietrze i stwierdziłem z zadowoleniem, że znalazłem się w miejscu, gdzie obydwa powiewy się neutralizują. Położyłem się na łóżku i zacząłem rozglądać po sali. Urzędnicy, kupcy, sklepikarze, adwokaci, lekarze, wszyscy z jednej okolicy. Tworzą się już grupki i nawiązują rozmowy. Jakis chudy, wymizerowany mężczyzna opowiada: — "Ja wcale nie mieszkam w Warszawie, tylko na wsi. Przyjechałem rano do lekarza na ulicę Szopena i zabrali mnie wprost z poczekałni. Nie chcieli wcale słuchać, że ja nie tutejszy". Identyfikacyjny wypadek miał hr. Ronikier, który po przyjeździe z Krakowa, zanocował na Szopena. Zwolnili go po paru godzinach, ale brat jego, milczący starszy pan, pozostał z nami do końca.

Moja sytuacja raz mnie złości, raz bawi. Siedzę tu jako zakładnik, a tam koledzy pracują. Licho wie, jak to długo może potrwać! Z drugiej strony śmieję się w duchu, gdy pomyślę, że Niemcy obdarliby mnie ze skóry, gdyby wiedzieli, jak sprawy stoją. W rezultacie jednak nudno, zimno i beznadziejnie.

Po kilku dniach dostaliśmy paczki z domu, które nam przynieśli polscy dozorca, bo w roku 1940 jeszcze oni na szczęście pełnili służbę na Pawiaku. Zajadam bułkę i nagle się krztuszę. Czuję coś obcego w gardle. Okazuje się, że gryps, w którym żona mnie zawiadama, że zostaliśmy wzięci na zakładników z racji przyjazdu do Warszawy gubernatora Franka, którego umieszczono w dawnym poselstwie czechosłowackim, w pałacyku przy Szopena. Zakładników zatem wzięto z sąsiedztwa. Pocięsza mnie, że za kilka tygodni, gdy Frank odjedzie, będziemy zwolnieni.

Siedzieliśmy tak w podłym nastroju, gdy któregoś dnia dozorca wywołał mnie i mojego sąsiada z Alei Róż po paczki dla całej sali. Idziemy pod jego strażą, przy czym głowie się nad przyczyną wyróżnienia, jakie mnie spotkało. Przechodzimy przez bramy wewnętrzne i korytarze, wszędzie szcękają klucze i trzaskają żelazne drzwi. Wreszcie, idziemy przez małe podwórko, gdzie w kółko, jeden za drugim, spacerują więźniowie. Poznają wśród nich znanego szopenistę, profesora Konserwatorium Lewieckiego i hr. Branickiego z Wilanowa. Idziemy do wartowni przy bramie na ulicę, która jest w tej chwili uchylona. Przez szparę zobaczyłem twarz żony, toteż puszczam kosz i podbiegam

do bramy. Strażnik przy bramie odepchnął mnie gwałtownie. Proszę go — "pozwól pan, tam jest moja żona". Zaczął mi wymyślać, zaś ja, tracąc panowanie nad sobą, odplacam mu się z nawiązką.

W tej chwili podszedł do nas mężczyzna w cywilnym, eleganckim palcie, z podniesionym kołnierzem i rozkazującym tonem, po niemiecku, polecił strażnikowi: otworzyć! Strażnik otworzył z pośpiechem furtkę w bramie i stanął na baczność. Niemiec wyszedł i w tym momencie zobaczyłem żonę w tłumie innych kobiet. Zauważyła mnie i zdążyła kiwnąć ręką, nim się furtka zatrzasnęła.

Ładujemy już kilka minut paczki na wartowni do koszyka, gdy nagle rozległy się wrzaski, gwizdy i zobaczyliśmy dwóch gestapowców i paru dozorców, pędzących do bramy. Słychać głosy: — "Uciek! uciek!" Robi się wielka awantura. Do wartowni dochodzą niemieckie pytania i przekleństwa. Widzimy przez okno, że strażnik przy bramie rozkłada ręce i coś tłumaczy. Nasz dozorca, Polak, mrugnął na nas okiem: "Szybko, panowie, znośmy się stąd".

Za kilka godzin wiemy już wszystko od dozorca, którego zresztą, jak się okazało, moja żona przekonała litrem czystej, że ja najlepiej nadaję się do noszenia paczek z wartowni. Otóż dwóch gestapowców przywoziło autem mężczyznę, aresztowanego za posiadanie broni. Wjechali do środka Pawiaka i poszli razem do kancelarii. Tam, polecili urzędnicze więźniowej, by spisała z więźniem personalia, a sami poszli do celu, przesłuchiwać innego. Urzędniczka, czymś tam zajęta, kazała aresztantowi poczekać w pokoju obok. Po pewnym czasie, więzień wyszedł na korytarz, z najzimniejszą krwią rozkazał po niemiecku strażnikowi na korytarzu otworzyć zakratowane drzwi, co ten bez chwili wahania uczynił, widząc go bowiem poprzednio wchodzącego z dwoma gestapowcami, wziął go także za gestapowca, tylko w cywilnym ubraniu. Ta sama procedura powtórzyła się na moich oczach, przy bramie i pomysłowo, odważny konspirator — uciekł. Jak mi później żona opowiedziała, po wyjściu z bramy puścił się pędem przed siebie, ku ogólnemu zdumieniu wyczekujących całymi dniami przed bramą kobiet. Gdy do dozorca nam opowiedział, ucieszyłem się, że moja awantura ze strażnikiem osłabiła jego czujność, ale mój sąsiad zmroził mnie uwagą: — "Żeby nas tylko do tego nie przyczepili". Toteż pytamy dozorcę: — "A co się stało ze strażnikami na korytarzu i przy bramie?" — "Wzięli ich na badania, ale nawet palcem nie tknęli, gdy ci powiedzieli — a po czym mamy poznawać, kto więzień, a kto Gestapo, jeśli nam nikt nic nie mówi, a Gestapo raz przyjeżdża w mundurach, a raz po cywilnemu?"

Po dwóch tygodniach, brudny i zarośnięty, wróciłem do domu i natychmiast wprowadzamy w życie decyzję, powziętą na Pawiaku. Za kilka dni mieszkamy już z żoną, nie meldowani, na Kolonii Staszica.

Organizacja Politycznego Komitetu Porozumiewawczego

W międzyczasie, w dniu 26 lutego 1940 r., odbyło się dalsze posiedzenie przedstawicieli stronnictw i Komendanta ZWZ, na którym zastąpił mnie "Walenty" - Grudziński. W protokole posiedzenia odnotowano. "Nieobecność Nowaka usprawiedliwiona". Na posiedzeniu tym doszło już do wspólnych decyzji. Cel został sprecyzowany, jako "przywrócenie Krajowi niepodległości, w drodze przygotowania zbrojnej walki z obu okupantami". Środki działania: poparcie prac i zamierzeń Zetu, jako jedynej centralnej, powołanej przez rząd RP, organizacji wojskowej, scalenie organizacji i wysiłków dla zrealizowania zadań i celów Zetu, — dążenie do stworzenia właściwych warunków i ram dla

powołania wspólnej reprezentacji politycznej: Rady Obrony Narodowej.

Przybrano dla obradującego ciała, w którego skład wszedł także Komendant Zetu, nazwę "Polityczny Komitet Porozumiewawczy" i zdecydowano, że członkowie PKP będą przewodniczyli obradom każdy kolejno przez miesiąc, to jest systemem rotacyjnym. Wreszcie obecni złożyli przysięgę, według formuły Zetu, lecz z opuszczeniem słów, z których wynikał stosunek zależności od Zetu, a z pozostawieniem części, dotyczącej obowiązku zachowania tajemnicy. Jedną z pierwszych uchwał było postanowienie o zgłoszeniu do dnia 23 marca 1940 r. i oddania do dyspozycji Zetu zespołów organizacyjnych typu wojskowego. Zdecydowano także wyrzucić wpływ na niereprezentowane w PKP organizacje polityczne i społeczne, by podporządkowały Zetowi swe oddziały typu wojskowego.

W następnym posiedzeniu, wyznaczonym na dzień 4 marca 1940 r. w mieszkaniu przy ulicy Skorupki, wziąłem już udział. Byłem przedmiotem krótkiej, a serdecznej owacji, jako pierwszy w zespole w bieżącej okupacji "więzień z Pawiaka". Bazyli-Pużak, patrzył na mnie z rozczuleniem i żartował: "To dopiero początek, Nowak. Pierwsze koty za płoty". Miał prawo podkwipać z paru niewinnych tygodni, mając za sobą osiem lat twierdzy w Schlesselburgu!

Łączność kraju z rządem już istnieje i otrzymaliśmy już pierwsze propozycje rządowe, dotyczące mianowania w kraju Delegata Rządu. Propozycje te przedstawiciele stronnictw nie zadowolili, nadawały one bowiem projektowanej Radzie Obrony Narodowej charakter ciała opiniodawczego, zaś całą władzę polityczną i administracyjną przekazywały mianowanym przez rząd delegatom, którzy mogli, lecz nie musieli zwracać się do RON o opinię, a w razie gdyby się zwrócili i opinię otrzymali, to nie posiadała ona dla nich mocy wiążącej. PKP uważał, że projekt rządowy usuwa od konkretnego wpływu na pracę rządu reprezentantów krajowej opinii publicznej i zaproproważył jego korektury w tym kierunku, by PKP, ewentualnie uzupełniony i związany tylko w istotnym zakresie z Zetem, stanowił dla rządu, a tym samym i dla delegatów, źródło obowiązujących informacji i opinii. Według propozycji PKP, otrzymywałyby on dyrektywy rządu dla kraju i uzupełniony przez przysłanego do kraju Delegata Rządu, którego terenem działania byłoby obie okupacje, a nie tylko niemiecka, rozstrzygałby o tym, co według instrukcji rządu miało należeć wyłącznie do kompetencji Delegatów.

Oczywiście, PKP nie wyobrażał sobie, by wszystkie sprawy mogły być wspólnie rozstrzygane przez PKP i jego przyszłego członka — Delegata Rządu. Chodziło jedynie o współdecydowanie w zasadniczych sprawach, z pozostawieniem dla Delegata uprawnień politycznych, wynikających z charakteru jego funkcji oraz pełni władzy administracyjnej.

Zdecydowaliśmy się przedstawić nasz punkt widzenia rządowi, a na razie, dopóki trwa z rządem wymiana opinii, postanowiliśmy rozstrzygnąć o wszystkim zbiorowo, w składzie czterech osób, to jest trzech przedstawicieli stronnictw i Komendanta Zetu.

Dość gorące obrady w dniu tym zakończyły się wejściem właścicielki mieszkania, która wniosła wspaniałą czarną kawę. Odprężamy się z wolna i delektujemy specjałem, o który w Warszawie było wówczas trudno. Przypomniało mi to, że mam spotkanie w barze kawowym na Wspólnej, toteż pożegnałem się szybko i za chwilę byłem już na miejscu.

Mój Boże! Bar kawowy, czarna kawa... jakżeż to wszystko jest nieodłącznie związane z konspiracją w Warszawie. Ileż to obrazów na-

suwa się przed oczy. Warszawa nie ma jeszcze co jeść, ale bary kawowe rosną, jak grzyby po deszczu. Przytulne, nieraz pięknie urządzone, stają się miejscem spotkań wszystkich. Słychać zamówienia: — "Duża czarna, mała czarna, mała czarna w dużej"... To ostatnie jest obliczone na to, że mała porcja będzie nalana do dużej filiżanki "protekcynnie". Dowcipnieśie zamawiają: — Duża, "mała czarna". Kawa jest droga, więc każda kropla ma swoją cenę. Bary kawowe stają się powoli instytucją konspiracyjną. Są one często skrzynkami pocztowymi, ale przede wszystkim miejscami spotkań i rozmów. Kelnerki, zarządzające to zwykle żony, siostry lub narzeczone wojskowych — mężowie, bracia lub narzeczeni w niewoli, lub zagranicą. Wszyscy orientowani w tym, co się dookoła dzieje, w większości "swoi ludzie". Panuje szczególny nastrój. Wszyscy mówią szeptem, obserwują się wzajemnie, ale na ogół znają się chociażby z widzenia lub słyszenia. Czasami pod stolikami krąży jakieś papierki — to wymiana korespondencji i komunikatów radiowych. Naokoło sami stali bywalcy. Każda obca osoba zwraca natychmiast uwagę. Ileż to razy nieznaną kelnerka nachylała się nad stolikiem i rozstawiając kawę mówiła szeptem: — "Uwaga na stolik w kącie, na prawo". Rodziły się nieraz zabawne sytuacje. Pułkownik Horak z ZWZ "urzędujący" jakiś czas po kilka godzin dziennie przy stoliku w barku kawowym na Sienkiewicza 3, zyskał sobie u kelnerki opinię wielkiego uwodziciela. Zwały go między sobą "Sinobrodym", tylko dlatego, że każdego dnia odwiedzało go tam kilka łączniczek. "Z każdego z nich" — mówi mi jedna z kelnerek — "szepcze czule, wpatrzony w nią jak w obraz".

Mieliśmy dość dużo konspiracyjnych lokali, ale bardzo je się oszczędzało — służyły do stałych, regularnych kontaktów. Człowiekowi, którego się widywało raz na kilka miesięcy, nie dawano się adresu. Lepiej było się spotkać z nim w kawiarni, w parku, na skwerku, lub po prostu na ulicy. Stosowałem ten system i chętnie na przykład spotykałem się w SIMie, gdzie siadywali także oficerowie niemieccy z pobliskiej Komendy Placu ("Für Deutsche Erlaubt"). Występował tam zamordowany w czasie powstania Mariusz Maszyński, z którym nieraz wracałem ostatnim tramwajem na Kolonię Staszica. Lokal nie był objęty naszym bojkotem, a Niemcy mieli za mało wyobraźni, by przypuścić, że obok przy stoliku siedzą konspiratorzy i omawiają np. teksty depezy, jakie mają być wysłane do Londynu lub wykonanie wyroków śmierci.

Wkrótce jednak Niemcy zaczęli się orientować w tym co się dzieje w barkach kawowych. Rozpoczęły się "naloty", sprawdzanie dokumentów, rewizje, lub po prostu "wygarnianie do budy". Zaczęli także robić zasadzki na ulicy, przed barami i w ten sposób, w dwa lata później zginął stały bywalec "Konika" na Hożej, Leszek Raabe, Komendant Socjalistycznej Organizacji Bojowej, która pod patronatem Tomasza Arciszewskiego, podjęła chlubne tradycje Organizacji Bojowej z 1905 roku. W ten sam sposób wygarniają wkrótce gestapowcy bar kawowy na Placu Napoleona i zabierają przy tym działacza Stronnictwa Narodowego, adwokata Jaźwińskiego z Kalisza. Wreszcie, w nalocie na barek przy Filtrowej, wpada były poseł Sacha ze Str. Narodowego i inni.

Charakter PKP i jego dalsze prace

Zebrania PKP odbywały się z reguły co tydzień. Byłem jego członkiem przeszło rok, do kwietnia 1941 roku. W tym czasie powstały

zasadnicze zręby organizacji polskiego Państwa Podziemnego i wyklarował ten wzajemny stosunek jego instytucji do rządu w Londynie. Rząd gen. Sikorskiego uznał, że PKP reprezentuje kraj wobec rządu i z drugiej strony reprezentuje tymczasowo rząd wobec kraju i jest jego organem wykonawczym. Ten stan pewnego przemieszczenia kompetencji, wywołany warunkami okupacyjnymi, trwał do czasu mianowania Delegata Rządu.

Kompetencje PKP obejmowały wszystko, a więc zagadnienia charakteru politycznego, społecznego, gospodarczego, wojskowego, etyki, jaka ma obowiązywać pod okupacją itp. Wszystko, co życie pod okupacją nastęczało, znajdowało się na stole obrad PKP, którego decyzje były następnie rozprowadzone po kraju siecią organizacyjną partii politycznych i Zetu. Przy rozstrzyganiu spraw krajowych obowiązywała zasada jednomyślności, o którą w tym okresie czasu nie było trudno. W razie różnicy zdań co do opinii komunikowanych rządowi, lub żądań pod jego adresem, było przedstawiane rządowi stanowisko każdego ze stronnictw i Zetu. Kontakty z rządem nie były regularne i częste, toteż na ogół w sprawach krajowych PKP decydował samodzielnie. Omówienie jednak całości tej poważnej pracy przekraczałoby ramy niniejszych wspomnień.

Jaki był stosunek PKP do Zetu? Czy PKP był instytucją doradczą i pomocniczą przy Zecie, jak to twierdzą niektórzy, (czyli "PKP przy Zecie"), czy też instytucją samodzielną? Niewątpliwie pogląd pierwszy jest błędny, gdy się zważy, że w stosunkach krajowych była w użyciu jedynie i wyłącznie nazwa PKP, bez żadnych dodatków, że w skład PKP wchodził komendant Zetu, na równych prawach z przedstawicielami stronnictw, i w okresie mego należenia do PKP, gen. Rowecki przewodniczył w kolejności jego obradom. Sprawa wzajemnego stosunku między PKP, a Zetem była dyskutowana na samym początku, między innymi przy okazji składania przysięgi przez członków PKP. Z formuły, przejętej dla Zetu, usunięto wszystko to, co mogłoby wskazywać na zależność od niego. Wreszcie, sprawa cała została najlepiej wyjaśniona w piśmie do rządu z dnia 13 marca 40 r., w którym przedstawiciele stronnictw, składając rządowi propozycje odnośnie uprawnień PKP, stwierdzili, że jest on związany z ZWZ tylko w istotnym zakresie, to jest o ile ciało polityczne powinno być w warunkach okupacyjnych związane z robotą wojskową.

Charakter PKP jako naczelnej politycznej instytucji utrzymał się przez cały okres jego istnienia, z tą tylko zmianą, że od chwili mianowania głównego Delegata Rządu, który wszedł w skład PKP i objął jego przewodnictwo, Komendant Zetu z PKP się wycofał. W międzyczasie, stosunki między politykami, a przedstawicielami wojska, do których wkrótce przestał należeć gen. Tokarzewski, układały się różnie — raz lepiej, raz gorzej. Różnice w podejściu do zagadnień, nieraz znaczne, widać inne szkoły i metody myślenia. Wojskowi niekiedy z trudem naginają się do rozumienia politycznego punktu widzenia, zdradzają tendencje do ujęcia wszystkiego w swoje ręce, a co najmniej do kierowania wszystkim z ukrycia, politycy nie tylko, że nie chcą dać się prowadzić za rękę, ale szlusznie pragną podporządkować Zet kierownictwu politycznemu PKP, przy czym są nieraz aż nazbyt podejrzliwi i wietrzą wszędzie "dwójkę". Stąd częste spory i burzliwe dyskusje. Te dwie przeciwstawne tendencje charakteryzowały pierwszy okres konspiracji, niemniej obie strony starały się zdobyć na kompromis, wycieczkę polskiej racji stanu zwyciężało i wszystko powoli zmierzało do podziału władzy, rozgranicze-

nia kompetencji, a w całości — do konsolidacji. Wielokrotnie, kilkogodzinne posiedzenia wytworzyły z czasem pewną zażyłość, zrodziły się sympatie, no i oczywiście antypatie, zaczęto dochodzić do wynurzeń. Już nie tylko przemawialiśmy do siebie, ale zaczęliśmy i mówić ze sobą. Rozmawiałem kiedyś z Roweckim, gdy już został Komendantem Głównym ZWZ i generałem, na drażliwy temat: czy sanacja rządzi Zetem? Rowecki odrzucał od siebie takie posądzenie: — "Czy mnie możecie uważać za sanatora? Z Legionów poszedłem do Wehrmachtu, za co jeszcze dzisiaj moi koledzy mają do mnie pretensję, później do wojska. Jak byłem dowódcą pułku piechoty w Lesznie Wielkopolskim, z radością żegnałem każdego oficera, który szedł do polityki, czy do administracji cywilnej. Uważałem, że w wojsku powinien zostać tylko ten, kto ma do tego powołanie. Przed wojną objąłem brygadę pancerną. Nigdy nie byłem ani starostą, ani wojewodą, ani posłem, polityką się nie zajmowałem. Jakiż ze mnie sanator?" — Wysunął wzamian tezę, że Zetem kierują legioniści — Piłsudzczycy.

Odejście Tokarzewskiego

Na jednym z posiedzeń zawiadomił nas generał Tokarzewski, że otrzymał rozkaz objęcia dowództwa okupacji sowieckiej, z siedzibą we Lwowie i wobec tego wkrótce będzie musiał nas opuścić. Zdziwiła nas ta niespodziewana decyzja. Nie uważaliśmy jej za szczęśliwą, gdyż Tokarzewskiego, który był dowódcą okręgu wojskowego we Lwowie znało tam każde dziecko, więc z pewnością szybko wpadnie. Poza tym żyliśmy się jakoś, współpraca się ułożyła, więc po co ta zmiana? Nie była dla nas jeszcze jasna sprawa kierownictwa Zetu. A więc dwaj komendanci Zetu, jeden dla okupacji niemieckiej, drugi sowieckiej? Czyżby system decentralizacji roboty wojskowej? Postanowiliśmy zwrócić się do rządu z przedstawieniem naszych wątpliwości i wpłynęliśmy na Tokarzewskiego, by odwlekl swój wyjazd do czasu nadejścia odpowiedzi. Nie bez trudu udało go się namówić, ale nie na długo. Musiał wykonać rozkaz i wkrótce rozstał się z nami. Byliśmy o niego bardzo niespokojni i żegnaliśmy go ciepło. Mieliśmy już wiadomości z okupacji sowieckiej i wiedzieliśmy, że NDKW to nie przelewki. Tokarzewski był przy pożegnaniu wyrażnie wzruszony. Ścisnął nam ręce, życzył powodzenia w pracy. Potakiwaliśmy gwałtownie, lecz bez przekonania, gdy mówił: — "Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy".

W parę tygodni doszła nas wiadomość, że został aresztowany przez bolszewików zaraz przy przejściu granicy obu okupacji.

Pierwsi emisariusze Rządu

Przeżywamy sensacje, gdyż przybyli pierwsi emisariusze rządu Gieysztor i Heller (pseudo). Odbywamy z nimi wielogodzinne posiedzenia. Przywieźli nad od rządu ocenę sytuacji międzynarodowej, sprawozdania polityczne i informacje. Sami mają za zadanie zebranie wszelkich informacji o kraju, o podziemiu, pragną poznać nasze życzenia, potrzeby itd. Przybyli dość łatwo przez Węgry. Heller, z którym się wkrótce bardzo zaprzyjaźniłem, malował mi w prywatnych rozmowach dość ponury obraz stosunków w Angers, dokąd już nie chciałem wracać i rzeczywiście nie powróciłem. Klótnie, niesnaski, intrygi, walka o władzę i stanowiska. Starałem się spoza masy szczegółów dotrzeć do istoty zagadnienia. Stało się dla mnie nie-

bawem rzeczą jasną, że zetknięcie się dwóch światów — rządzącego przed wrześniem, obarczonego odpowiedzialnością za błyskawiczną klęskę, i opozycyjnego, który po wielu latach walki politycznej w opozycji, ujął władzę w swoje ręce, — wytworzyło zjawisko, podobne do zetknięcia się rozpalonej lawy z wodą (z zastrzeżeniem właściwych proporcji). Zjawisko, podobne do tego, które przeżywamy w miniaturze w PKP. Pocięszam się tym, że w każdym razie u nas lawa stygnie, a woda się ogrzewa. Jednakże głosy, jakie nas dochodzą później z zagranicy, wykazują, że to porównanie w odniesieniu do stosunków emigracyjnych nie było trafne. Proces ten zagranicą poszedł w odwrotnym kierunku i trwa niestety do dziś dnia.

W jakiś czas potem konferujemy z emisariuszem Karskim, który referując sprawę przed PKP, zrobił duże wrażenie na wszystkich obiektywnością, z jaką przedstawiał wszystkie zagadnienia oraz doskonałą pamięcią, obejmującą nawet najdrobniejsze szczegóły. Po nim przybył "dyplomata" Borkowski (pseudo), inżynier Moskał ze Str. Ludowego (Wojtek) i w ten sposób rozpoczął się trwający przez całą wojnę "ruch wahadłowy" emisariuszy, kursujących między Warszawą a Angers, później Londynem.

Powrót Rataja z więzienia i ponowne aresztowanie

Po kilkutygodniowym pobycie w więzieniu, Rataj został zwolniony! Wiadomość ta natychmiast obleciała całą Warszawę. Jest nie do wy tłumaczenia szybkość, z jaką każda tego rodzaju wieść, czy plotka, dochodziła do wszystkich. Nie wiem, czy kto zbadał już tajemny mechanizm i prawa, rządzące tym zjawiskiem, ale wyniki musiały być bardzo ciekawe, a specjalnie formuła na szybkość, z jaką się taka wiadomość pod okupacją rozchodziła. O każdym ważniejszym wydarzeniu lub ciekawszej plotce mówiła po paru godzinach dosłownie cała Warszawa. Wiadomości radiowe z Londynu, powielane i kolportowane wówczas wśród stosunkowo nielicznych grup ludności, były znane całej jawnej Warszawie w ciągu tego samego dnia.

Cieszyli się wszyscy, szczególnie ludzie z góry konspiracyjnej. A więc tajemnica została utrzymana! W takim razie należy się spodziewać także zwolnienia Niedziałkowskiego. Idę na spotkanie, wyznaczony mi przez Rataja w stanie radosnego podniecenia. Zamieszkał z powrotem w domu przy ul. Hożej 14 i tam będziemy rozmawiali. Zostałem Rataja jeszcze bardziej wychudzonego i postarzałego, ale rozpromienionego i zadowolonego z powrotu. Opowiadał obszernie o pobycie w więzieniu i o śledztwie: — "Niczego nie byli mi z stanie udowodnić. Zorientowałem się, że uderzyli na ślepo, na chybił trafił. Jednak męczyli mnie badaniami przez parę tygodni. Wszystko ich interesowało. Cała moja przeszłość, poglądy..."

Rataj unosił się nad ludzkością i dobrocią Polaków-dozorców więziennych: — "Trafitem tam na kawałek Polski. Przynosili mi od siebie z domu bieliznę, jedzenie i wszystko czego potrzebowałem, nawet wiadomości z miasta. Czuję ich opiekę na każdym kroku, ostrzegali mnie i pouczali, jak się zachować". (Wszyscy prawie dozorczy z Pawiaka zostali później wywiezieni do obozów koncentracyjnych, niektórych rozstrzelali gestapowcy na miejscu).

Rozkoszował się wolnością i nowymi wrażeniami: — "Nie ma pan pojęcia, co to uczucie, gdy się chwyta za klamkę i, o dziwo — drzwi się otwierają..."

Rozpoczynam kilkugodzinne, drobiazgowo sprawozdanie z rozmów

z Niedziałkowskim, Tokarzewskim, Roweckim, informuję o powstaniu PKP, jego uchwałach, decyzjach, o sprawie mianowania Delegata Rządu, o sytuacji w stronnictwie naszym i innych, słowem, o wszystkim. Rataj jest nieco zaskoczony moim sprawozdaniem i gdy skończyłem, pokręcił głową: — "Widzę, że Niedziałkowski posunął sprawę bardzo naprzód, ale nie mam mu tego za złe, bo sytuacja tego wymagała". Z dalszych wynurzeń Rataja mogłem wywnioskować, że Niedziałkowski nadał określone formy pewnym pomysłom, które dopiero były w dyskusji pomiędzy nim a Ratajem. Skończyłem parogodzinne wyjaśnienia oświadczeniem, że rolę swoją w PKP wobec wyjścia Rataja na wolność uważam za skończoną.

W rezultacie dalszych rozmów, Rataj zdecydował, iż mam pozostać w PKP nadal. Byłem tym nieco zaskoczony, ale Rataj z miejsca wyjaśnił powody:

— Widzi pan, nie wiadomo jeszcze, jak praca w PKP pójdzie. Ja nie mam wcale chęci wchodzenia w zadawnione spory i kwestie. Jeśli w PKP miałyby się rozwinąć te czy inne rozgrywki z wojskiem, czy między stronnictwami, to ja do PKP nie wejdę. Z tego, co pan mówi, wynika, że załatwiliście tylko podstawowe sprawy, a w codziennej pracy dopiero szukacie wspólnego języka i ta współpraca dopiero zaczyna się układać. Wolę zatem zachować pewną rezerwę. Jeśli PKP wytrzyma próbę życia, co się wkrótce okaże, to może wejść w jego skład. Jeśli nie, to nie wiem, czy i pana w nim pozostawimy. Ułożymy się tylko między sobą w ten sposób, że tylko ze mną będzie pan omawiał sprawy, związane z PKP".

To ostatnie ostrzeżenie miało ten sens, że w sprawach PKP nie będę się komunikował z "trójką", którą marszałek Rataj powołał do kierowania poszczególnymi działami organizacji podziemnej stronnictwa Ludowego.

W sprawie mianowania w kraju Delegata Rządu Rataj nie był zadowolony ze stanowiska rządu, który domagał się wskazania kandydata spośród osób, znajdujących się w kraju. Rataj uważał, że gen. Sikorski powinien przysłać swego zaufanego człowieka z zagranicy, osobę poważną i dobrze zorientowaną w sytuacji międzynarodowej, która by przywiozła poza tym wyczerpujące informacje i wskazówki. Ponieważ jednak, stosownie do życzenia rządu, próbowaliśmy na PKP wytypować kandydata z kraju, zatem bez porozumienia z Ratajem, wysunąłem jak gdyby próbnie, w dyskusji, jego osobę. Zgodzili się natychmiast wszyscy, z wyjątkiem Dębskiego z "Kwadratu", który w wyszukanych słowach i bardzo kurtuazyjnie oponował, mówiąc, iż bez wysondowania opinii prezesa Witosa, co w danej chwili nie było możliwe, gdyż Witos był aresztowany, jego stronnictwo nie mogłoby się wypowiedzieć za kandydaturą Rataja.

Gdy później relacjonowałem to Ratajowi, usprawiedliwiając się z popełnionej samowoli w ten sposób, że moim zdaniem, jest on właściwym i bezkonkurencyjnym kandydatem na Delegata i wyrażając przekonanie, że mimo słabych zastrzeżeń Str. Narodowego, kandydatura jego przejdzie, Rataj, jak zwykle uprzejmie, ale z pewną dozą ironii podziękował mi za wysoki o nim sąd, jednak kategorię odmówił:

— Nie pragnę być Delegatem Rządu. Mam wątpliwości, czy pełniłbym dobrze tę funkcję. Nie bardzo bym się nadawał tylko do wykonywania poleceń, a samodzielność — to zarodek konfliktu".

Zaczęły się znów niekończące wędrówki do mieszkania przy Hożej 14. Bywało tam po kilkanaście osób dziennie. Ja stałem się chyba jednym z najrzadszych gości, mimo że miałem więcej od in-

nych powodów do częstych wizyt. Ułatwiłem w tym czasie spotkania z Ratajem członkom PKP — Pużakowi i Dębskiemu. Większość jednak gości, to ci sami ludzie, co poprzednio. Toteż córka Rataja, Hanka i jej mąż, Tadeusz Stankiewicz, "trójka" z naszego stronnictwa i ja, żądamy kategorycznie od Rataja, by przerwał tę niebezpieczną gościnność, bo się ona źle skończy. Rataj czuł to sam, i gdy najważniejsze sprawy zostały uregulowane, zgodził się na wyjazd w tajemnicy przed wszystkimi do Otwocka, do zakładu św. Józefa, prowadzonego przez księży. Nikt, prócz córki, dziecka oraz mnie nie będzie wiedział, gdzie przebywa. Miałem pewne stosunki z firmą Colgate-Palmolive w Warszawie, która jako własność amerykańska, posiadała własne auto, nie zarekwirowane przez Niemców. Któregoś dnia rano, podjechałem tym autem pod dom Rataja i po dwóch godzinach był on już w Otwocku. Zamieszkał w drewnianej willi, w ogrodzie. Wszędzie metrowy śnieg, spokój i cisza. Można zapomnieć o wojnie i o całym świecie. Otoczony serdeczną opieką przez księży, przychodził tam Rataj powoli do siebie. Dojeżdżałem do niego od czasu do czasu, z informacjami i po wskazówki.

Po paru tygodniach przyjechał z Krakowa do Warszawy dr Władysław Kiernik. Przyjechał głównie, by się spotkać z Ratajem, który, powiadomiony o przybyciu Kiernika, zaproponował, bym go przywiózł do Otwocka, oczywiście, z zachowaniem ścisłej tajemnicy. Gdy zakomunikowałem to Kiernikowi, łypnął na mnie okiem i odął się: — "Jeśli ja mogłem przyjechać do Rataja z Krakowa do Warszawy, to on może przyjechać do mnie do Warszawy z Otwocka". — Żadne perswazyje nie pomogły, wobec czego pojechałem z Hanką do Otwocka z niczym. Rataj rozłożył ręce: — "No widzi pan, to jest cały Kiernik. Dla niego jest to tylko kwestia prestiżu. Nie ma innej rady, pojedź z wami do Warszawy, a potem wróć". — Ponowne perswazyje Hanki i moje nie pomogły. Rataj już się nudził wśród spokoju i ciszy zakładu św. Józefa, toteż może po cichu był rad, że znalazł się pretekst do wyjazdu. Wsiadliśmy więc w auto — małą pociągówkę — i objając sobie boki, gdyż na szosie leżał olbrzymi śnieg, ledwo przetarty i pełen wyboi, dobrnęliśmy wieczorem do Warszawy. Potem już o powrocie Rataja do Otwocka nie było mowy.

Zorganizowałem spotkanie Rataja z Roweckim. Miałem do dyspozycji w gmachu Prudentialu dwa konspiracyjne pokoiki, w których zrobiłem coś w rodzaju biura. Półki z aktami, biurko i parę krzeseł. O godzinie czwartej popołudniu miałem w tym pokoju poznać Roweckiego z Ratajem. Komendant ZWZ przyszedł punktualnie o czwartej i rozmawialiśmy sobie o tym i o owym. Po kilku minutach rozległo się umówione pukanie. Otworzyłem drzwi, lecz zamiast Rataja weszła łączniczka ze stronnictwa. Gdy spojrzałem w jej bladą i zmęczoną twarz, od razu tknęło mnie złe przecucie. — "A gdzie marszałek?" — "Dziś rano aresztowany. Niemcy obsadzili Hożą od Kruczej do Placu Trzech Krzyży i zabrali marszałka". Nim ją zacząłem wypytywać wyprawiłem Roweckiego za drzwi, bo nic nie wiadomo. A może Rataj miał spotkanie i adres gdzieś zanotowane?

Sam byłem zupełnie złamany. Wracałem szybko do domu, umysł pracował gorączkowo. Tym razem aresztowanie wyglądało poważniej! Tak szybko po zwolnieniu! Teraz musieli jakąś nić chwycić! Po co było przyjeżdżać z Otwocka? Trzeba zarządzić alarm, bo chociaż Rataj na pewno nic nie powie, ale mogą mieć dalsze ślady. Majaczy mi przed oczyma twarz łączniczki, z której patrzyło nieszczęście. Ileż to takich spotkań miałem jeszcze przeżyć. Wszystkie prawie jedna-

kowe. Znajome rysy łączniczki czymś zmienione, oczy rozszerzone przestraszeniem. Nim otworzy usta, wiem, że usłyszę za chwilę: — "Wsypa... aresztowany... zabity..." Jak za naciśnięciem guzika spią się zarządzania i rozpoczyna działać aparat alarmowy. Likwidować lokale, zmieniać adresy i pseudonimy! Uprzedzić zagrożonych! Konieczność natychmiastowego działania usuwała ból na kilka godzin. Za to potem wracał podwójną siłą. Z kolei — krótki okres względnie spokoju i znów wchodzi błąd łączniczka...

Wkrótce już Hanka miała grypsy z Pawiaka od ojca. Szły one przez dozorców więziennych. Można się było z nich zorientować, że sprawa wygląda poważnie. Wszystkie starania o pomoc dla Rataja zawadza, prócz drogi na Pawiak, która funkcjonuje i pozwala na zorganizowanie czegoś na kształt widzenia z Ratajem.

Umówionego dnia, o określonej godzinie, Hanka i moja żona w jednej grupie, a ja oddzielnie, spacerujemy po Dzielnej. Nagle, w oknie szpitala na Pawiaku ukazała się wynędzniała twarz Rataja, który, wpatrzony w córkę, pożerał ją po prostu oczyma. Hanka stanęła na krawędzi chodnika i z uśmiechem zmieszonym ze łzami patrzyła na ojca. Przesunąłem się obok, Rataj mnie zauważył i dał to poznać skinięciem głowy. Staliśmy na chodniku z twarzami wlepionymi w twarz, majacząca za okratowanym oknem. Wreszcie Rataj rozkazującym gestem dał nam znak, że mamy odejść. Oddalamy się, ale jeszcze przez parę chwil widzimy bladą płamę twarzy za szybą. Hanka po cichu łyka łzy. Widziała ojca po raz ostatni.

Pewnego dnia przyszła zapowiedź katastrofy. Zawsze panująca nad sobą Hanka, tym razem zapiakana i zropaczona dała mi do odczytania gryps. Mała, zmięta kartka, wyrwana z notesu, a na niej charakterystyczne pismo Rataja. Przeczytałem uważnie i opuściłem bezradnie ręce. Nie było żadnej wątpliwości. Rataj wiedział już, że zginie i żegnał się z córką i zięciem na zawsze i przesyłał im swoje błogosławieństwo. Nie próbowałem ich nawet pocieszać.

W kilka miesięcy później mieliśmy już wiadomość, że został rozstrzelany 21 czerwca 1940 roku, w lesie, w Palmirach, razem z Mieczysławem Niedziałkowskim, Pohoskim, Kusocińskim, Wojnarem-Byczyńskim z ZWZ i innymi.

Epilog tragedii Ratajów rozegrał się w czasie powstania warszawskiego. Któregoś dnia, wpadła do mego lokalu łączniczka, osypana pyłem wybuchu od stóp do głów. Na twarzy wypisane nieszczęście: — "Bomba zasypała w piwnicy na Hożej Hanke, Tadeusza, dziecko i służącą Bronię". Pobiegłem, jak wariat Kruczą w kierunku Alei Jerozolimskich. Nalot jeszcze trwał, bomby waliły jedną za drugą. Skręciłem w Hożą. Nie była to już ulica, tylko pagórki i doły, w których stała żółta, brudna woda. Nad ruinami domu pod czernastym unosił się jeszcze tuman kurzu. Ludzie pokryci warstwą zmielonego przez ciśnienie tynku. Wpadłem na schody do suterynu — korytarz cały, ale przy wejściu do piwnicy, jak nożem uciął. Ściana gruzu, cergieł, połamanych desek. Zacząłem wołać: — "Hanka, Tadeusz, odezwijcie się!" — Odpowiedziało mi spod gruzów szczekanie psa. Jego też tylko udało się uratować. W piwnicy, prócz rodziny Stankiewiczów zginęło jeszcze kilkanaście osób.

Akcja Świętochowskiego

PKP miało już wkrótce swego "sobowtóra". Ten bliźniak nie tylko legitymował się rzekomymi pełnomocnictwami gen. Sikorskiego, nie tylko sam, gdzie się dało, przejmował korespondencję i przesył-

ki, idące do PKP z zagranicy, ale zaczął także organizować własną akcję w społeczeństwie, w stronnictwach i gdzie się dało. Inicjatorem i duszą wszyściego był Ryszard Świętochowski, który pozyskałszy współpracę mecenasa Borzeckiego, Tyczyńskiego z "Siewu" i innych, mienił się być reprezentantem gen. Sikorskiego, na zażyłe stosunki z którym stale się powoływał. Współdziałał z nim także w tym czasie red. Kwieciński ze Str. Pracy, poza tym gromada karyerowiczów, którzy w poszukiwaniu właściwej orientacji biegali raz do Świętochowskiego, drugi raz na Hożą do Rataja, gdy ten jeszcze przebywał na wolności. Wśród nich panował największy niepokój. Byle nie popełnić pomyłki i nie postawić na fałszywego konia!

Cała sprawa wyglądała niepoważnie, ale wyczuwano, że toż jest akcja z zagranicy patronuje. Zanim ta "robotka" zapuściła korzenie, nastąpiło wyjaśnienie sytuacji. Gen. Sikorski, powiadomiony o akcji Świętochowskiego, odciął się od niej zdecydowanie, wprowadzeni w błąd współpracownicy szybko się wycofali. Na Hożej ogonek zaczął rosnąć.

Świętochowski, któremu grunt w kraju usunął się spod nóg, zdecydował się na wyjazd zagranicę do gen. Sikorskiego, zapowiadając, że wkrótce powróci z nominacją na delegata w ręku i obejmie "władzę nad krajem".

Zabawa w delegata skończyła się jednak tragicznie. W parę miesięcy doszły nas głosy, że wyprawa, z jaką ruszył świętochowski zagranicę, została schwytała przez Niemców przy przejściu przez Słowację. Podobno grupa ludzi, wśród których znajdował się świętochowski, prowadzona przez przewodników-Słowaków, zapadła na dzień w jakiejś leśnej kryjówce, by w nocy ruszyć dalej. Dręczeni pragnieniem, czy też głodem, wysłali przewodnika do pobliskiej karczmy. Ilość nabywanych przez jednego człowieka produktów prawdopodobnie zwróciła czyjąś uwagę i w rezultacie, w ślad za przewodnikiem, zjawili się w kryjówce słowaccy żandarmi.

Świętochowski zginął bez śladu i pozostawiony przez niego ośrodek dostał się w ręce aferzystów politycznych. Z trudem tylko udało go się Delegatowi Rządu, po długim czasie, zlikwidować.

Projekt mianowania Komisarza Cywilnego

Rząd nalegał na PKP, by ten zgłosił kandydaturę krajową na Delegata. Natrafiało to na trudności, gdyż nietatwo było znaleźć osobę, która by uzyskała poparcie możliwie wszystkich, a do tego PKP zmierzał. W związku z tymi trudnościami rozdziły się inne koncepcje.

Pewnego dnia otrzymałem zaproszenie na rozmowę od gen. Roweckiego. Wyznaczona była w jego lokalu, jak zwykle starannie dobranym i pilnie strzeżonym w tym czasie przez uzbrojoną ochronę. Rowecki szybko te ochronę skasował, gdyż, jak powiedział, doszedł do wniosku, że zwraca ona zbyt uwagę i skutek może być odwrotny. Na razie jednak, gdy przyszedłem, paru kręcących się po ulicy cywilów poddało mnie gruntownej obserwacji. Wszystko poszło jednak, jak z płatka i sprawdziwszy ostatecznie umówione znaki, dotarłem do celu. Przywitał mnie, jak zwykle uśmiechnięty i pogodny Rowecki. Ciemne włosy już mu odrosły, nosił jakieś marne, cywilne ubranie i ciemną koszulę, a takich prawie wszyscy używaliśmy, były praktyczne i zastępowały często na przypadkowych noclegach pidżamy.

Po wstępnych ceremoniach wyczułem, iż zanoszą się na jakąś ważną rozmowę. Rozpoczęła się ona od tego, że Rowecki zaczął utyskiwać nad powolnością, z jaką idzie załatwianie sprawy Delegata, pod-

kreślał, że na tym cierpi robota wojskowa, wreszcie wyłożył na stół sprawę, dla której zaprosił mnie na rozmowę.

— Proszę was, Nowak, po co będziemy się upierali koniecznie przy Delegacie, który będzie instytucją nową i nieznaną, kiedy w naszym ustawodawstwie na wypadek wojny jest taka sytuacja przewidziana i uregulowana. Po prostu, trzeba mianować w kraju Komisarza Cywilnego i pragnę tę sprawę wnieść na PKP, ale przedtem chciałbym usłyszeć wasze zdanie.

Byłem tą propozycją zaskoczony, ale chciałem wyjaśnić wszystko do końca, więc zapytałem: "A komu, według was, generale, podlegałby Komisarz Cywilny?" — "Naczelnemu Wodzowi". — "Któremu? zagranicą, czy jego odpowiednikowi w kraju?"

— Zagranicą to by nie miało sensu. Więc chyba odpowiednikowi w kraju — dość niepewnie odpowiada Rowecki. — "A więc wam, generale?" — "Tak, mnie".

Zaoponowałem przeciwko temu kategorycznie i oświadczyłem, że mianowanie Komisarza Cywilnego, podległego Komendantowi Głównemu Zetu, byłoby równoznaczne z militaryzacją podziemia, na co stronnictwo, które reprezentuje w PKP, nigdy się nie zgodzi. Zresztą osoba Kostka-Biernackiego, mianowanego z chwilą wybuchu wojny Komisarzem Cywilnym, dostatecznie tę instytucję skompromitowała. Rowecki wystrzelił wówczas z najcięższej kolubryny.

— Mogę zrozumieć do pewnego stopnia wasze obawy, ale mam nadzieję, że natychmiast ustąpią, gdy wam oświadczę, że stanowisko Komisarza Cywilnego zaoferujemy człowiekowi z waszego stronnictwa.

Mimo tej przynęty nie godziłem się w dalszym ciągu na propozycję, twierdząc, że osoba nie jest w stanie zmienić instytucji, zresztą akceptacja samej koncepcji oznaczałaby także zgodę na poddanie osoby Komisarza Cywilnego, choćby nim był członek Str. Ludowego, rozkazodawstwu Komendanta Zetu. Rowecki był tym wyraźnie zadowolony i rozczarowany. Zapuściłem się wobec tego w długi dyskurs i w rezultacie zaczął on pojmować, że sprawa nie jest tak prosta, jakby się wydawała. Rozstaliśmy się w zgodzie, z tym, że na pożegnanie Rowecki oświadczył mi, iż propozycji mianowania Komisarza Cywilnego na PKP oficjalnie nie wnieśli.

Trójka w "Trójkacie" w zupełności aprobowała moje stanowisko i projekt ten na zawsze został pogrzebany.

Przyjazd tymczasowego delegata

Aby sprawę mianowania Delegatu Rządu posunąć naprzód, "Trójkąt" zdecydował się wysunąć kandydaturę prezesa "Społem", znanego spółdzielcy Rapackiego, ojca obecnego ministra rządu warszawskiego. Odwiedziłem go w biurach "Społem", przy ulicy Grażyny 12. Starszy, poważny pan był uprzedzony, że przyjdzie do niego ktoś z podziemia, więc przyglądał mi się dość ciekawie. Poinformowałem go o celu wizyty i zapytałem, czy daje swą zgodę na kandydowanie. Rozłożył ręce: "Dziękuję bardzo za zaszczytną propozycję, którą na prawdę jestem wzruszony. Gdybym ją przyjął, musiałbym porzucić stanowisko prezesa "Społem" i przejść do podziemia. Wówczas okupanci na moje miejsce, bez żadnej wątpliwości mianują Niemca i stracimy to ważne stanowisko, na którym mogę jeszcze bronić społeczności przed tym, co z niej Niemcy pragną zrobić". Rapacki miał na myśli tendencje Niemców, zresztą później zrealizowane, zrobienia ze "Społem" aparatu, służącego do magazynowania i odprowadzania do Rzeszy kontyngentów zbożowych, mięsnych, nabiałowych itd.

Odmówił "Trójkątowi" także w tym czasie kandydowania później Delegat — Jankowski. Wysoki, szczupły, blady mężczyzna o wygolonej czaszce i grubych szklach na nosie, bardzo opanowany, trochę oschły, o żywym, młodzieńczym głosie, wyjaśnił spokojnie: "Przed wojną odszedłem dość daleko od Stronnictwa Pracy, toteż wątplię, by moja kandydatura znalazła na emigracji odpowiednie poparcie. Myślę, że z tego powodu nie będzie ona także odpowiadała rządowi".

Wreszcie PPS i Str. Ludowe, przy opozycji Str. Narodowego, wskazały kandydata na Delegata emisariuszowi Karskiemu, który po jakimś czasie wyruszył zagranicę. Wpadł jednak na Słowacji i przeszedł znane, fantastyczne wprost koleje. Wrócił do kraju, nie wykonawszy misji, a w międzyczasie przybył do kraju z zagranicy przysłany stamtąd przez rząd Tymczasowy Delegat Vogel (pseudo). Poinformował nas o charakterze w jakim przybywa oraz o tym, że głównym jego zadaniem jest doprowadzenie do wyznaczenia kandydatury na Delegata, a ubocznym wprowadzenie do PKP Str. Pracy. Vogel, starszy, siwy pan średniego wzrostu, pełen najlepszych chęci, uczciwy i sumienny w podejściu do sprawy, trochę naiwny, zabrał się do dzieła energicznie. Najpierw przejął zapoczątkowaną przez PKP pracę i kierownictwo trzech już powstałych departamentów: politycznego, spraw wewnętrznych i oświaty. Następnie odbył szereg konferencji z konspiracyjnymi władzami stronnictw w sprawie wprowadzenia do PKP Str. Pracy. Natrafił jednak w tej akcji na opór w PPS, podczas gdy w Str. Ludowym zdania były podzielone. Konspiracyjny ośrodek Str. Ludowego w Krakowie wypowiedział się negatywnie, uzasadniając to brakiem wpływów podziemnego Str. Pracy na tamtejszym terenie, natomiast centrala "Trójkąta" zdecydowała się poprzeć Str. Pracy, na co wpłynęło także ubocznie przejściowe usunięcie się w tym czasie Dębskiego od udziału w pracach PKP. Były obawy, iż Str. Narodowe może PKP opuścić. Podstawy zostały wskutek tego osłabione, wobec czego, uważając podtrzymanie istnienia PKP za konieczność państwową, pragnęliśmy go wzmocnić przez wprowadzenie Str. Pracy. Udało nam się przekonać PPS o tyle, że już nie oponowało i pewnego dnia udałem się na spotkanie z przedstawicielem Str. Pracy, redaktorem Kwiecińskim, by go powiadomić o przyjęciu Str. Pracy w skład PKP.

Rozmawialiśmy na szóstym piętrze domu na Tamce, gdzie nieraz później bywałem. Kwieciński, średniego wzrostu, o bujnych, siwawych włosach i "hiszpańskiej" bródce, w okularach, bardzo podniecony, siedział na kanapie i uważnie słuchał. Wypełniłem misję i poprosiłem o wydelegowanie przedstawiciela Str. Pracy do PKP, podając przy tym adres najbliższego posiedzenia i hasło. Kwieciński podziękował w przesadnie uroczystych słowach i oświadczył, że to on właśnie został wyznaczony przez Str. Pracy na członka PKP. Po pewnym czasie wrócił Dębski do PKP i był zdecydowany niezadowolony z nowego nabytku, ale przyjął go "z dobrodziejstwem inwentarza", gdy ze swej strony zarzuciliśmy mu, iż odsunięcie się Str. Narodowego od prac w PKP w pewnym stopniu przyczyniło się do takiego załatwienia sprawy.

Lapanka wrześniowa

Mieszkałem z żoną w dalszym ciągu na Kolonii Staszica, w dwóch pokojach, wynajętych na inne nazwisko. Mały domek, ogródek, wokoło spokój i zieleń — słowem sielanka. Były to tylko pozory, bo cała Kolonia Staszica roiła się od konspiracyjnych lokali. Ale

pozory były dobrze zachowane i nic nie wskazywało na to, że Kolonia Staszica pod względem lokali konspiracyjnych odgrywa tak wielką rolę w Warszawie. Obok niej wiodły później prym Mokotów i Śródmieście, dalej — Żoliborz, a na szarym końcu Praga. Produkcja wojskowa ulokowała się w dzielnicach fabrycznych, pracownie naukowe w dawnych uczelniach wyższych — na czele ich kroczyła Politechnika ze swoimi warsztatami i laboratoriami. Mapa Warszawy pod względem rozmieszczenia konspiracji, wyglądałaby w ten mniej więcej sposób.

Sielanka prysła, gdy pewnego ranka, we wrześniu 40 roku, kobieta przynosząca mleko poinformowała nas, że cała Kolonia Staszica otoczona jest wojskiem i żandarmerią i że po naszej uliczce spaceruje tam i z powrotem żandarm. Ubrałem się w poplochu. Co za pech! Akurat moja żona z łączniczką piisały całą noc na maszynie, przepisując treść filmów, nadesłanych przez rząd z zagranicy. Maszyna stuknęła w pokoju, a żandarm od świtu spacerował przed domem! Powstał problem: czy zniszczyć filmy i materiał przepisany, czy go gdzieś schować? Może akcja niemiecka nie ma z nami nic wspólnego? Zdecydowaliśmy się wszystko schować na strychu i czekać na wyjaśnienie sytuacji. Nie długo trwało, jak przyszło dwóch żandarmów, którzy po prostu, bez pytania nazwiska, zabrali mnie ze sobą. Dzień był piękny, jesienne słońce jasno świeciło, w powietrzu przyjemny chłodek. Na całej Kolonii Staszica wielki ruch. Odjeżdżają pełne ludzi auta ciężarowe, przyjeżdżają puste. Żandarmi ze wszystkich domów wyprowadzają grupki mężczyzn starych, młodych, nawet chorych. Pomagam właśnie jednemu z nich, idącemu o kulach, wdrapać się do samochodu. Naładowanych jak śledzie, zawieźli nas za Łazienki, do koszar szwoleżerów. Tradycyjnie już odczułem ulgę, gdy spostrzegłem na wielkim podwórzu tłum ponad tysiąca osób. Opiekuję się nadal kulawym, którego wraz ze mną przepuszczają żandarmi poza kolejką. Idziemy wzdłuż thumbu i widzę w nim przekrój całej Warszawy: inteligenci, robotnicy, kupcy, rzemieślnicy, wszystko to stoi, oczekując z niepokojem na dalsze losy. Prowadząc chorego, poza kolejką zrobiłem wielkie głupstwo, gdyż ominąłem pierwszą selekcję, na której Niemcy zwolnili wszystkich pracowników miejskich, elektrowni, wodociągów i innych urządzeń użyteczności publicznej, a ja miałem przy sobie takie właśnie dokumenty, oczywiście, wydane "na lewo".

W ogromnej sali stało około trzydzieści stolików z maszynami do pisania. Przed każdym ogonek takich, jak ja. Spisali z nas ewidencję, a potem bocznym wyjściem, grupami, zaprowadzili do ujeżdżalni szwoleżerów. Tutaj już panował ostry rygor. Setki ludzi leżało na trocinach, pokrywających ziemię. Nie wolno wstawać. W szerokim przejściu spacerowali SS-mani z bykowcami w rękę i raz po raz kogoś okładali. Srożył się jakiś SS-man na którego wołali, niestety, coś w rodzaju "Łodziewski". Na bocznym galerijkach SS-mani z karabinami maszynowymi, skierowanymi w dół, w tłum.

Leżeliśmy tak drugi dzień, snując najrozmaitsze przypuszczenia. Góruje przekonanie, że wywożą nas na roboty do Niemiec. Było nas około półtora tysiąca. Dostaliśmy trochę chleba, ale wody z kranów nie było czym czerpać. Obok mnie leżał nauczyciel z rupturą, który licząc na to, że go zwolni komisja lekarska, prosił mnie, bym zaryzykował i zapytał któregoś SS-mana, kiedy będzie przegląd. Toteż, gdy SS-man wprowadzał nas całą grupą do rowu kloaczego, zostałem w tyle i zapytałem: "Kiedy będzie komisja lekarska, bo mamy chorych?" — SS-man obejrzał się naokoło i odpowiedział ściszo-

nym głosem — "Nie będzie wcale" — "A dokąd pojedziemy, czy na roboty do Niemiec?" — "Pojedziesz tam, gdzie będziesz żałował, żeś się urodził". Pokazał się niedaleko jakiś oficer i SS-man rozdarł się na całe gardło: "Schneler du!..."

Drugiego dnia, pod wieczór weszli do ujeżdżalni jacyś umundurowani urzędnicy i grupa oficerów SS, a na ich czele prawdziwy olbrzym, w długich butach, z pejczem w rękę. Półtora tysiąca ludzi wstrzymało oddech. Zaczęło się wywoływanie nazwisk. Wywołanym kazano ustawić się z boku. Po jakimś czasie usłyszałem własne nazwisko i wyszedłem z tłumy, żegnany żałośnie przez przygodnych towarzyszy niedoli.

SS-mani wyprowadzili wywołanych w liczbie około stu na podwórzec, ustawili w dwurząd, kazali zdjąć nakrycie głowy i jakiś cywil, dobrze mi znany z ulicy warszawskiej sprzed wojny, wygłosił do nas po polsku przemówienie. Zawiadomił nas, że jesteście zwolnieni na skutek interwencji naszych pracodawców. Ma nadzieję, że wyteżoną pracą okażemy wdzięczność za ludzkość, jaką nam władze niemieckie okazały. Zakończył apelem: "Jesteście mężczyźni, więc powinniście wiedzieć, że trzeba umieć milczeć o pewnych sprawach, jeśli się nie chce znaleźć tam skąd się nie wychodzi. Trzymajcie język za zębami. Możecie iść". Po kilkunastu minutach telefonowałem już z rogu Koszykowej, gdzie należały zawiadamiając o zwolnieniu. Zawdzięczałem jej pewnej polskiej instytucji, w której papiery byłem zaopatrzony. Zrobiła wszystko co mogła, aby mnie wydobyć i to się udało. Nie określałam jej bliżej, by nie narazić tych dzielnych ludzi na represje, jakie mogłyby dzisiaj, w 49 roku, spaść na ich głowy za to, że w roku 1940 uratowali mnie z rąk niemieckich.

Wszyscy pozostali, w liczbie ponad tysiąc osób zostali w nocy wywiezieni do Oświęcimia, gdzie większość z nich spotkał znany, straszny los.

Olbrzyma oficera SS jeszcze raz w moim życiu spotkałem. Wezwany jako były szef Kierownictwa Walki Cywilnej na świadka w procesie przeciwko gubernatorowi warszawskiemu, Fischerowi i innym, prowadzonym w Warszawie w 1946 roku, wszedłem na salę sądową i spojrzałem na ławę oskarżonych. W rysach jednego z nich dojrzałem coś znajomego. W czasie przerwy adwokat przyniósł mi jego fotografię w mundurze i czapie oficera SS. Poznałem — to ów olbrzym, który prowadził grupę oficerów SS w koszarach szwoleżerów. Teraz bez szlif i oznak wyglądał znacznie skromniej i nazywał się "oskarżony Meisinger". Został on później wraz z Fischerem skazany na śmierć. Tak to fortuna kołem się toczy!

Zresztą, do przesłuchania mnie przed sądem nie doszło. Po ukazaniu się listy świadków w prasie, zostałem z niej natychmiast skreślony, ktoś zaś został srodze zbesztany za powołanie na świadka oskarżenia "pachołka reakcji".

Nominacja delegata Ratajskiego

Z inicjatywy Kwiecińskiego, w okolicznościach, których przedstawienie należy odłożyć do późniejszych i spokojniejszych czasów, wbrew woli PPS i Str. Ludowego, nastąpiła nominacja na Delegata Rządu Cyryla Ratajskiego, byłego prezydenta Poznania i byłego ministra spraw wewnętrznych. Obiekcje wspomnianych stronnictw wobec osoby Ratajskiego miały charakter polityczny i jak gdyby techniczny. Wszyscy wysoko cenili patriotyzm i przeszłość Ratajskiego, który, wysiedlony przymusowo przez Niemców z Poznania, przeby-

wał w Warszawie, ale uważali, iż należy pozostawić na stanowisku Tymczasowego Delegata Vogla i to od czasu, dopóki się nie znajdzie kandydatura odpowiednio przekonująca, a za taką nie uważano Ratajskiego, który, jak na kierownika podziemia był nieco za stary i bez żadnego doświadczenia konspiracyjnego.

W tym stanie sprawy "Trójkąt" i "Koło" (Str. Ludowe i PPS) postanowiły zwrócić uwagę Ratajskiemu na to, że oba te stronnictwa oponują przeciwko jego nominacji, by umożliwić mu w ten sposób całkowite zorientowanie się przed powzięciem decyzji co do przyjęcia nominacji. Ta niewdzięczna rola przypadła w udziale właśnie mnie.

Pierwsze zebranie PKP z Ratajskim odbyło się w gmachu przy Alejach Jerozolimskich, róg Placu Lindleya. Zebraliśmy się w jakimś pustym biurze, z oknami wychodzącymi na Aleje i tam poznałem osobiście Ratajskiego, którego zresztą pamiętałem świetnie z widzenia i opinii z moich studenckich czasów w Poznaniu, w okresie, kiedy Ratajski był prezydentem tego miasta i zyskał sobie duże uznanie dzięki swym talentom administracyjnym.

W tym miesiącu przypadło na mnie przewodniczenie w PKP, toteż otworzyłem posiedzenie i zawiadomiłem zebranych o nadesłanej przez rząd nominacji. Panowało głuche milczenie, gdy zwróciłem się do Ratajskiego w charakterze przedstawiciela "Trójkąta", apelując gorąco, by tego, co za chwilę powiem, nie brał od strony osobistej, a jedynie politycznej, i poinformowałem go o krytycznym stanowisku dwóch stronnictw wobec nominacji. Wyjaśniłem przy tym, że zostałem zobowiązany do przedstawienia mu tych okoliczności, zanim złoży oświadczenie o przyjęciu nominacji.

Ratajski, starszy, siwy, tegi pan, robił wrażenie bardzo przejętego, lecz przygotowany widocznie na ewentualność takiego oświadczenia, odpowiedział bez namysłu: "Otrzymałem nominację z rąk generała Sikorskiego i jego rządu i zaufanie tych osób ma dla mnie decydujące znaczenie. Nominację przyjmuję i proszę o odebranie przysięgi". Wobec takiego stanowiska Ratajskiego, które zresztą władze obu stronnictw przewidywały, nie pozostawało nic innego, jak wykonanie we właściwy sposób obowiązków przewodniczącego, toteż wezwałem obecnych do postania i odebrałem przysięgę, którą Ratajski wypowiedział głosem łamiącym się ze wzruszenia.

Na następne posiedzenia PKP, Komendant ZZW Rowecki, już nie przybył. Wkrótce nadesłał wiadomość, iż wobec nominacji Delegata Rządu i postępującego rozgraniczenia kompetencji, wycofuje się ze składu PKP i tylko w razie potrzeby prosi o wywołanie go na posiedzenia czy to dla udzielenia informacji, czy też dla innych celów.

W nowym stanie sprawy zdecydowaliśmy, mimo wszystko wzmocnić delegata i powierzyć mu stałe przewodnictwo w PKP. Był on z tej decyzji bardzo zadowolony i objął przewodnictwo PKP i sprawował je, względnie jego następcę, aż do końca istnienia PKP.

Sojusz z PPS

Ruch ludowy żywi tradycyjne sympatie dla ruchu robotniczego. Idea współpracy chłopsko-robotniczej, oczywiście nie w rozumieniu komunistów, jest wśród chłopów głęboko zakorzeniona. PPS i Str. Ludowe miały już poza sobą bliską współpracę z okresu Centrolewu, współdziałały także ze sobą bezpośrednio przed wojną, gdy Witos, Bagiński i Kiernik powrócili z emigracji do kraju. Wreszcie, w pierwszych miesiącach wojny, pomiędzy Niedziałkowskim i Rata-

jem doszło do porozumienia najbardziej konkretnego, bo dotyczące wspólnego organizowania ruchu podziemnego.

Oba stronnictwa, biorąc to wszystko pod uwagę, postanowiły zawrzeć formalny sojusz i dla przeprowadzenia pierwszych rozmów z PPS na te tematy, wydelegowała "Trójka" ze swego grona Grudzińskiego, a poza tym mnie.

Spotkaliśmy się gdzieś w okolicach Belwederskiej z Pużakiem i Zygmuntem Zarembą, który był zastępcą Pużaka w PKP i pozostawał od początku w stałym z nami, ludowcami, kontakcie. Kiedy wiele razy spotykałem się wówczas z wysokim, szczupłym, czarnym "Marcinem", który wkrótce ozdobił twarz piękną aryjską brodą, nie przeczuwałem jeszcze, że ta znajomość ze starszym i znanym politykiem przetrwa wiele lat i przygód, że przeżyjemy razem okupację niemiecką, powstanie warszawskie, porwanie "szesnastu", czego Marcin cudem tylko uniknął, pierwszy okres podziemia pod okupacją sowiecką i wreszcie spotkamy się w Paryżu, a w 49 w Nowym Jorku i na "plantach" nad Hudsonem, tą naszą nowojorską Wisłą, będziemy wspominali nie tak dawne jeszcze ciężkie czasy, niepewni tego, co nam jutro przyniesie.

W wyniku rozmów postanowiliśmy działać wspólnie przez cały okres okupacji i po wojnie w okresie przejściowym, zdecydowaliśmy uzgadniać ze sobą stanowiska w każdej ważniejszej sprawie i występować jednolicie w PKP. W tym celu będziemy odbywać co pewien czas wspólne narady.

Zaremba wystąpił wówczas z propozycją, która nam po prostu zaparła dech w piersiach. Zaproponował on zlanie obydwu partii w jedną. Uchylił się od decyzji w tej sprawie, uważając, że przekraczałaby ona kompetencje podziemnych władz stronnictwa i że tylko Kongres, przeprowadzony w normalnych warunkach, miałby do tego prawo. Poza tym uważaliśmy, że decentralizacja roboty podziemnej lepiej ją zabezpieczy przed Niemcami.

Z tego porozumienia był także zadowolony przywódca lewego skrzydła PPS, Stanisława Dubois, z którym utrzymywałem stały polityczny i przyjacielski kontakt. Stał on na czele grupy, z której, niestety, wyjdzie w przyszłości rewolucyjna Partia Polskich Socjalistów z Osóbką, Chudobą i innymi na czele. Ale wyjdzie z niej także Socjalistyczna Organizacja Bojowa, którą kieruje Leszek Raabe, a opiekę nad którą sprawuje stary przywódca Organizacji Bojowej z 1905 roku, nestor polskiego socjalizmu, Tomasz Arciszewski.

W tej współpracy naszych partii w czasie okupacji niemieckiej były przyplwy i odpływy, niemniej, siła wzajemnego przyciągania działała stale i dała współdziałanie w Krajowej Reprezentacji Politycznej, dalej w Radzie Jedności Narodowej w Kraju, wreszcie w roku 1947-mym w wyborach 19 stycznia przybrała w kilku okręgach postać wspólnej listy ludowo-robotniczej.

Delegat Ratajski

Stosunki i praca z Delegatem Ratajskim ułożyły się zgodnie z przewidywaniami "Trójkąta" i "Koła". Kryształowej uczciwości i wielkiego patriotyzmu człowiek, ujmujący wszystkich swoim zapałem, lecz naiwny i nie rozumiejący wielu zjawisk, a przede wszystkim konspiracji, nie potrafił myśleć i działać konstruktywnie w tych specjalnie ciężkich i skomplikowanych warunkach. Był już człowiekiem w starszym wieku i ludzi poniżej czterdziestki uważał za niedojrzałych i dziwił się szczerze, skąd mogą zajmować w konspiracji odpowiedzial-

ne stanowiska. Na początku pragnął wszystkim członkiem PKP złożyć oficjalne wizyty, tak jak za dobrych czasów pokojowych. Postawiliśmy się odwieść go od tych zamiarów tak, aby go nie urazić. Do mnie czuł pewien żal z uwagi na rolę, jaką odegrałem w czasie pierwszego z nim posiedzenia PKP, czemu się zresztą wcale nie dziwiłem. Wkrótce jednak, gdy mianował mnie swym pełnomocnikiem dla Walki Cywilnej i doszło między nami do częstszych spotkań, wyzbył się go, o czym mi otwarcie powiedział. Nadał mi wówczas nadzwyczajne uprawnienia, między innymi prawo wysyłania własnym szyfrem depesz informacyjnych do Londynu.

Po pewnym czasie nastąpiło przejście przez Ratajskiego agend Delegatury i objęcie politycznego kierownictwa ruchem podziemnym. Rola PKP ograniczyła się wówczas do wyrażania opinii i postulatów czterech najpoważniejszych stronnictw, a więc większości społeczeństwa polskiego. Zresztą, Delegat uroczyście zadeklarował, że w sprawach krajowych uważać będzie opinie PKP za wiążące. W ten sposób powstała dwojaka zależność delegata. Raz od rządu, raz od PKP. Ten stan rzeczy przetrwał do końca istnienia PKP.

Pod rządami Ratajskiego, — co stanowi jego dużą zasługę — powstały departamenty: sprawiedliwości, na czele którego stanął Dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, Leon Nowodworski, informacji i propagandy pod kierownictwem Dołęgi, który na tym stanowisku przetrwał od początku do końca delegatury; rolnictwa, przemysłu i handlu, skarbu, kolei, poczt i telegrafów i tak dalej. Powstała Naczelna Izba Kontroli, z prezesem, adwokatem Peszyńskim na czele, — słowem Delegatura otrzymała te formy organizacyjne, które przetrwały do końca okupacji niemieckiej. Przede wszystkim jednak w dawnej już istniejącym Departamencie Spraw Wewnętrznych, rozpoczęło się organizowanie kadr przyszłej administracji państwa polskiego, które pod koniec okupacji liczyły wiele tysięcy fachowych urzędników.

Delegat utrzymywał nieustanny kontakt z Komendantem ZWZ, który od czasu do czasu był także zapraszany na posiedzenie PKP, dla omówienia spraw, związanych z robotą wojskową.

W przyszłości, obawy, jakie żywił się na wstępie co do umiejętności Ratajskiego kierowania konspiracją, sprawdzili się całkowicie. Nie mógł on sobie dać rady z problemami, które wymagały, prócz normalnych talentów administracyjnych, jeszcze zdolności do działania w konspiracji, no i końskich sił. Niezadowolony w kołach podziemnych w kraju rosło i znalazło swój oddźwięk zagranicą. Ratajski otrzymał po rocznym przesłaniu urzędowaniu dymisję, a w uznaniu zasług i wykazanej odwagi — *Virtuti Militari*. Po dymisji pozostał w Warszawie, utrzymując kontakt z podziemiem, ale zaczął gasnąć w oczach i wkrótce zmarł. Został pochowany w Warszawie na Powązkach, pod przybranym nazwiskiem.

Wsypa

Wkrótce PKP poniósł pierwszą stratę. Wpadł w ręce Gestapo Aleksander Dębski, przedstawiciel "Kwadratu". Zaalarmowany na czas wiadomością, że Gestapo go poszukuje, Dębski opuścił legalne mieszkanie przy Pięknej, pozostawiając w nim resztę rodziny, a sam zamieszkiwał kolejno w różnych miejscach, między innymi w ul. Francesco Nullo, gdzie parę razy go odwiedzałem. Któregoś dnia Dębski wpadł do domu na Piękną po czystą bieliznę i został natychmiast schwytany. Jasne się stało, że Gestapo trzymało mieszkanie

cały czas pod obserwacją, licząc na to, że Dębski kiedyś jednak do domu, do rodziny zajdzie. Te kalkulacje, niestety, okazały się trafne.

Sytuacja w Kraju

W połowie roku 1940 łapanki i aresztowania były już na porządku dziennym. O Pawiaku, Oświęcimiu, Oranienburgu krążyły po całym kraju straszne legendy. Zropaczzone rodziny otrzymywały już małe skrzynki z prochami bliskich, rzekomo zmarłych na te czy inne choroby. Ta perfidia niemiecka przechodziła granicę pojmnowania Polaków, i po raz pierwszy zostało sformułowane pytanie, czy hitlerowcy są w ogóle ludźmi? Już każdy mieszkaniec Warszawy słyszał o Palmirach. Chłopi z tamtych okolic przywożą wiadomości o przepelnionych ciężarówkach, pędzących w nocy do lasu palmirskiego i o salwach, jakie się rozlegają na wielkiej polanie leśnej. Groza wisi nad miastem, po którego ulicach pędzą otwarte auta, pełne czap z trupimi główkami. Lufy pistoletów maszynowych spoglądają na przechodniów czarnymi otworami. Wszędzie patroli żandarmerii w zielonych mundurach. Przed godziną policyjną tłumy ludzi zmieniają na noc mieszkania. Z Żoliborza pędzą na Mokotów, z Mokotowa na Żoliborz. Istna wędrówka narodów! Każdy się czuje pewniejszy, gdy nocuje tam, gdzie nie jest meldowany. Po godzinie policyjnej głucho brzmia na wyludnionych ulicach kroki patroli. Za zasłoniętymi oknami miasto czuwa. Gdzie dzisiaj będą rewizje i resztowania? Tutaj, czy gdzie indziej? Niepokój unosi się w powietrzu i spędza sen z powiek.

Ludzie, wytrąceni z normalnych trybów przez wojnę, jeszcze nie przyszli do siebie, dopiero urządzają się jako tako i zaczynają pracować i zarabiać. Toteż w roku tym, 1940, strach, terror, nędza i głód panują w stolicy niepodzielnie.

Ale już podziemie zaczyna działać i kasać. Tu i ówdzie padają pierwsze strzały odwetu i zemsty i pierwsze czerwone plakaty z fotografiami "polskich bandytów" zaczynają plamić ulice. Nie zjeżdżają już z nich do końca okupacji, coraz straszniejsze, coraz okropniejsze w swej treści.

Opuszczam PKP

Dębskiego zastąpił adwokat Trajdos, starszy, siwy pan, doskonały obraz endeka dawnego typu. Spokojny i flegmatyczny, był antytezą wybuchowego, nerwowego Dębskiego, o którym na razie nie mieliśmy żadnej wiadomości. Ratajski bardzo go lubił i widać było, że ci dwaj ludzie bardzo sobie przypadli do serca.

Nastąpiła teraz w mych funkcjach poważna zmiana. Władze "Trójkąta" od dawna pragnęły mieć w Komendzie Głównej ZWZ swego przedstawiciela. Wybór padł na mnie, jako najlepiej wprowadzonego w sprawy wojskowe spośród ludzi "Trójkąta". W kwietniu 1941 roku opuściłem PKP w ten sposób, że zamieniłem się na role z moim dotychczasowym zastępcą Grudzińskim, który wszedł do PKP na moje miejsce, a ja zostałem jego zastępcą. Z tego tytułu jeszcze raz się zetknąłem z tą instytucją w sierpniu 1941 roku i przeżyłem wraz z pozostałymi członkami PKP i Delegatem dość dziwną przygodę.

Grudziński zachorował, wobec czego, jako jego zastępcą, udałem się na posiedzenie, wyznaczone w mieszkaniu na Marszałkowskiej, niedaleko Wilczej. Wehódząc do bramy, zauważyłem mężczyznę, który pilnie mi się przyjrzał. Nie czas było cofać się, więc wszedłem na

schody z zamiarem ostrzeżenia zebranych. Na drugim piętrze, pod oknem na klatce schodowej stał drugi mężczyzna, który również bacznie mnie obejrzał. Nie było wątpliwości, że zebranie było obserwowane, pośpieszyłem zatem dalej, by zrobić alarm. W lokalu był już Delegat Ratajski, Dyrektor Departamentu Politycznego Piotrowski (pseudo) i Kwieciński. Zanim zdążyłem wyjaśnić o co chodzi, rozległy się dzwonki jeden za drugim i przyszyła po kolei reszta członków PKP. Ci również spostrzegli obserwację i przyszli też po to, by ostrzec innych i odejść. Odroczyliśmy natychmiast zebranie i pierwszy z nas już zmierzał ku drzwiom, gdy rozległ się dzwonek, i za chwilę wpadła przerażona gospodyni: "Niemcy! Wychodźcie tędy..." — i wskazała na boczne drzwi. Złapałem za klamkę — zamknięte. Za chwilę z drugiej strony rozległy się kroki, ktoś przekreślił z tamtej strony klucz i dwóch cywilów z teczkami i oznakami hitlerowskimi w klapach weszło do pokoju. Spojrzeli ostro po wszystkich, rozkazali pozostać na miejscu, bez ruchu, i zapytali po niemiecku, gdzie gospodarz. Na to Kwieciński rozpoczął długie jakieś i zawiłe wyjaśnienie, wyraźnie grając na zwłokę...

Już w pierwszej chwili znalazłem się za plecami przybyszów, wobec czego na palcach przedostałem się przez otwarte drzwi i sąsiedni pokój na korytarz. Manipulowanie przy zamku usłyszała gospodyni i bardzo przytomnie odryglowała mi drzwi. Wszedłem szybko na schody i za parę sekund stanąłem twarzą w twarz z obserwatorem. Był widocznie zaskoczony moim wyjściem, ale nie ruszył się z miejsca, gdy go szybko mijałem. Ta sama historia powtórzyła się w bramie z drugim obserwatorem. Wydostałem się na Marszałkowską, a później Wilczą do Alei Ujazdowskich, nie ścigany przez nikogo.

Później, z opowiadań innych członków PKP dowiedziałem się, że Niemcy ruszyli do telefonu i poinformowali kogoś, że przyłapali większą ilość Polaków na zebraniu. W czasie rozmowy telefonicznej udało się wszystkim umknąć po kolei kuchennymi schodami, podczas, gdy Kwieciński zasłaniał odwrót, zajmując uwagę telefonujących Niemców rozmaitymi pytaniami. Wreszcie, gdy Niemcy zaczęli lustrować mieszkanie, umknął również i on. Wszystko to działo się w lokalu "nadany" przez Kwiecińskiego, który też zachował się dzielnie, jak kapitan na tonącym statku.

Co to była za historia, do dziś dnia nie wiadomo. Osobiście jestem przekonany, że to nie był ani nalot niemiecki, dokonany na upatrzonego, ani żaden przypadek, a tylko jakiś wyczyn podziemnych gangsterów w rodzaju "muszkietierów"*) czy im podobnych.

To było moje ostatnie zetknięcie z PKP, który w dalszym rozwoju wypadków zamienił się na Krajową Reprezentację Polityczną, a ta z kolei na Radę Jedności Narodowej w Kraju.

*) "Muszkietierzy" stanowili nieliczną grupę podziemną, wykonywającą nieraz bardzo ryzykowne akcje przeciwko Gestapo, żandarmerii itd. W czasie akcji występowali w czymś w rodzaju umundurowania, np. skórzane płaszcze i buty z cholewami. Jednocześnie jednak, dla siebie tylko wiadomych celów, dokonywali dywersji wewnątrz polskiego podziemia i jak wykazało śledztwo, oni to na przykład przeprowadzili nalot na lokal Delegatury przy ul. Żurawiej, zabierając dokumenty i pieniądze. Dowództwo tej grupy zostało wystrzelane z zasadzki, zorganizowanej przez Gestapo, przy ul. Wareckiej.

Epilog

Los nie był łaskawy na członków PKP z okresu mego uczestnictwa. Poza Ratajem i Niedziałkowskim, zamordowanymi w Palmirach, pierwszy aresztowany Dębski zginął także, zamordowany przez Gestapo. Zginął również później jego następca Trajdos, schwytyany przez Niemców. Ten sam los spotkał następcę Trajdosa, byłego posta Sachę, doświadczonego, rozważnego polityka, z którym miałem kilka spotkań i rozmów.

Dnia 19 stycznia 1942 roku został aresztowany i wkrótce rozstrzelany redaktor Kwieciński. Ciało jego zostało znalezione dopiero po wojnie w zbiorowej mogile w lesie Kabackim. Schwytyany przez Gestapo w szpitalu, gdzie leżał chory, męczony i torturowany, nie sypnął nikogo i umarł, jak bohater.

W dniu 30 czerwca 1943 roku, o godzinie 10-tej, w mieszkaniu przy ul. Spiskiej 14, został aresztowany przez Gestapo były członek PKP, dowódca AK, generał dywizji Stefan Rowecki. Wywieziony natychmiast z Warszawy do Niemiec, zginął tam, zamordowany, jak wykazują ostatnie badania, w czasie powstania warszawskiego.

Zginął wreszcie Józef Grudziński, mój następca w PKP, zamordowany przez Ukraińców w czasie powstania warszawskiego na Sadybie Oficerskiej.

Zginęła także większość ludzi, których nazwiska w tych wspomnieniach wymieniam. Z pierwszego składu PKP pozostał przy życiu Kazimierz Pużak. W "wyzwolonej, demokratycznej" Polsce człowiek ten, który całe swe życie poświęcił walce o jej wyzwolenie, demokrację i socjalizm, znalazł się w więzieniu, osadzony tam przez tych, którzy śmiały twierdzić, że najlepiej uosabiają najdroższe Pużakowi idee.

Pozostałem wreszcie przy życiu i ja, emigrant w Ameryce, daleki od kraju, ale pełen wiary, że walka o Polskę, której drobny fragment przedstawiłem w tych wspomnieniach, zaprowadzi mnie do niej z powrotem.

Stefan KORBOŃSKI.

Copyright by Stefan Korboński, 1949.

Książki

Hitler i jego szef sztabu

Niemieckie koła wojskowe pierwsze rozpoznały użyteczność zmycia z siebie hitlerowskiej przeszłości i spisania historii, przedstawiającej w powiększonym przybliżeniu rozbieżności, jakie istniały między armią i partią narodowo-socjalistyczną. Celowi temu służyły już różne publikacje niemieckie, ogłoszone przeważnie w Szwajcarii i obliczone w ich *Warheit und Dichtung* na uszy zagranicy. Lansowane obecnie w Anglii i Ameryce projekty ponownego uzbrojenia Niemiec stwarzają dla tego piśmiennictwa i jego autorów szczególnie pomyślną koniunkturę.

Literatura ta z bogaciła się ostatnio o rozprawę gen. Haldera o Hitlerze jako wodzu^{*)}. Urodzony w 1884 w Würzburgu gen. Franz Halder był od 1938 do 1942 szefem sztabu niemieckiego. Na stanowisko to został powołany w kilka miesięcy po objęciu przez Hitlera naczelnego dowództwa sił zbrojnych. Bliskość jego stosunków służbowych z Führerem sprawia, że gen. Halder jest na pewno najbardziej powołany do oceny jego działalności wojskowej.

Książeczka Haldera jest bardzo zwięzła, utrzymana w tonie rzeczowym i pretendującym do obiektywności. Pretensja do obiektywności cechowała prawdopodobnie od 1923 wszystkie rozmowy generatów niemieckich o Hitlerze, mamy więc zapewne przed sobą nie tylko rozprawkę na aktualny temat historyczny, ale także pewnego rodzaju dokument, fragmenty rozumowań i konwersacji niemieckich kół wojskowych z okresu hitlerowskiego.

Przystępując do swego tematu metodycznie, autor usiłuje na wstępie ustalić kryteria oceny. Czasy, kiedy prowadzenie wojny należało wyłącznie do wojskowych, należą jego zdaniem do przeszłości. "Wojna nowożytna wyrosła na walkę ludów, o której wyniku rozstrzyga ogólny wysiłek dowództwa w dziedzinie politycznej, gospodarczej, umysłowej i wojskowej". Takie roz-

^{*)} Franz Halder. *Hitler als Feldherr*. Münchner Dom-Verlag 1949.

szerzenie zakresu działania naczelnego dowództwa daje — teoretycznie przynajmniej — powód do mówienia o Hitlerze jako „największym wodzu wszystkich czasów”. Halder dodaje jednak zaraz, że kumulacja takiej władzy w jednym ręku przekracza możliwości zwykłych śmiertelników.

Powyzsze uwagi wstępne autora objaśniają dlaczego dyktator państwa totalitarnego jest „geniuszem geniuszów” niejako *ex definitione*. W naszych czasach racjonalizmu, kiedy władcy nie mogą się więcej powoływać na boskie pochodzenie, tytuł ten jest niezbędnym i najważniejszym może uprawnieniem do wykonywania władzy absolutnej. „Führer nie może się mylić”, mawiał gen. Keitel. Uwagi te odnoszą się zresztą także do Napoleona.

Halderowska koncepcja wodza o nieograniczonych pełnomocnictwach jest racjonalistyczna. Autor powołuje się na opinię Moltkego, że nawet na najwyższym szczeblu sztuka dowodzenia nie przekracza granic zdrowego rozsądku. Autor nie wątpi również, że trafne rozwiązanie wielkich zagadnień sztuki wojennej nie jest wyłącznym przywilejem wojskowych zawodowych, lecz pozostaje dostępne dla wszystkich.

W tym miejscu jego rozumowania powstaje poważna luka między nadludzkimi wymaganiami, jakim musi sprostać nowożytny wódz o nieograniczonych pełnomocnictwach, i udostępnieniem tego stanowiska wszystkim posiadającym „zdrowy rozsądek”. Gen. Halder nie daje wyraźnej recepty na wypełnienie tej luki. Z całości książeczki wynika jednak jasno, że jego wzorowy wódz może sprostać swym zadaniom jedynie opierając się na współpracy „fachowców”, na swym sztabie generalnym, który stanowi niezbędne uzupełnienie i sekret każdego „geniusza geniuszów”.

Recepta Haldera daje pojęcie o wielkiej roli, jaka w organizacji dyktatury nowożytnej przypada w nieunikniony sposób „specjalistom”. W czasach Napoleona miejsce specjalistów zostało zaledwie naszkicowane. Rozwinięcie ich roli i zakresu działania jest dziełem ostatnich dziesięcioleci.

Powyzsze rozważania ogólne autora są zapewne echem konwersacji, które w 1933 — 1938 poprzedziły podporządkowanie się armii dyktatorowi. Im bardziej totalitarny ustrój, im większa władza dyktatora, im ambitniejsze jego plany, tym trudniej mu się obyć bez wyszkolonych specjalistów wojskowych, mówili sobie zapewne koledzy autora, uważając swój udział we władzy za nieunikniony.

W dalszym ciągu rozprawy autor nie wraca już do aspektów ogólnych zagadnienia, ograniczając się do analizy działalności Hitlera jako naczelnego wodza. Krytyka Haldera idzie w kilku kierunkach. W pierwszej linii zarzuca Hitlerowi dezorganizację centralnego kierownictwa armii. Oto kolejne etapy tego procesu:

W 1939 Polska zostaje od razu wyjęta spod administracji wojskowej. W kilka miesięcy później operacje zbrojne w Norwegii zostają wyłączone z kompetencji dowództwa armii i poddane

osobistemu kierownictwu samego Führera. Takie muż wyłącznie ulegają kolejno operacje w Afryce, w Finlandii i na Bałkanach. W rękach gen. Brauchitscha — do grudnia 1941 naczelnego dowódcy armii — pozostaje tylko front rosyjski. Nie ufający swej generalicji dyktator parceluje i rozbija — podczas toczącej się wojny — centralny ośrodek dyspozycji wojskowej, stworzony wysiłkiem kilku pokoleń. W powstającej stąd próżni narasta groźny chaos, zażegnany przez doraźne improwizacje. W końcowej fazie wojny tworzone pośpiesznie nowe formacje pozostają pod rozkazami miejscowych Gauleiterów. W tym stadium dowództwo wymyka się praktycznie z rąk Führera, który — zamknięty w berlińskim bunkrze — traci łączność z walczącymi wciąż resztkami armii. Z fatalnego bunkra dochodzą od czasu do czasu nieprzytomne i gniewne rozkazy, których w ogólnym zamieszaniu nikt już nie słucha.

Czytelnikowi narzuca się w tym miejscu pytanie, czy taka ewolucja nie jest zjawiskiem towarzyszącym każdej dyktaturze. Już Machiavelli uważał konflikt dyktatora z dowódcą armii za nieunikniony skutek samego mechanizmu władzy absolutnej.

Druga seria uwag krytycznych autora dotyczy kompetencji fachowych Hitlera. Wielkiemu inspiratorowi, „motorowi” wojny — jak go nazywa Halder — brakło osobistego doświadczenia i wiadomości technicznych. W ciągu wojny ostatniej Hitler nie był ani razu w pierwszych liniach i miał o nich pojęcie z okresu znanej mu z doświadczenia wojny pozycyjnej z 1914 — 1918. Halder tłumaczy tym zarządzenia Hitlera, które pociągnęły za sobą najcięższe straty na froncie wschodnim, mianowicie rozkaz trzymania za wszelką cenę zajętego terenu i tworzenie coraz to nowych jednostek strategicznych z nowozaciężnych, zamiast uzupełnienia zdziesiątkowanych dywizji starszych, złożonych z doświadczonych żołnierzy.

Interwencji osobistej Hitlera, opóźniającej operacje jednostek pancernych, przypisuje Halder ocalenie armii angielskiej pod Dunkierką. Interwencje te stają się coraz częstsze w miarę rozwoju operacji na froncie wschodnim. W 1941, wbrew zdaniu swych doradców wojskowych, Hitler każe oddzielić znaczne siły od atakującej Moskwę grupy środkowej, celem okrążenia sił sowieckich pod Kijowem. Operacja ta opóźnia główną rozgrywkę i zdaniem Haldera przesądza o wyniku kampanii. W obliczu niepowodzeń, które pociągnęły za sobą dymisję gen. Brauchitscha, Hitler obejmuje osobiście dowództwo na froncie wschodnim. W krótkiej analizie jego następnych posunięć Halder przedstawia Hitlera jako głównego sprawcę katastrofy wojskowej Niemiec. Podejmując coraz to nowe operacje ekscentryczne, Führer rozprasza swe siły, przygotowuje klęskę armii południowej pod Stalingradem, otoczenie armii północnej w Kurlandii i wreszcie zupełny rozgrom sił niemieckich na froncie wschodnim. Nawet w ostatniej fazie wojny Hitler nie przestaje rozpraszać sił. Tak np. od grupy mającej bronić Berlina oddziela część sił na bezowocną obronę Budapesztu. Dla fa-

chowców wojskowych klęską Niemiec była faktem dokonany już w 1943.

Za główną przyczynę tych błędów Halder uważa brak u Führera zdolności do trzeźwej oceny sił zbrojnych niemieckich w stosunku do stawianych im zadań, mylne oceny sił przeciwnika i *wishful thinking*. Jesienią 1941, to jest w przededniu pierwszych niepowodzeń, Hitler uważa wojnę ze Związkiem Sowieckim za wygraną. W 1942 jest tak pewny natychmiastowego zwycięstwa, że nakazuje zmniejszyć produkcję amunicji i rozpocząć częściową demobilizację. Żadne argumenty doradców wojskowych nie potrafią obalić jego przekonania, że *der Russe ist tot*. Kiedy w 1942 szef sztabu przedkłada mu raport wskazujący, że sowiecki przemysł wojenny wytwarza 1.200 czołgów miesięcznie, i że należy się liczyć z uzupełnieniem armii przeciwnika o dwa miliony świeżych żołnierzy, Führer zbliża się doń z zaciśniętymi pięściami i pianą na ustach, wyprasząc sobie wmawianie weń podobnych niedorzeczności. Raport ten pociągnął za sobą dymisję Haldera ze stanowiska szefa sztabu. Opisana przezeń scena poprzedza zaledwie o kilka miesięcy klęskę pod Stalingradem i wytworzenie się sytuacji przesądzającej o losach wojny.

Ilekróć wojskowi przedstawiają mu niedostateczność niemieckich sił zbrojnych w stosunku do zamierzonych zdań, Hitler odpowiada im, że dalsze wychowanie narodu w duchu narodowo-socjalistycznym i zastąpienie skostniałych w rutynie starszych oficerów przez SS-manów pozwoli Niemcom dotrzeć do wymagań ich posłannictwa. Pożerający Hitlera pośpiech i niecierpliwość nie pozwalają mu na chwilę niezbędnego skupienia, wniknięcie w zamiary przeciwnika i wyczekanie jego posunięć.

Kilkakrotnie podnosi Halder lekceważenie Führera dla życia swych żołnierzy i lekkomyślne szafowanie nim dla prestiżu osobistego. Tak np. w końcu 1941 Führer wstrzymuje zbórkę ciepłej odzieży dla wojska, któremu obiecał powrót na święta do domu.

W wyniku tej analizy Halder odmawia Hitlerowi kwalifikacji na naczelnego wodza. Jego niepokojowi wewnętrznemu przeciwstawia Moltkego, wybierającego spokojnie swe cygaro w krytycznym momencie bitwy pod Sadową, i *fröhliche Unbekümmertheit*, po której Schlieffen poznawał prawdziwych dowódców. Przeciwstawienia te są zresztą mało przekonujące, bo — jak widzieliśmy — Halder złożył był już na wstępie do archiwum wodzów poprzednich pokoleń.

W istocie krytyka jego streszcza się do tego, że Hitler nie doceniał swych generałów i ich wiedzy zawodowej. Gdyby poświęcił więcej uwagi opiniom swego szefa sztabu, byłby zapewne wygrał wojnę, wszystko byłoby O.K., i gen. Halder uważałby go też za "największego wodza wszystkich czasów". Niżej zwrócimy uwagę na elementy oportunistyczne jego krytyki.

Niewielkie wrażenie robią również ostatnie słowa jego rozprawy o "pokornej postawie wobec wyroków Opatrzności" i o

"poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem", bez których autor nie umie sobie wyobrazić żadnego wodza niemieckiego. W słowach tych gen. Halder chciał zapewne wyrazić potępienie dla zuchwałej postawy Hitlera, depczącego wszystkie prawa boskie i ludzkie i — w obliczu bankructwa — kończącego życie wyzywającym gestem samobójstwa.

Takie potępienie Hitlera nie ma większej wagi w ustach jego szefa sztabu, który dla oceny swego Führera posiada tylko kryteria pragmatyczne. Jego własny wzór wodza o nieograniczonych pełnomocniactwach nie zna też żadnych wartości autonomicznych. Jeżeli zatrzymuje się z rewerencją przed Bogiem, czyni to chyba dlatego, że Istota Najwyższa jest jedynym czynnikiem znanego mu świata, uchylającym się od totalnej mobilizacji.

Rozprawa gen. Haldera zwraca na siebie uwagę jako nowa wersja tzw. *Dolchstosslegende*.

Po klęsce 1918 koła wojskowe i nacjonalistyczne zajęły się szerzeniem mniemania, że armia niemiecka nie została pobita w polu, lecz zmuszona do złożenia broni przez zdradę własnych socjalistów, plutokratów, Żydów, masonów i pacyfistów. Gdyby nie zdrada tyłów, Niemcy byłyby wojnę wygrały. Publicyści niemieccy wielokrotnie podnosili rolę, jaką mit zdrady tyłów odegrał w obaleniu Republiki Wejmarskiej i w marszu Niemiec do dyktatury. Nie ma zwycięstwa bez uprzedniego wytepienia zdrady, bez żelaznej dyscypliny wewnętrznej i zamknięcia w obozach koncentracyjnych inaczej myślących. Taki jest sens tzw. *Dolchstosslegende*. Nacjoniści trąbili ją tak długo, aż Hitler zaproponował wyciągnięcie z niej wreszcie właściwych wniosków.

Rooseveltovska polityka kapitulacji bezwarunkowej miała zapobiec wytworzeniu się nowej *Dolchstosslegende*. Niemcy walczyli aż do całkowitego wyczerpania sił, okazali się stroną słabszą i przegrali się po raz drugi, że podbój Europy nie leży w ich możliwościach. Militarizm niemiecki został więc na pozór pozbawiony jedynego celu wartego zachodu i obalony w ten sposób w swych najważniejszych przesłankach.

Od końca wojny minęło jednak kilka lat. Wczorajsi wrogowie Niemiec chcieliby je ponownie uzbroić, przeciągnąć na swoją stronę, wydobyc z nich co się da mięsa armatniego. Uzbrojenie Niemiec jest oczywiście przedsięwzięciem kosztownym. W dniu rozpoczęcia wojny Hitler obliczał, że wydał już na swą armię 90 miliardów marek. Mocarstwa zamierzające uzbroić Niemcy, muszą się więc liczyć z wydatkami tej kategorii. Od kiedy kordełasy i halabardy zastąpiono bardziej skomplikowanym sprzętem, mięso armatnie wymaga bardzo kosztownych przystawek. Aby ofiarodawcy tych przystawek zechcieli sięgnąć do portfeli, musieliby zyskać przekonanie, że pieniądze ich nie pójdą na ponowne uzbrojenie hitlerowców — bo do tego ewolucja pojęć jeszcze nie doszła — i że za tę cenę kupią armię w najlepszym gatunku, która nie rozproszy się pod pierwszym uderzeniem

wroga. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że gen. Halder jest w najlepszych stosunkach ze swymi okupantami, wtajemniczony w ich politykę niemiecką. Książeczkę jego należy więc oceniać z punktu widzenia opisanych wyżej wymagań chwili.

W swej książeczce gen. Halder przeprowadza starannie rozwój Hitlera z armią. W jego wywodach Hitler jest cywilnym przybłądą, pozbawionym wykształcenia i obcym duchowi armii. Nie dopuszczając do głosu fachowców, z jednej strony stawia swej armii zadania fantastyczne i niewykonalne, z drugiej zaś nie potrafi jej wykorzystać dla celów istotnych. Generałowie niemieccy mieli już w swych rękach armię angielską pod Dunkierką, mieli Moskwę, ale rozkazy szalonego gefreitra obróciły w niwecz zwycięstwo. Przegrana wojskowa Niemiec nie była *fair*, bo szaleństwo ich naczelnego wodza stanowiło zbyt ciężki *handicap*. Wynik wojny prowadzonej na dwa fronty pozostaje być może *in dubio*, ale na każdym oddzielnie armia niemiecka była niezwyciężona. Dajcie kompetentnym generałom władzę absolutną w Niemczech i stosowne uzbrojenie, a przyniesiemy wam Moskwę na talerzu. W ten sposób wygracie wojnę w domu, pałac fajki i nie zdejmując nóg ze stołu. Do tego w substancji streszcza się nowa *Dolchstosslegende* i oparta na niej oferta Haldera dla jego okupantów. W książeczce jego uderza, że analiza strategii hitlerowskiej ogranicza się niemal całkowicie do frontu wschodniego.

Ogłaszając swą ofertę drukiem, gen. Halder przekroczył zapewne zapotrzebowania swych chwilowych adresatów. Rozprawa jego będzie z uwagą czytana także na Kremlu, gdzie podobnie umotywowane memoriały składali już prawdopodobnie Paulus i von Seydlitz.

Los jego książeczki nie zależy jednak od najznakomitszych chociażby czytelników zagranicznych, lecz od czytelników niemieckich, do których w pierwszej linii się zwraca. Czy uwierzą nowej *Dolchstosslegende* i czy zechcą raz jeszcze wyciągnąć zeń te same wnioski?

W 1922-1932 poróżnieni między sobą zwycięzcy starali się zaszachować nawzajem odradzającym się militarystem niemieckim. W wyniku tej oportunistycznej polityki zwycięzców losy Europy z dnia na dzień stały się zależne od ewolucji wewnętrznej Niemiec, na które spadła przerastająca je odpowiedzialność. W ówczesnej sytuacji militaryści niemieccy mogli grać o wielką stawkę i pociągnąć za sobą tłum niezdecydowanych.

W osłabionej i podzielonej na strefy wpływów Europie dzisiejszej powrót do podobnej sytuacji jest mało prawdopodobny. Niemniej jednak wiele zależy znów od ewolucji wewnętrznej Niemiec. O "wychowaniu" ich przez okupantów nie ma więcej mowy. Niemcy wyrosli z dziecinnych majtek i mogą sami ocenić nową *Dolchstosslegende*, nawet gdyby ten twór wyobraźni stanął przed nimi podparty autorytetem największych mocarstw. Od ich oceny zależy, czy rozprawa Haldera będzie ważnym fak-

tem politycznym czy tylko dokumentem i drukiem pośród druków.

Niezależnie od swych celów i losów, książeczka Haldera jest ważnym świadectwem o czasach, które opisuje, i środowisku, w którym powstała.

Najbardziej uderzającym faktem w relacji Haldera jest rodzaj półmroku umysłowego, w którym przebiegają opisane przezeń wypadki. George Orwell niesłusznie przenosi dopiero na przyszłe pokolenia narodziny *doublethink*'u, myślenia podwójnego, pozwalającego żyć w nieustannej i wielostronnej sprzeczności z samym sobą. Odsłaniając myśli i kalkulacje generalicji niemieckiej z okresu ostatniej wojny, gen. Halder wprowadza nas do prawdziwej akademii *doublethink*'u.

Przyjrzyjmy się jego głównym rysom.

Z różnych świadectw wiadomo, że już w 1940 wielu wyższych oficerów niemieckich uświadomiło sobie sens stojącej przed nimi alternatywy: w razie zwycięstwa zostaną powieszani przez Hitlera, który — w wyniku opisanego już przez Machiavellego mechanizmu władzy — nie będzie mógł tolerować obok siebie zwycięskich generałów; w razie przegranej — wobec trybu prowadzenia wojny — zostaną powieszani przez zwycięzców. W notatniku z 1940 znajdują nawet wyraz "powieszeni", użyty przez niemieckiego oficera mówiącego o powyższych przewidywaniach. Proroczy ten wyraz uderzył mnie już wówczas ze względu na to, że egzekucje osób wojskowych wykonywane są tradycyjnie przez rozstrzelanie.

Mimo trafnego rozpoznania przyszłości, marsz generałów niemieckich do szubienicy odbywa się w największym porządku, ze wszystkimi orderami, w wyprasowanych mundurach, z zachowaniem wzorowej dyscypliny i ofiarności osobistej. Zaledwie mała garstka koło admirała Canarisa organizuje zdradę i przygotowuje się do oderwania od nieludzkiego régime'u. Poza paru wyjątkami nikt nie uważa udziału w tym ponurym marszu za coś uwłaczającego jego godności lub inteligencji.

Jak objaśnić podobną rozbieżność między rozpoznaniem sytuacji i zachowaniem się? Zamroczenie fanatyzmem narodowo-socjalistycznym ogarnęło wówczas sfery wojskowe w stopniu nie mniejszym od innych grup ludzkości. Być może więc wielu wyższych wojskowych sądziło, że — nawet ginąc z ręki Führera — dostarczą ojczyźnie upragnionego *Lebensraumu*, oczyszczonego od Żydów i innych ras niższych, za co zostaną kiedyś zrehabilitowani przez niemiecką potomność.

O wątpliwościach tego okresu relacja Haldera nie nie mówi. Powołany wówczas na stanowisko szefa sztabu, gen. Halder znajdował się *in floribus* na samym wierzchołku hierarchii i widział zapewne wszystko oczami swego Führera. Jak widać z jego rozprawy, wątpliwości zrodziły się w nim dopiero w dwa lata później, w 1942, w formie najbardziej dotkliwej dla myślenia pragmatycznego. Błędy zasadnicze, rozstrzygające o losach

wojny, zostały już wówczas popełnione na froncie wschodnim. Sam miraż zwycięstwa zaczął rozwiewać się w jego oczach. Dalsza wojna nie miała sensu. Dla ocalenia pozostałych jeszcze szans zwycięstwa, gen. Halder zdobywa się na akt odwagi cywilnej, ośmiela się być innego zdania od swego Führera i traci w ten sposób stanowisko. W 1943 losy wojny są jego zdaniem przesądzone, i faktu tego nie można więcej ukryć wobec kół wojskowych.

W tym okresie *doublethink* musiał osiągnąć w armii niemieckiej ogromne rozpowszechnienie i znaczny stopień doskonałości. Według świadectwa Haldera znaczna część oficerów musiała już wiedzieć, że wojna jest przegrana i dalszy jej bieg może przynieść tylko całkowitą ruinę kraju. Równie wielu musiała zdawać sobie sprawę, że Hitler i członkowie partii, obciążeni tyłu zbrodniami, nie mają widoków na układy pokojowe i muszą bronić nagiego życia, wciągając cały kraj w swą partyjną katastrofę. W obliczu przegranej, dyscyplina armii jest często ważnym atutem w rokowaniach pokojowych. W danym wypadku możliwości te nie wchodziły więcej w rachubę.

Mimo to wojsko zachowuje się tak, jak gdyby to wszystko nie było wiadome. *Heil Hitler* rozbrzmiewa głośniejsz niż kiedykolwiek. Całe armie giną okrążone na straconych pozycjach, na których znalazły się z rozkazu pseudo-stratega. Wiedzieć i nie wiedzieć jednocześnie, znać prawdziwe oblicze rzeczywistości i wyciągać konsekwencje tylko z obrazu urojonego, ginąć zarazem za ojczyznę i za niuch tabaki — wszystko to są niewątpliwe znamiona konfuzji myśli.

Na olbrzymi zasięg tego stanu konfuzji wskazuje sam nawet zamach z 20 lipca 1944. Garstce tragicznych generałów nie udaje się pociągnąć za sobą nawet jednego plutonu armii, zaplątanej w sieć sprzecznych pojęć i uczuć.

Konfuzja bowiem uczuć w owych latach wydaje się nie mniejsza od konfuzji myśli. Pomieszanie i współistnienie wykluczających się na pozór uczuć dochodzi do stopnia, który przedtem uważano za właściwy tylko dla opisów skrajnych stanów pobudliwości erotycznej:

*Odi et amo. Qua re id faciam fortasse requiris;
Nescio sed fieri sentio et excruciar.* (Catullus)

Konfuzja niemiecka dotyczy w pierwszym rzędzie przedmiotu uczuć. Oficerowie niemieccy — jak pisze H. O. von der Gablenz — chcieli dotrzymać zwarowanemu gefreitrowi wierności, którą ślubowali swym chrześcijańskim monarchom. Stąpamy tu po terenie przypominającym germańskie misteria średniowiecza. Piękna kobieta zmieniała się w kościotrupa z Hackenkreuzem. Zamiast, żegnając się krzyżem świętym, oderwać się od zjawy, oficerowie niemieccy całowali dalej — z oddaniem i zgrozą zarazem — łysą czaszkę trupa, pokrytą resztkami zbutwiałych loków. Mikstura ze sprzecznych uczuć euforii, zachwyty, oddania, lojalności, troski, zwątpienia, przerażenia, zgrozy, pogardy

i nienawiści, będąca strawą duchową armii i ludności niemieckiej w latach wojny, jest zjawiskiem wyjątkowym w historii Europy. W patrzącym na nie rodzi się wątpliwość, czy Niemcy należą do formacji zachodniej. Wątpliwości takie znajdujemy też u dzisiejszych autorów niemieckich.

W rozprawie gen. Haldera uważny czytelnik dostrzeże liczne ślady ówczesnego zamętu pojęć i uczuć. Wyczuwamy u niego pewnego rodzaju olśnienie wyjątkowością zjawiska, jakim był Hitler, i gigantyzmem perspektyw, jakie pojawienie się jego otworzyło przed Niemcami, rewerencję dla naczelnego wodza, zmaganie się z utratą złudzeń i wreszcie całkowite potępienie Führera. Wszystkie te sądy i uczucia przeplatają się w niedługim tekście, który zachowuje jaką taką ciągłość tylko dzięki rezerwie tonu i oględnemu doborowi słów. Nie wahamy się więc rozpoznać w autorze jednego z magistrów niemieckiego *doublethink'u*. Gen. Halder zdaje się obracać jak ryba w wodzie w półmroku umysłowym i moralnym owych lat. Rozumiemy też, dlaczego uszedł losu nieszczęśliwych spiskowców z 20 lipca.

Ekipa publicystów, przeważnie anglosaskich, zajęta jest dziś ekshumacją i rehabilitacją niemieckich generałów z okresu hitlerowskiego. Całe to prasowanie wypłowiących mundurów i glansowanie butów wojskowych podjęte zostało z uwagi na zamierzone odtworzenie armii niemieckiej i powierzenie jej ważnych zadań w systemie obrony Europy Zachodniej. Pasowanie niemieckich doktorów *doublethink'u* na obrońców cywilizacji zachodniej, od czasów greckich zamięłwanej w jasności i precyzji myśli, byłoby jednym z najlepszych figłów naszych czasów.

Jeżeli strona groteskowa tej sprawy uchodzi powszechnej uwadze, dzieje się to zapewne dlatego, że *doublethink* nie jest wcale najnowszym wynalazkiem, lecz trawi już od dawna starą Europę i przestał nawet dziwić ponad miarę. Prawdziwy *prodromos* i Jan Chrzciciel *doublethink'u* był historykiem i archeologiem, hellenizantem i arabizantem jednego z najstarszych uniwersytetów. Mamy tu na myśli sławnego płk. T. E. Lawrence'a, którego rodzaj spowiedzi publicznej pt. *Seven pillars of Wisdom* słynnym tytułem pretenduje do klasycyzmu.

W celu oderwania Arabów od Turcji, Lawrence został wysłany do króla Hedżazu z obietnicami, których rząd brytyjski nie zamierzał honorować, o czym Lawrence dowiedział się w swoim czasie od przełożonych. Wiadomość ta wywołuje w nim sprzeczne uczucia, których współistnienie może służyć za pierwszy wzór nowożytnego *doublethink'u*. Lawrence wie, że oszukuje arabskich książąt, ale zachowuje się tak, jak gdyby tego nie wiedział; żywi szczerą i nieco romantyczną sympatię dla swych arabskich przyjaźni, których nie przestaje zwodzić; czuje pogardę i obrzydzenie dla swej misji, którą najskrupulatniej wypełnia. Gdy wreszcie jakiś angielski oficer w Damaszku, biorąc go w przebraniu za Araba, uderza go w twarz, Lawrence przyjmuje ten cios z pokorą jako symboliczne zakończenie jego przygód w Arabii. Stronice książki poświęcone jego własnej osobie

mają w sobie coś śliniącego się i mizernego. Czytelnikowi przychodzi na myśl, że zadania w rodzaju misji Lawrence'a w Arabii powinny być powierzane lotrom bardziej zdecydowanym, umiejącym z szykiem obnosić elegancje grzechu śmiertelnego.

Kilka lat przed wojną przeczytałem w artykule Dawida Garnett'a, że T. E. Lawrence jest ulubionym bohaterem młodzieży angielskiej. Po przezwyciężeniu pierwszej konsternacji zrozumiałem, że od Cezara Borgii lotrostwo bardzo podupało w manierach. Demokratyzacja Europy nie sprzyja widocznie temu sposobowi bycia. Ochotników wprawdzie jest wielu, ale są to drobne rybki, zaplątane w sieciach podwójnego myślenia, pełne doktrynerstwa i okrucieństwa, ale jednocześnie gotowe do kania się, łez i zaprzaństwa, nade wszystko zaś do służenia.

Paweł HOSTOWIEC.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO
NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

*We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać
się do wymienionej firmy*

Pochlebcy znużenia

A więc Anglia zredukowana została do tzw. “Pasa Nr 1”. Świat rozpadł się na Oceanię i Eurazję, dwa państwa giganty wyznające “neo-bolszewizm”. Mimo to oba państwa nienawidzą się nawzajem podobnie jak Tito ze Stalinem w przebrzmiałej epoce lat 1948/49. Postrach wszystkich budzi nie staroświeckie NKWD lecz “Thinkpol” (Policja Myśli), która przy pomocy specjalnych aparatów “telescreen” wykrywa zbrodnie myślowe obywateli. Dozwolone jest tylko myślenie mechaniczne — wszelkie inne kwafilikuje obywatela do komór ciśnieniowych, w których przemienia się ludzi w nieszkodliwy obłok pary wodnej.

Tak oto widzi świat w latach 1950-60 George Orwell w swej nowo wydanej powieści pt. “Nineteen Eighty Four”. Ten sam George Orwell, który napisał głośną i doskonałą “Animal Farm”.

Aldous Huxley'a “Ape and Essence” jest zbyt znaną książką i zbyt wiele o niej pisano, by jeszcze raz przytaczać koszmarną wizję przyszłości, którą odmalowuje.

Przykładów, niestety, jest wiele. Można by przypomnieć pełne rozpaczcy wyznanie H. G. Wellsa, który umarł w niewierze w przyszłość naszej cywilizacji — nie widząc dla niej zbawienia ani ratunku.

Historycy, którzy w dobie obecnej coraz częściej poświęcają swe pióro zagadnieniom współczesnym i aktualnym — kończą nieodmiennie swe wywody równie pesymistycznie. Profesor E. L. Woodward w kwietniowym numerze “International Affairs” (wydawnictwo: Royal Institute of International Affairs), pisząc o dziedzictwie kulturalnym Zachodu, wypowiada w związku z ewentualną wojną takie zdanie: “Musimy zadać pytanie czy potrafimy obronić zachodnią cywilizację nie mając pewności czy zwycięstwo nie będzie równie całkowitą klęską jak przegrana, z tym, że w razie obrony agonია byłaby dłuższa. Muszę przyznać — pisze profesor Woodward — że nie umiem dać odpowiedzi na to finalne pytanie.”

Pod koniec cytowanego artykułu wybitny uczony brytyjski wyraża opinię, że jednak — jeżeli chodzi o jego prywatne zdanie — powinniśmy, mając do wyboru: poddać się bez walki, lub podjąć wojnę — zdecydować się na wojnę. W jakim celu? — zapyta czytelnik. Czy po to by przedłużyć agonię? Profesor Woodward odpowiada na to łacińskim cytatem: fiat justitia et pereat mundus (niech stanie się sprawiedliwość i zginie świat).

Tak oto cofnęliśmy się o 949 lat i podobnie jak w roku pańskim tysięcznym oczekujemy końca świata. A przecież mamy w rękę wszystko, nawet klucz do owego “końca świata” — bombę atomową — brak nam tylko wizji Jutra, dla której warto byłoby żyć.

Zamiast wizji produkujemy utopie. Są one różne. Polityczne, literackie, ekonomiczne itd. Za jedną z najdziwniejszych z tego

gatunku uważam Emery Revesa "The Anatomy of Peace". Dziwna jest ta książka dlatego, że napisana przez wybitnego ekonomistę, prawnika i publicystę politycznego, nosi jednak piętno utopii wbrew oczywistym zamierzeniom autora. Emery Reves — wychowanek berlińskiego i paryskiego uniwersytetu, doktor nauk ekonomiczno-politycznych uniwersytetu w Zurychu, jest wcieleniem logiki, a jego książka stanowi wzór zwięzłości i ideał konstrukcji. A jednak i jego umysł zawodzi całkowicie tam, gdzie temat zbliża się do wielkiego "tabu" naszej epoki.

Tytuły zasadniczych rozdziałów książki mówią same za siebie: "Upadek Kapitalizmu", "Upadek Socjalizmu", "Upadek Religii", "Fałsz Internacjonalizmu", "Fałsz zasady samostanowienia narodów", "Fałsz zasady zbiorowego bezpieczeństwa".

Jeżeli wszystko jest "fałszem" albo "masą upadłościową" — coż pozostało?

Zdaniem Reves'a kardynalne instytucje naszej cywilizacji zawiodły, bo w ich ramach nie zdołaliśmy zaprowadzić ładu międzynarodowego, a tym samym wymazać z dziejów człowieka wszelkich wojen. Trwały, wieczysty pokój, zdaniem autora, jest do osiągnięcia jedynie na drodze prawnej. Prawo dzungli w życiu narodów musi być zastąpione kodeksem międzynarodowym, który by normował życie narodów analogicznie jak systemy prawne regulują życie obywateli w ramach suwerennych państw. Jednym słowem, wyjściem z obecnego chaosu jest stworzenie państwa światowego, którego wzorem winny być Stany Zjednoczone, gdzie w harmonijnej zgodzie żyją, pracują i czują się szczęśliwi Polak obok Niemca — Francuz obok Hiszpana, Chińczyk obok Japończyka itd.

Można z taką koncepcją zgadzać się lub nie — nie mniej logika jest jeszcze ciągle sojuszniką autora.

A teraz zapytajmy, jak Reves zamierza realizować swój program?

Swój plan działania autor ujmuje w 5 punktach: 1. Poczęcie Idei — proklamacja zasad — stworzenie doktryny. 2. Doktryna winna być rozpowszechniana w ten sam sposób jak Chrześcijaństwo, demokracja i wszystkie inne wielkie doktryny, które osiągnęły sukces i powodzenie. 3. Gdy punkt 2 zostanie zrealizowany, należy przystąpić do wyboru reprezentantów narodów. 4 i 5: Przekazanie władzy wybranym reprezentantom, którzy przystąpią do wypracowania światowej konstytucji, na mocy której powołany zostanie światowy rząd.

W tym oto miejscu, na ostatnich czterech stronach potężnego tomu — kończy się logiczny prawnik i ekonomista, a zaczyna... utopista.

A więc tak: Chrześcijaństwo wprawdzie całkowicie "zbankrowało", niemniej Reves sądzi, że jego program winien być w ten sam sposób zaprezentowany ludzkości jak Chrześcijaństwo. Czy zatem pan Reves przypuszcza, że to (co jego zdaniem) nie powiodło się Chrystusowi — powiedzie się jemu? Myśląc logicznie, tak należałoby wnioskować.

Czy autor uważa, że ludzie po przeczytaniu jego książki odrzucą setki istotnych różnic i krzywd, które ich dzielą i zawiążą ligę celem realizacji jego programu, głosząc "The Anatomy of Peace" — nową, prawdziwszą od poprzednich — ewangelię?

Jest zupełnie wykluczone, aby Reves, świetny prawnik i ekonomista, tak sądził. Historia nie dostarcza ani jednego przykładu, który by go uprawniał do nadziei, że jego doktryna dobrowolnie przyjęta zostanie przez ludzkość. Owe wyśnione Stany Zjednoczone, gdzie zrealizowano zjednoczenie różnych narodów i kultur, ową jedność okupiły morzem krwi wojen cywilnych. Był czas, że w Anglii było siedmiu saksońskich królów, wojujących ustawicznie między sobą. Zjawił się zza morza obcy książę, podbił wszystkich siedmiu i zaprowadził jedność, która do dziś dnia jest błogosławieństwem wysp brytyjskich.

Zjednoczenie osiągane było zawsze siłą — nigdy namową, perswazją czy jakimkolwiek apostołstwem. Historia, podobnie jak filozofia, nie daje wprawdzie gotowych odpowiedzi na konkretne pytania, studium jej jednak rzuca światło na ewolucję pewnych prądów i ich zasadnicze kierunki.

Świat zmierza do jedności, bo taka jest logika rozwoju. Już druga wojna światowa była w pewnym sensie wojną przeciwko granicom. Niemcy dążyli do narzucenia światu "Pax Germanica" i to było ich celem wojennym Nr 1. W wyniku klęski, Niemcy odpadły, a na widowni pozostały już tylko dwa gigantyczne kompleksy scaleniowe — Anglosasi i Rosja. Następną rundą zadecyduje w którym wydaniu ukaże się pierwszy w dziejach ludzkości "rząd światowy".

Ale pytanie, które mnie interesuje, brzmi: dlaczego Reves do końca nie pozostał logiczny — dlaczego swoje poważne studium zamienił na jeszcze jedną fantastyczną i naiwną utopię? Dlaczego, zamiast pretendować do ewangelicznej drogi, jaką by odbyć miała jego książka, skupiając wokół siebie maluczkich — nie napisał po prostu: są dwie rywalizujące ze sobą koncepcje urządzenia świata — komunistyczna i zachodnia. Strona, która zwycięży w tym sporze, niewątpliwie narzuci wszystkim swą doktrynę.

Reves nie zakończył logicznie swej książki, bo nie chciał dotknąć wielkiego "tabu". Jesteśmy opętami neurozą, a neuroza niesie ze sobą zakazy i tabu. Rynek nie chce takich książek, artykułów czy utopii, które zawierałyby aluzję do wojny, które mówiłyby, że droga do jedności świata i wieczystego, nienaruszalnego pokoju będzie — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — identyczna jak ta, która wiodła do jedności Stanów Zjednoczonych czy do jedności Anglii. Pisać w ten sposób byłoby równoznaczne z łamaniem tabu, a tabu łamać nie wolno, nawet, gdyby to okupione być miało łamańcem psychologicznym, granicznym z nonsensem.

Tak oto powstała sytuacja całkowicie paradoksalna. Ostatecznie my wynaleźliśmy broń atomową. Wynalazek ten

jakby nagle obrócił się przeciwko nam. Wojna właśnie, dzięki bombie atomowej, urosła w opinii Zachodu do apokaliptycznego końca świata. Co więcej, ten apokaliptyczny kataklizm służy za argument, że obrona miałaby właściwie tylko sens moralno-teoretyczny, bo i tak wszystko by się skończyło, a powała świata zwałiby się na głowy zarówno zwycięzców jak i zwyciężonych.

Nikt z czytelników Aldous Huxley'a czy George Orwell'a nie zapytał: dlaczego to my, dzierżyciele bomby atomowej, ewentualną trzecią wojnę światową mamy przegrać? Czyż nie potrafilibyśmy tak "wydżozować" bombardowań atomowych (gdyby w ogóle do tego doszło!) aby nie dopuścić do apokaliptycznego końca świata i cywilizacji? Wszak premierę tego widowiska mamy już za sobą.

Znacznie logiczniejszą byłaby przesłanka, że grupa państw, posiadająca tak nieodpartą i definitywną broń, jak bomba atomowa, pokusi się wymusić na atomowo-bezbronnym przeciwniku — kapitulację. Jeżeli nie całkowitą kapitulację, to bardzo daleko idące ustępstwa. Gdyby znaczny procent ludzi na Zachodzie i w Stanach Zjednoczonych tak prymitywnie rozumował, byłby to tok myślowy bez porównania bardziej normalny i zdrowszy niż produkowane legendy o końcu świata i cywilizacji.

Niewątpliwie charakterystycznym objawem jest fakt, że owe utopie, o których mówimy — są albo tchórzliwie wykrętne, albo negatywne, odmalowujące grozę kataklizmu i bezmiar totalnego nicstwa. Nie ma książek, które byłyby próbą odtworzenia zwycięstwa, które stawiałyby przed nami wizję zjednoczonego świata wolnego od lęku, od NKWD i nędzy, opartego o fundament kultury, z której wyrosłszy.

Na dnie tego procesu leży wielkie znużenie. Pokój, ów "pięcioprzymiotnikowy" pokój, zapewniający wolność od strachu, nędzy, prześladowań politycznych itd. — jest tą najdalszą z utopii i najtrudniejszą. Bez porównania bliższy i łatwiejszy do realizacji jest po prostu... spokój.

Po wojnach, niepokojach i socjalnych reformach, pragnienie spokoju dominuje nad wszystkim. Ten nurt jest dokładnie rejestrowany przez wszystkie agencje prasowe, literackie, filmowe itd., które rozporządzają szeroko rozbudowanymi aparatami do sondowania nastrojów i opinii tzw. szarego człowieka, który dany towar kupuje lub nie. W periodykach fachowych, poświęconych analizie rynku prasowego i literackiego, zestawia się "tabu" i oświetla koniunkturę dla użytku ludzi pióra. Nie można pisać wbrew wymogom rynku, bo nic się nie wydrukuje i nic się nie sprzeda. Rzeczy znanych i oczywistych w ogóle się nie porusza. Sądzi się bowiem, że gentleman, który zawodowo trudni się pisaniem, zna rynek i jego wymagania. Periodyki fachowe mają na celu szczegółową specyfikację rynku i tylko charakterystyczne dla danego środowiska "tabu" bywają omawiane. (Np. "tabu" rynków amerykańskich).

Studium rynku literackiego od strony jego wewnętrznego mechanizmu jest zajęciem bardzo pouczającym.

Ludzie są zbyt znużeni, by myśleć o... pokoju. Samo słowo kojarzy się z ideą olbrzymiego wysiłku i jest w dzisiejszych warunkach symbolem ofensywy.

Książki takie, jak cytowana Orwell'a, czy Huxley'a "Ape and Essence" w gruncie rzeczy schlebiają filozofii znużenia. Czytelnik nasyciwszy się koszmarem atomowym i jego skutkami — kiwa głową i myśli utwierdzony i rozgrzeszony: "No tak, oczywiście — "to" do niczego mądrego by nie prowadziło. Musimy cierpliwie organizować życie i bronić tego, co pozostało jeszcze w naszych rękach".

To jest filozofia starszego gentlemana o zrujnowanym sercu, który zachorował na ślepą kizkę. Operacja byłaby jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji — ale operacja go przeraża. "Już dość przeszedłem w życiu — jeszcze operację będę sobie fundował" — myśli starszy pan i decyduje się na jałową, przykrą dietę, na spokojny tryb życia bez wstrząsów — ufając, że z operacji jakoś się wykpi. Wie, że bez operacji już nigdy nie powróci do pełni zdrowia i sił i do dobrego humoru. Ale operacja... operacja mogłaby się skończyć fatalnie.

Czasem i taki pogląd może być słuszny. Bismarck zauważył, że polityka jest grą rzeczy możliwych i osiągalnych. Tylko ci, co znają dokładnie pojemność "źródeł możliwości" ocenić mogą co jest osiągalne.

Zasada ta może w pewnych okresach wydawać dobre owoce w polityce — stosowana jednak w piśmiennictwie, przekreśla rolę literatury i wypacza jej "misję".

Przed kilku dniami natrafiłem na takie zdanie w Shelley'u: "Wielcy pisarze naszej epoki są "towarzyszami" trudnych do wyobrażenia przemian... chmura ich ducha wyładuje zebrany w niej elektryczny nabój i wówczas przywrócona zostanie równowaga między ich opinią a instytucjami naszego życia".

Tak pisał Shelley w roku pańskim 1818.

Niestety współcześni nam pisarze Zachodu są zadziwiająco zgodni z "instytucjami" naszego życia i nieskłonni do "rozładowywania chmury ducha". I dlatego trudno oprzeć się wrażeniu, że współczesna literatura kończy się tam, gdzie nowa literatura, na którą czekamy, winna się zacząć. Historyk dziejów kultury patrzy na publicystykę, literaturę, muzykę czy malarstwo inaczej niż krytyk. Dla niego ważne będzie prawo integralizmu, które mówi, że wszystkie zjawiska kulturalne danego okresu stanowią organiczną całość i podlegają wspólnemu rytmowi rozwoju.

Dlatego jeżeli z Zachodu wyjść ma prąd myślowy, który przyszy historyk przeciwstawi kryzysowi chwili obecnej — ów prąd zacząć się winien w literaturze.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Kronika kulturalna

Na scenach paryskich

Kilka lat temu sztuki Claudela uważane były za nie nadające się do wystawienia na scenie teatru. Dziś Claudela grają trzy duże teatry paryskie równocześnie. Jest to w dużej mierze zasługą Jean-Louis Barrault. Gdy w roku 1943 zapowiedziano pierwsze przedstawienie "Le Soulier de Satin", nikt prawie nie wierzył w możliwość powodzenia. Wystarczy rzucić okiem na tekst sztuki, ażeby zdać sobie sprawę z trudności, jakie stanęły przed reżyserem: 445 stron druku, 50 długich scen podzielonych, podobnie jak w dawnym teatrze hiszpańskim, na cztery dni. Akcja prowadzi nas, z pogwałceniem wszelkich klasycznych zasad sztuki dramatycznej, z Maroka poprzez Hiszpanię, Neapol, Pragę, Amerykę Południową na wyspy Balearskie, i obejmuje okres dwudziestu kilku lat. "Le Soulier de Satin" grany w całości zająłby co najmniej trzy dni od rana do wieczora. Trzeba było niespożytej energii i entuzjazmu Jean-Louis Barrault, ażeby doprowadzić do premiery. Sztukę zredukowano do 38 scen, ujętych w dwie części. Całość zajmuje około 4 i ½ godzin. Poświęcono prawie cały trzeci i czwarty dzień.

Od pierwszego dnia, sukces był ogromny. Publiczność paryska "odkryła" Claudela. Walki o niepodległość Francji i kryzys Komedii Francuskiej przerwały przedstawienia "Le Soulier de Satin" i dopiero w kwietniu br. administracja zdecydowała się na wznowienie. Zachowano wiernie inscenizację z 1943 r. Przeprowadzono natomiast pewne zmiany w tekście. Obciążono ostatnią scenę sprzedaży Rodryga siostrą miłosierdzia, tak, że przedstawienie kończy się dziś na statku u wybrzeży Maroka w chwili, kiedy Rodryg bierze pod opiekę córkę Dona Prouhèse. Akcja staje się w ten sposób bardziej zrozumiała, choć pierwotna konstrukcja sztuki zostaje zwichnięta.

W dwadzieścia lat po "Partage de Midi" Claudel podejmuje raz jeszcze ten sam temat w "Le Soulier de Satin". Dona Prouhèse, związana nierozzerwalnym węzłem małżeńskim z Don Pe-

lage, kocha Rodryga. W przeciwieństwie do Ysé, nie ulegnie ona jednak pokusom tego świata. Oddaje się pod opiekę Matce Bożej i za każdym razem, gdy kochankowie mają się połączyć, Opatrzność unicestwia ich zamiary. Prawdziwa miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą nie może być urzeczywistniona na tym świecie. W "Partage de Midi" miłość ta staje się źródłem grzechu, w "Le Soulier de Satin" to samo uczucie jest drogą do zbawienia. Znakomita inscenizacja prowadzi nas w doskonałym rytmie dookoła świata. Ani przez chwilę przedstawienie nie wydaje się za długie. Rola Dona Prouhèse jest już dziś własnością Marie Bell. Nikt nie potrafi jej dziś tak zagrać. Cały zespół Komedii Francuskiej z Jean Chevrier i Aimé Clariond na czele zasługuje na pochwałę.

"Le Pain Dur", wystawiony po raz pierwszy we Francji przez André Barsacq w teatrze Atelier, jest wraz z "Le Soulier de Satin" i "Partage de Midi" trzecią sztuką Claudela, graną w tym roku na scenach paryskich. "Le Pain Dur" jest drugą częścią trylogii, której początek stanowi "l'Otage", a zakończenie — "Le Père Humilié". Akcja dramatu toczy się podczas panowania Ludwika Filipa. Jest to epoka, w której, jak pisze Claudel w przedmowie do pierwszego wydania, wznastający kapitalizm złamał bariery społeczne, w której rasy i klasy spotkały się po raz pierwszy. Jest to epoka, w której Żydzi wyszli z ghetta, epoka rozwoju kolei i imperializmu kolonialnego, epoka wreszcie, w której w Polsce zawiązują się, po upadku powstania listopadowego, nowe konspiracje przeciwko mocarstwom zaborczym. Na tym tle rozgrywa się dramat pomiędzy Toussain Tourelure, przedstawicielem wzbogaconej burżuazji, jego synem Ludwikiem, jednym z pionierów kolonizacji francuskiej w Algierze, Żydówką Schisel, starającą się za wszelką cenę znaleźć miejsce w tworzącym się społeczeństwie, oraz młodą Polką Lumir, walczącą o niepodległość swego kraju. Wszystkie te osoby prowadzą grę dla zdobycia pieniędzy, niezbędnych dla urzeczywistnienia swych planów. Dla pieniędzy Ludwik zabije swego ojca, dla pieniędzy Lumir weźmie udział w zamordowaniu starego Tourelure. *Bóg Claudela ciąży nad dramatem całym ciężarem swej nieobecności.*

"Le Pain Dur" stanowi wyjątek w twórczości dramatycznej Claudela. Jest to jedyna może jego sztuka, w której klasyczne zasady zostały zachowane. Jedność czasu, akcji i miejsca są ściśle przestrzegane. Intryga jest dobrze zawiązana i przeprowadzona. Od początku do końca sztuka jest jasna, prosta i nie wymaga żadnych komentarzy. Inscenizacja i dekoracje André Barsacq, jak zawsze, bez zarzutu. Toussain Tourelure jest jedną z najlepszych kreacji Pierre Renoir. Jany Holt (Lumir), Germaine Montero (Schisel) i Paul Oetly bez zarzutu.

Jean Giraudoux zawsze z zamiłowaniem studiował literaturę niemiecką. Legendy z życia rycerzy niemieckich miały wyraźny wpływ na jego twórczość dramatyczną. Pierwsza jego sztuka no-

si tytuł "Siegfried". Jedna z ostatnich — wystawiona po raz pierwszy w maju 1939 r. — "Ondine", oparta jest na opowiadaniu La Motte Fouque, niemieckiego pisarza pochodzenia francuskiego. W sztukach Giraudoux, tak jak w niemieckich legendach średniowiecznych, przeznaczenie unicestwienia wszelkie poczynania bohaterów. Z przeznaczeniem tym na próżno starają się walczyć Hans i Ondine. Pierwszy akt pełen jest nadziei, w drugim los, w postaci króla świata podwodnego, powoli i nieubłaganie prowadzi nas do tragicznego rozwiązania trzeciego aktu. Sztuka oddaje wiernie atmosferę opowiadania średniowiecznego. Wprowadzenie elementów legendy, jak np. pojawianie się postaci nadprzyrodzonych daje reżyserowi możliwość wykorzystania całej swej wirtuozyj. Bojąc się najwidoczniej, ażeby znakomity tekst Giraudoux nie zagubił się w bogatej i pełnej pomysłowości inscenizacji, Jouvét nadał przedstawieniu ton recytacji, który chwilami przechodzi w deklamację. Jest to na dłuższą metę nieco nużące. Pomimo małych niedociągnięć, wznowienie "Ondine" jest niewątpliwie jednym z najlepszych przedstawień ubiegłego sezonu. W 1939 r. rolę Ondine grała Madeleine Ozeray. Był to jeden z jej największych sukcesów. Dziś miejsce jej zajęła Dominique Blanchar. Doskonała dykcja i inteligentna gra w drugim i trzecim akcie pozwalają zapomnieć o małych niedociągnięciach w pierwszym. Wśród zespołu z przyjemnością zauważyliśmy utalentowaną artystkę pochodzenia polskiego, p. Wandę Małachowską, występującą pod pseudonimem Wanda.

W "Fils de Personne" Henri de Montherlant przedstawił nam postać adwokata, George Carrion, który spotkawszy przypadkiem na stacji métro w Paryżu swą dawną kochankę i swego naturalnego syna Gillou postanawia go wychowywać i doprowadzić do ideału, jaki sobie stworzył. Po kilku miesiącach zanudzenia małego Gillou maksymami i długimi dyskusjami dochodzi do wniosku, że syn jego nigdy nie potrafi się wybić ponad przeciętność. Gillou wydostaje się spod opieki ojca i wraz z matką wyjeżdża do strefy okupowanej przez Niemców.

"Demain il fera Jour" jest dalszym ciągiem "Fils de Personne". W trzech krótkich aktach Montherlant opowiada nam, jak to w 1944 roku George Carrion spotyka po raz drugi swego syna. Przez cztery lata Carrion współpracował z Niemcami. Uwolnienie Francji jest już kwestią tygodni. Carrion boi się, że niedługo będzie musiał zdać rachunek ze swego postępowania podczas okupacji. Dzięki jego namowom Gillou, który ma już prawie osiemnaście lat, wstępuje do organizacji ruchu oporu. Carrion ma nadzieję, że dzięki bohaterstwu syna zostaną mu darowane jego własne przewinienia. Gillou zostanie zabity i ostatnie sceny odsłaniają nam całą pustkę duchową wyrodnego ojca. Wielka szkoda, że Montherlant nie wybrał innego sposobu rozprawienia się z osobami, które współpracowały z Niemcami podczas okupacji. Sztuka brzmi fałszywie i wyraźnie przypomina "Pièces à Thèse" w najgorszym tego słowa znaczeniu. "Fils de

Personne" stanowi całość samą dla siebie. O dalszym ciągu należy jak najszybciej zapomnieć.

17 nowych sztuk znalazło się w ubiegłym sezonie na scenach paryskich. Sacha Guitry dwukrotnie próbował odzyskać utraczone powodzenie i dwukrotnie próby te zakończyły się katastrofą. Dwie nudne i przegadane komedie po kilku tygodniach zostały zdjęte z afisza. Podobny los spotkał dziwołag dramatyczny Curzio Malaparte "Das Kapital". Trudno zrozumieć, co skłoniło dyr. Théâtre de Paris i p. Pierre Dux do zajęcia się tego rodzaju tworem. Krótka jednoaktówka tegoż autora, grana przez kilka tygodni w teatrze Michodière ostatecznie przekonała nas, że Malaparte nie zna najbardziej podstawowych zasad sztuki dramatycznej. Należy mu życzyć, ażeby jak najprędzej zaniechał tego rodzaju twórczości. "Les Oeufs de l'Autruche" André Roussain jest niewątpliwie, obok "Ardèle et la Marguerite" Anouilh'a, najlepszą komedią ubiegłego sezonu. André Roussain z każdym rokiem zyskuje na popularności. "La Petite Hutte" grana jest od dwóch lat przy wyprzedanej do ostatniego miejsca sali. Wszystko wskazuje na to, że powodzenie "Les Oeufs de l'Autruche" będzie jeszcze dłuższe. Pierwsza lekka komedia Henry Troyat "Sébastien" nie spotkała się z większym oddźwiękiem i po kilku tygodniach zakończyła swój żywot, prawdopodobnie raz na zawsze. "Les Bonnes Cartes" żywo i dobrze napisana komedia Marcela Thiébaud cieszyła się natomiast przez kilka miesięcy zasłużonym powodzeniem pomimo wyraźnego niezadowolenia niektórych krytyków teatralnych. Zjadliwa satyra na stosunki panujące w powojennej prasie francuskiej najwyraźniej popsuła humor niektórym dyrektorom dzienników. "Haute Surveillance" Jean Genet wywołała ożywioną polemikę pomiędzy J. J. Gautier i Jean Marchat. Dowodzi to, że sztuka nie przeszła nieopatrzenie, czego nie można, niestety, powiedzieć o bezpretensjonalnej komedii Louis Ducreux "Le Roi est Mort".

Komisja, która przyznaje młodemu autorowi nagrodę za pierwszy utwór dramatyczny, ukoronowała tego roku długi i nudny dziwołag Julien Grecq pt. "Le Roi Pécheur". Pomimo starannej inscenizacji i dobrej obsady, po kilkunastu dniach musiano przerwać przedstawienia z powodu braku widzów.

Trzy lata temu Raymond Rouleau wystawił w teatrze Oeuvre "Virage Dangereux" L. B. Priestley'a. Duże zrozumienie teatru i wartości scenicznej sztuki zapewniły autorowi długie powodzenie. W tym roku inna sztuka tego autora "Un Inspecteur Vous Demande" (An Inspector Calls) dała Studio des Champs Elysées długą serię przedstawień. Dalsza kariera Priestley'a na scenach paryskich wydaje się być zapewniona.

Jedną z charakterystycznych cech ostatniego roku teatralnego jest powrót do komedii burżuazyjnej z końca ubiegłego stulecia. Bezpośrednio po wojnie można było zauważyć podobną

tendencję w dekoracji wnętrz. Meble "Restauration", Louis Philippe i "Second Empire" były poszukiwane w szerokich sferach burżuazji francuskiej. Po meblach przyszła moda na różne przedmioty, służące do dekoracji wnętrz. Tapety, bibeloty, porcelana z pierwszej połowy XIX w. były rozchwytywane. Zeszłego roku moda kobieca wyraźnie wzorowała się na sukniach, noszonych swego czasu na dworze cesarzowej Eugenii. Dziś przyszła kolej na teatr. Niezależnie od mody, powrót do teatru XIX wieku ma jeszcze jedno uzasadnienie. Wystawienie sztuki młodego i nieznanego autora jest przedsięwzięciem nader ryzykownym. Podatki obciążają budżety teatrów do tego stopnia, że dla zamortyzowania kosztów zmontowania nowego przedstawienia dyrektor musi mieć zapewnione długie tygodnie powodzenia. Dlatego też wznowienie sztuk, które swego czasu cieszyły się dużym powodzeniem jest z punktu widzenia finansowego znacznie pewniejsze niż niebezpieczne eksperymenty z nieznanymi autorami.

Z początkiem tego roku Komedia Francuska z dużym nakładem wysiłków wznowiła "Roi" Gaston Cavaillet i Robert de Flers. Jest to sztuka, która swego czasu — około czterdziestu lat temu — odniosła zupełnie wyjątkowy sukces. Znakomita satyra polityczna, pełna aluzji, przez długie miesiące nie schodziła ze scen teatrów bulwarowych. Dziś satyra straciła dużo ze swej aktualności. Pozostała dobra i zabawna komedia. Kilkadziesiąt teatrów paryskich nie może równocześnie grać Claudela, Moliere lub Montherlanta.

"La Parisienne" Henry Becq'a można już dziś zaliczyć w poczet klasyków. Sztuka uchodzić może za wzór komedii burżuazyjnej. Znakomity dialog, dobra konstrukcja, zręcznie zarysowane charaktery, wysuwają "La Parisienne" na czoło teatru XIX wieku. Nad wyraz trudną rolę Clotilde powierzono pani Vera Korène. Z zadania tego wywiązała się ona, jak zawsze, znakomicie. "La Parisienne" poprzedza krótka jednoaktówka Jules Renard pt. "Le Plaisir de Rompre". Julien Bertheau i Germaine Rouer stworzyli z tej bezpretensjonalnej komedyjki małe arcydzieło. Ogółem jeden z najlepszych wieczorów w tym roku w Komedii Francuskiej.

Pierre Dux wybrał dla Théâtre de Paris inną sztukę Robert de Flers, napisaną tym razem przy współpracy Francis de Croset: "Les Vignes du Seigneur". Publiczność całkowicie potwierdziła ten wybór tłumnie wypełniając co wieczór salę teatru. Podobnym powodzeniem ukoronowana została znakomita inscenizacja "Les Gaietés de l'Escadron" Georges Courteline w wykonaniu Compagnie Hussenot-Grenier.

Na zakończenie słów kilka o Komedii Francuskiej. W tym roku repertuar obejmował dwadzieścia trzy przedstawienia. Wśród nich jedna premiera ("Les Femmes de Bœuf" Audiberti) i szereg wznowień, o których przeważnie pisaliśmy już w innym

miejsu. Pozostaje repertuar klasyczny. Nowymi inscenizacjami "Monsieur de Pourceaugnac" i "Fedry" zajęliśmy się już kilka miesięcy temu. Wspomnieć należy jeszcze o inscenizacji "Ava-re", która odniosła ogromny sukces podczas pierwszych, po wojnie, występów Komedii Francuskiej we Włoszech. Trudno nie zrobić przy tym porównania z inną farsą Moliere, "Les Fourberies de Scapin", graną równocześnie w Teatrze J. L. Barrault. W Komedii Francuskiej Jean Meyer stara się uwydatnić wartości tekstu i oddać atmosferę środowiska, które Moliere chciał przedstawić. Pomimo to przedstawienie toczy się w dobrym rytmie i ani przez chwilę nie jest nudne. Inscenizacja J. L. Barrault i Jouvet daleka jest od tego ideału. Dialog Moliere gubi się w pantomimie i rytm przedstawienia jest zwichnięty. Z porównania tego raz jeszcze wynika, że sztuka klasyczna nigdy i pod żadnym pozorem nie może stać się pretekstem dla wykazania wirtuozji reżysera. Granie Racina, Moliere czy Szekspira wymaga od całego zespołu dużej kultury literackiej i znajomości epoki. Jest to jedna z podstawowych zasad teatru.

Tadeusz HEINRICH.

Przegląd teatralny miał się ukazać w numerze wrześniowym „Kultury” i nie został zamieszczony ze względów technicznych. Dlatego nie obejmuje rozpoczynającego się sezonu.

TEKI HISTORYCZNE

kwartalnik,

wydawany przez Polskie Towarzystwo Historyczne
w Wielkiej Brytanii.

Ostatni zeszyt, podwójny, za styczeń-czerwiec b. r. przynosi następujące rozprawy: RED.: "Wrocławski kongres historyczny"; LEON KOCZY: "Relacja o Słowianach Ibrahima ibn Jakuba"; MARIAN KUKIEL: "O Kościuszkę"; EDMUND OPPMAN: "Powojenna historiografia brytyjska, francuska i polska wobec "Wiosny Ludów", oraz działy: recenzji, wspomnień pośmiertnych i kroniki.

Cena zeszytu 3 sh. Prenumerata roczna 12 sh.

Do nabycia w polskich księgarniach oraz w administracji:
Polish Historical Society, c/o 20 Princes Gate, London SW7

« Rozmowy o języku »

O żywej, potocznej mowie polskiej przynosi nam wieść książka Witolda Doroszewskiego pt. „Rozmowy o języku”.

Wydana w Warszawie w 1948 r. przez Radiowy Instytut Wydawniczy jako tom 4/5 Biblioteki popularno-naukowej Polskiego Radia, jest zbiorem luźnych pogadań i objaśnień językowych, które w ostatnich latach wygłosił przed mikrofonem profesor języka polskiego na Uniwersytecie Warszawskim i długoletni kierownik językowej skrzynki zapytań w radiu warszawskim — Witold Doroszewski.

Nieduża ta książka jest ciekawa i potrzebna wszystkim Polakom, gdziekolwiek żyją. „Widzimy świat poprzez wyrazy naszego języka — mówi autor — i przeżywamy kompleksy specyficznych wrzuseń związanych z pewnymi wyrazami, a nie znanych ludziom, nie znającym tych wyrazów... W języku na każdym kroku spotykamy się z tym, o czym pisał jeden z lekarzy, profesor Uniwersytetu Curie-Skłodowskiej w Lublinie, dr Fleck, mianowicie ze swoistym stylem myślowym. Ta właśnie strona języka jest społecznie najważniejsza i dlatego aktywna postawa myślowa wobec zagadnień językowych, nawet najbardziej zdawałoby się powszechnych, jest pewnym obowiązkiem społecznym.

Jak kiedyś pisał wielki językoznawca polski Baudouin de Courtenay: „Człowiek ma nie tylko prawo, ale i obowiązek doskonalenia swoich narzędzi społecznych” (s. 102-3).

Przytoczone słowa najlepiej oddają znaczenie książki, zwłaszcza dla Polaków, żyjących z dala od kraju i ojczyzny, pozbawionych bezpośredniego kontaktu z nurtem życia narodu, z ośrodkami pracy badawczej i stowarzyszeniami szerzącymi kulturę języka.

Lata wędrówki i przebywania wśród obcojęzycznego otoczenia sprowadziły nie tylko najazd obcych wyrazów i zwrotów do polskiego języka, ale stępiły poczucie normy językowej, tak że często przestajemy wyczuwać, co jest błędne, a co poprawne i właściwe.

Zjawisko to jest niebezpieczne, tym bardziej, że nie mamy na emigracji czynnika czuwającego nad czystością języka, a zainteresowanie się ogółu ojczystą mową jest bardzo nikielnie i słab-

nie coraz bardziej. Zwraca się ono natomiast w stronę języka tego kraju, w którym żyjemy, zwłaszcza, że opanowanie go jest jednym ze składników walki o egzystencję polskiego uchodźcy.

Działalność prof. Witolda Doroszewskiego jako popularyzatora idei poprawności języka jest doskonałym wzorem pracy, która promieniuje i wciąga w zakres zainteresowań nad językiem ludzi ze wszystkich środowisk. Zdobycze wiedzy językoznawczej przekazuje on w formie interesującej, przystępnej i jasnej. Sledzi wraz ze słuchaczem i czytelnikiem zjawiska językowe i pomaga w ten sposób poznać własny język. Nie omawia zagadnień oderwanych, ale przedstawia wyrazy i zwroty w rozwoju ich znaczenia i formy, w roli ich w zdaniu. Dzięki temu odzwierciedlają się w języku momenty historyczne, kulturalne i socjologiczne. Rozważa on powstawanie, życie i przemijanie wyrazów i form w pewnej realnej sytuacji, w pewnym określonym środowisku i w oznaczonym okresie czasu.

Analiza wyrazów w takim oświetleniu pozwala zrozumieć błędy i wnikać w naturalne tendencje i zwyczaje języka. Tą drogą zbliża nas autor „Rozmów o języku” do zrozumienia dróg rozwojowych żywego polskiego języka, a przez to do istotnych zmian, jakie zachodzą w życiu narodu.

Charakterystyczne właściwości mowy potocznej chwyta na gorąco, bezpośrednio ze skrzynki zapytań, dokąd skierowują swe wątpliwości i uwagi na temat zjawisk spotykanych w codziennym życiu lub zaobserwowanych wśród otoczenia, liczni słuchacze radiowych pogadań.

Dlatego właśnie temat tej książki, choć bardzo różnorodny i przypadkowy, jest bliski i swojski. Czytelnik nie tylko oczyma śledzi treść stronic, ale słyszy prawie żywy dźwięk mowy i obcuje z gwarną gromadą wyrazów, jak ze znajomymi, przybyłymi do nas w „Rozmowach o języku”.

Rozważania swe zamknął autor w trzech rozdziałach książki. W pierwszym rozdziale: „Rzeczy ogólne” przedstawia obrazowo i barwnie, na czym polega istota i piękno języka, wskazuje na ogromną rolę ukochanej Warszawy w kształtowaniu, badaniu i pielęgnowaniu polskiego języka, omawia podstawową zasadę pisowni polskiej, ogłoszonej w 1936 r. przez Komitet Ortograficzny Polskiej Akademii Umiejętności, określając ją jako zasadę fonetyczno-morfologiczną — o ilez bardziej postępową, prostszą i bliską współczesnemu językowi od tradycyjnej ortografii angielskiej i francuskiej. Zwraca uwagę na aktualne dla nas dziś zagadnienie pisowni i wymowy nazwisk i nazw obcych oraz na słownictwo powstałe podczas wojny.

W tym rozdziale omawia autor również pewne zjawiska z zakresu wahań mowy potocznej. Bardzo ciekawa jest sprawa żeńskich form tytułów i zawodów. W życiu współczesnym szerzy się dążność do nierozróżniania tytułów i nazw zawodów mężczyzn od takich nazw kobiet. Mówi się: pani doktor, pani profesor, a nawet często: pani sekretarz lub referent, pani X, kierownik.

Zagadnienie to wybitnie nowoczesne, związane z coraz szer-

szym udziałem kobiet w życiu i pracy zawodowej, było wielokrotnie omawiane na łamach „Języka Polskiego”.

Autor przedstawia dwie tendencje w dzisiejszej mowie polskiej, przejawiające się także w innych językach europejskich. Jedna, zgodnie z tradycją, dąży do zaznaczenia rodzaju i odmiany, jak pani **doktor**, doktorowa, **referentka**, druga pomija rodzaj, często odmianę, a uwydatnia tylko wykonywaną **funkcję społeczną**, słyszy się często: **pani doktor**, choć spotyka się rzadziej formy odmiennie: z **panią profesorem** itd.

W następnym rozdziale: „Użycie polskich wyrazów i zwrotów” rozpatruje na materiale słownikowym całą gamę odchyleń i wahań mowy potocznej, przejawiających się w treści, formie lub funkcji rodzimych wyrazów i zwrotów.

W końcowym ustępie: „Wyrazy obce, ich pochodzenie, znaczenie i formy” rzuca autor ciekawe światło na zapożyczane wyrazy w naszym języku, na ich drogę przybycia i proces ich zadomowienia się w polskiej mowie. Dotyka przy tym bardzo żywego zagadnienia wpływu techniki, nauk ścisłych i polityki na międzynarodowe słownictwo świata cywilizowanego.

Indeks wyrazów dołączony na końcu książki rejestruje omówiony materiał (1100 wyrazów) i daje jasny przegląd tematów.

Prof. Zenon Klemensiewicz w recenzji o tej książce*) zaznaczył, że ukazała się ona bardzo na czasie, gdyż język kulturalny wymaga obecnej czujnej opieki ze względu na „niepokojące objawy zaniedbań językowych, a zwłaszcza na obojętną na nie postawę społeczeństwa”. Przyczyny obniżenia polszczyzny kulturalnej lat bieżących widzi Z. K. nie tylko w ciężkich warunkach życia Polaków w czasie okupacji, kiedy represje Niemców utrudniały metodyczną naukę języka w szkołach i tępiły wszelki ruch wydawniczy i czytelnictwo, ale i w późniejszych wędrówkach ludności, w powstawaniu mieszanych dialektycznie skupisk i w zwiększonym udziale ludowego języka w życiu kulturalnym narodu. Niepokoi go ubóstwo i niski poziom języka młodzieży, zastrzega się jednak, że nie występuje przeciw jędrnym i soczystym wyrażeniom, które wzbogacają język, ale razi go „trywialność wyrażań — a jest ich sporo — które językowi dzisiejszemu nadają piętno”. Jeszcze groźniejsze są objawy zaburzeń w układzie języka, widoczne w „rozchwianiu normy językowej”, co uderzyło tak wyraźnie autora „Rozmów o języku”, gdy przysłuchiwał się jednej inteligentkiej rozmowie.

Witold Doroszewski niewątpliwie podziela troski swego kolegi, ale broni swych czytelników i słuchaczy przed „katastrofistami”, widzającymi w zjawiskach przemijających trwałe przejawy rozkładu czy upadku języka. Wbrew pesymistycznym przewidywaniom, że język upada czy cofa się. W. Doroszewski twierdzi, że w perspektywie historii język rozwija się i ulepsza i procesu tego czasu nam najbliższe nie przerywają (s. 37).

*) *Język Polski*, Organ Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, r. XVIII, nr 3, Kraków, 1948, s. 86-9.

Sądy obydwu językoznawców są bardzo charakterystyczne i rzucają światło na koleje współczesnego żywego języka w Kraju.

Witold Doroszewski w artykule pt. „Uczucia a myśl w języku i w nauczaniu języka” (s. 26-30), występuje przeciw nadmiernej podkreślanemu wyrazu uczucia w nauczaniu języka w szkole. Czyż można zgodzić się na sąd autora: „Język jest strukturą, emocje zaś nie mają siły konstrukcyjnej. Język jest przede wszystkim narzędziem myśli i jako narzędzie myśli doskonalili się w ciągu wieków, na czym też polega postęp w jego rozwoju” (s. 30). Po pierwsze podręczniki gramatyki polskiej, zwłaszcza dla szkół średnich, jak „Język Polski” Zenona Klemensiewicza, uczą myślenia o zjawiskach językowych i kategoriach gramatycznych, w których wszystkie przeżycia duchowe, a więc i uczucia, znajdują swój wyraz. Po drugie racjonalistyczne stanowisko autora jest może obroną ładu myślenia w języku, nie pokrywa się jednak z jego wypowiedziami w innych artykułach książki. W pięknym artykule „Czasu wojny” (s. 15-20), poświęconym wspomnieniom uczonych i przyjaciół języka polskiego, którzy zginęli w Warszawie, autor przedstawia niemiecki plan niszczenia, skierowany nie tylko przeciw ludziom, ale przeciw wszelkim wartościom kulturalnym, do których w pierwszym rzędzie należy język. „Cios najważniejszy miał uderzyć w wolę tych, którzy tym językiem mówią i wytworzyć w nich kompleks niższości wobec mówiących „pańskim” językiem niemieckim... Język polski pozostał dla nas tym czym był. Ośrodki woli polskiej w tym zakresie zostały nienaruszone” (s. 19). „Każda praca włożona w język to pewien wkład do sprawy, która wszystkich nas w równej mierze obchodzi, mianowicie do sprawy dobrego funkcjonowania trybów językowego mechanizmu, który jest przecież mechanizmem wciągającym w siebie wszystkie nasze myśli i uczucia” (podkreślenie moje, s. 55). Zestawione sądy autora wskazują wyraźnie, że w języku widzi on odzwierciedlenie nie tylko myśli, ale wszystkich doznań psychicznych i wyraźnie podkreśla wpływ woli na kształtowanie i zachowanie języka.

W takim razie wszystkie przeżycia psychiczne, wyrażone w języku, powinny być odpowiednio wyjaśnione i ukazane uczniom.

Nawiasowo wspomnę, że sprawa istoty i pochodzenia języka jest dziś jednym z podstawowych zagadnień filozofii i nauk humanistycznych. Bronisław Malinowski, zmarły w 1942 r. świetny etnograf i socjolog, profesor Uniwersytetu Londyńskiego, dochodzi do przekonania na podstawie badań w terenie prymitywnej kultury ludów egzotycznych, że o znaczeniu wyrazu należy zawsze wnioskować nie na podstawie biernego rozważania danego wyrazu, ale drogą analizy jego funkcji w odniesieniu do danej kultury. (The meaning of a word must be always gathered not from passive contemplation of this word,

but from an analysis of its function with reference to the given cultur). (s. 296)*).

Ten wypadek na stronę teorii języka pozwala nieco szerzej spojrzeć na materiał zebrany w omawianej książce. W zmienności i trwałości znaczenia i form wyrazów odzwierciedlają się właśnie te znamienne momenty historyczno-kulturalne odbite w języku. „Rozmowy o języku” przynoszą bardzo bogaty materiał, przedstawiający różnorodne przyczyny powstawania, zanikania i mieszania się obocznych form i znaczeń w języku.

Np. dawniej oboczność form przymiotników, jak **pełen**, **pełny**, **gotów**, **gotowy** była ściśle rozgraniczona; forma rzeczownikowa przymiotnika, jak **pełen** była częścią orzeczenia, druga forma przymiotnikowa: **pełny** występowała jako przydawka. Dziś pierwsza forma ginie, wypieraną coraz silniej i powszechniej przez formę złożoną przymiotnika **pełny**, -a, -e. Przytoczone powiedzenie: „Jechał wóz pełen rzeczy zamiast... pełny rzeczy” (s. 112), ilustruje to zjawisko. Również mieszają się w żywej mowie przypadki nazw krajów, jak: **Włoch**, **Włoszech**, **Niemiec**, **Niemczech**. Spotyka się powiedzenie: „jadę do Włoszech” lub wróciłem z **Niemczech**” zamiast „do Włoch”, „z Niemiec” (s. 113). Świadczy to o tym, że starsza forma miejscownika na -ech słabnie i wdiera się w miejsce innego przypadku dopełniacza, czyli „że przestaje być rozumiana, a tym samym potrzebna” (s. 114).

Z odmiennej dziedziny wahań językowych notuje autor wyrażenia z przyimkiem **dla**, który zjawia się często zamiast **do**, jak „maszyna **dla** wyrobu pustaków” zamiast „**do** wyrobu pustaków”. Obydwa przyimki są bliskoznaczne, gdyż **dla** oznacza cel, przeznaczenie, a **do** kierunek czynności, stąd „zazębiają się o siebie”. Witold Doroszewski przytoczył szereg przykładów z zakresu słownictwa bliskoznacznych wyrazów, zwłaszcza na określenie jakości, w których rozgraniczenia znaczenia lub odcienia pojęcia, nie jest ani powszechne, ani wyraźne. Historyczny rozwój wyrazów, przedstawiony na przykładach takich, jak **dziecinny** i **dziecięcy** (s. 177-180), **pisemny** i **piśmienny** (s. 140-1), **rodzinny** i **rodzimy** (s. 146), **możność** i **możliwość** (s. 131) ilustruje stopniowe różnicowanie tych tematycznie pokrewnych form, dawniej równoznacznych, w kierunku ściślejszego określenia znaczenia, wracając do przyimka **dla** i jego roli we współczesnej polszczyźnie, trudno nie zaznaczyć jego wszechobylstwa. Wciska się on coraz częściej tam, gdzie go nie trzeba, np.: „w wydziale **dla** kształcenia nauczycieli” (s. 115) zamiast „w wydziale kształcenia nauczycieli” lub „Państwowa Centrala **dla** Handlu”, zamiast „Centrala Handlu”. Ta żywotność przyimka **dla** wpływa częściowo, jak to zaznaczył również przytoczony A. Gawroński w „Szkicach Języko-

* **Rozmowy o języku**: O wymowie i odmianie nazwisk cudzoziemskich (niesłowiańskich, s. 47-55). Wymowa i odmiana nazwisk rosyjskich (s. 56-61). O sposobie pisania nazw i nazwisk cudzoziemskich (s. 62-5).

znawczych”, ze wzmożonej roli przyimków w związku z słabnącym znaczeniem przypadków w języku polskim. Proces podobny odbył się już w historii języków germańskich i francuskim.

W wielu wypadkach różnice prowincjonalne czy społeczne wpływają na istnienie form obocznych w języku, np. Warszawa mówi **na wskroś**, Kraków **na wskroś** (s. 133-4), ludność mieszkająca nad Bugiem mówi **do Buga**, w jęz. literackim przeważa forma **Bugu** (s. 136) itd.



Witold Doroszewski poświęca parę obszerniejszych artykułów sprawie wymowy, odmiany i pisowni nazwisk i nazw cudzoziemskich. Należy ona do tych zagadnień, z którymi codziennie się stykamy i która Polakom przebywającym za granicą sprawia wiele kłopotów w życiu codziennym.

Trudniej jest ustalić, jak należy wymawiać, niż jak pisać nazwy obce. Szczególnie trudno z góry określić, jaką postać przyjmie obca nazwa osobowa i miejscowa w języku, do którego wchodzi.

W języku polskim istnieją dwie tendencje: jedna powszechna i znana we wszystkich innych językach, dąży do przyswajania nazw obcych według własnych reguł danego języka, druga zmierza do zachowania niezmięnionej, oryginalnej postaci nazw obcych.

Toteż prof. K. Nitsch, którego sąd podzielałam w zupełności, w „Języku Polskim” (r. XVIII, nr. 1, 1948, s. 31) daje na podobne zapytania w sprawie odmiany nazwy obcej odpowiedź jasną i bezsporną. Brzmi ona tak: „Gdzież jest zasada, by nazwa obcego pochodzenia miała się po polsku nie odmieniać i dlaczego tylko jako nazwa miejscowa lub jako jej część, skoro odmienia się jako osobowa? Nieodmienne z konieczności muszą pozostać nazwy nie dające się nagiąć do żadnego polskiego typu, np. rumuńskie na — u. Nieodmianie nazw na — o, jak modne dziś w dziennikach **bitwa pod Lenino**, jest po prostu błędem językowym, powstałym przez bezmyślne naśladowanie zwyczaju obcego i skoro mówimy **pod Opoczmem**, to i **pod Leninem**. Pewna część inteligencji, zwłaszcza znająca obce języki, w ślad za drukiem dąży do zachowania oryginalnego brzmienia nazw i nazwisk obcych, szczególnie świeżo zapożyczonych.

Nazwiska osób przyswajają się istotnie o wiele szybciej aniżeli nazwy miejscowe. Masowo w piśmie i mowie inteligencji występują nieodmienne formy nazw na — o.

W pewnym polskim towarzystwie w Londynie wyrażono zdziwienie: jakto, czyż można odmieniać **Picasso** i powiedzieć **Picassowi**?”

W „Dzienniku Polskim”, r. 10, n. 119, Londyn, z dnia 19 maja

1949, w dziale „Listy do Redakcji”, ktoś pisze: „...o artykule „Prawdy”, wymyślającym Tito (czy Titowi?)...”*)

W. Doroszewski uważa, że pożądane jest zachowanie wymowy i formy bez odmiany nazwisk obcych i wskazane jest pozostawienie ich oryginalnej pisowni, zgodnej z przepisami ortograficznymi P.A.U. Oczywiście w stanowisku autora gra rolę moment kulturalny. Przejawia się on w poszanowaniu indywidualnego dobra człowieka, jakim jest jego nazwisko oraz dążność do ujednostajnienia jego brzmienia i pisowni zgodnie z „ogólnymi prądami kultury” (s. 65).

Faktem jest niezaprzeczalnym, że ogół mówiących w każdym języku przyswaja nazwy miejscowe i osobowe według własnych wzorów.

Dla oświetlenia tej sprawy z innego punktu widzenia przytoczę garść przykładów, ilustrujących formy zapożyczenia nazw obcych, które wpływają do języka polskiego wśród obcego otoczenia.

Nazwiska osób i nazwy miejscowości, które w czasie wojny i po wojnie weszły do języka polskiego, przedstawiają mozaikę różnorodnych sposobów i stopni asymilacji.

Bogaty przegląd nazw osobowych i miejscowości z całego szlaku wędrówki żołnierza od Rosji do Anglii znajdujemy w książce gen. W. Andersa: „Bez ostatniego rozdziału”. (Montgomeryshire Printing, 1949, 8 s. 447).

Otóż w przytoczonych tu wojskowych rozkazach, w pismach oficjalnych, jak i w tekście książki nazwy te ukazują się w dwojakiej postaci: raz odmiennej, jak: ...spotkałem się z **Willkiem** (nazwisko brzmi w mian. Willkie), (s. 176), ...marszałkowi **Alan Brooke'owi** (s. 356), .. pod dowództwem gen. **Gale'a** (s. 204), ...rozmowa z **La Guardia** (s. 421) i nazwy miejscowe: ... do obozu w **Tockom** (!) (s. 84), ...bitwa pod **Anconą** (s. 25), w **Casercie** (s. 330), nawet ... a **Monte Cassina** nie zdobyliśmy (s. 222), drugi raz nieodmiennej: należą tu przede wszystkim niektóre nazwiska obcego typu zakończone na — l, — e: Oświetliłem gen. **Leese** (s. 210), kardynałowi **Marmaggi** oraz nuncjuszowi **Cortesi** (s. 246) chociaż **Mussoliniemu** (!) i nazwy miejscowe najczęściej zakończone na —o, jak ...po silnym bombardowaniu **Cassino** (s. 224), doliną **Rapido** (s. 226), zdobycie portu **Ancona** (s. 225), rozpoznając rzekę **Foglià** (s. 290), wróciłem do **Jangi-Jul** (s. 159), w **Guzar** (s. 159), w **Szachrziab** (s. 159), w obozie **Quassasin** (s. 204). Podobną odmianę spotykamy w wielu czasopismach i wydawnictwach z czasu wojny i po wojnie. Język potoczny przełamał schemat drukowanego słowa i rozkazu wojskowego. Mówiło się najczęściej: w **Jang(i)julu**, **Szachrziabzie** (lub -sie), w **Dzalał-Abadzie**, we **Wrewsku**, w **Tocku**,

*) Dodać muszę, że „Dziennik Polski” zachowuje nieodmienną postać angielskich nazw miejscowych, tak że nawet Glasgow przestał się odmieniać, natomiast nazwy osobowe obce odmieniają się. Tito odmienia się jak Kościuszko.

w **Guzarze**, w **Gazirze**, pod **Gazalą**, w **Tel-Awiiwie**, a nawet w **Einkaremie**, do **Einkaremu**, obok w **Einkarem**, w **Kasas(s)inie**, obok w **Kasas(s)in**, w **Tel-el-Kebirze** lub w **Tel-el-Kebir**. Stale przyswajano i odmieniano nazwy na -a, jak **Gaza**, **Bolonia** itd. Zgodnie z powszechnym obyczajem języka wielu żołnierzy mówili: pod **Kassinem**, pod **Monte Kassinem**. W Londynie bardzo rozmaicie mówią Polacy o dzielnicach miasta: na **Egertonie**, albo na **Edzertonie** (tam znajdował się Gen. Inspektorat P. K. P. R.), na **Wimbledon** lub **Wimbledonie**, na **Erls-Kort**, na **Erls-Korcie** (ang. **Earls-Court**), (gdyż tam dłużej i liczniej mieszkają Polacy), ale stale słyszy się: na **Brompton**, **Hendon** itd.

Pobieżnie bardzo powyżej przytoczone przeze mnie obce nazwy osobowe i miejscowe występują w języku równocześnie w podwójnej formie, co świadczy, że przyswajanie nazw zależy od częstości ich użycia i swojskości lub obojętności brzmienia końcówek. To pierwsze stadium pojawiania się ich w języku dowodzi, że duży wpływ na formę zapożyczeń ma też środowisko kulturalne i język kraju, z którego dane wyrazy bezpośrednio wchodzi do języka polskiego. Tak pod wpływem rozpowszechnionej na Wschodzie angielskiej formy na -o (**Cairo**), „starpolski” **Kair**, -u, cytowany tak u **Lindego** — zamienił się w czasie wojny na **Kairo**, -a, lub przybrał w ustach Polaków żyjących na Sr. Wsch. postać nieodmienną: jadę do **Kairo**, byłem w **Kairo**.

Bardzo interesujące są artykuły książki poświęconej historii wyrazów, które w żywej współczesnej mowie zmieniły znaczenie i w związku z nową sytuacją życiową zyskały nową treść. Są one dokumentem chwili i należy je notować nie tylko ze względu na rozwój słownictwa, ale i ze względu na momenty historyczno-kulturalne, odbite w tych wyrazach... „bo trzeba rejestrować i chwycić na taśmę historyczną, to, co się dzieje w naszych oczach, to, co jest dla nas życiem samym, a dla naszych następców będzie już tylko historią, więc bądź co bądź echem zaledwie czy cieniem, a nie pełną rzeczywistością” (s. 85). Gdy myślę o tych wskazówkach autora, przypominam sobie, jak wiele wyrazów powstałych w dziejach wojny i po wojnie w różnych ośrodkach życia Polaków, dziś już poszło w niepamięć i uleciało z wiatrem. Wyrazy bowiem wychodzą z obiegu, gdy zanika pewna forma życia lub przestają istnieć warunki, które je zrodziły.

Źródłem twórczym powstawania nowych znaczeń wyrazów jest mowa ludu miast odmienna od poprawnego języka warstw kulturalnych. Mówi o niej autor w artykule pt. „Język Warszawy”, nazywając gwarę Warszawy **wiechem** od nazwiska autora **Wiecha**, który upowszechnił ją już przed wojną, a w czasie wojny używał jej bardzo popularnego stylu i charakterystycznych powłodeń. Wiele nowych wyrazów powstało w walczącej Warszawie i obiegały one wszystkie warstwy społeczne stolicy, jednocząc je i krzepiąc swymi dosadnymi i jędrnymi określenia-

mi, dynamiką optymizmu i humoru. Powodzenie swe i popularność zawdzięczają wyrażenia Wiecha temu, że są bezpośrednie i świeże, że „odbijają od wszelkiej mowy uroczystej, koturnowej, wyszukanej, poważnie urzędowej, zhieratyzowanej” (s. 11).

To samo zjawisko obserwujemy we wszystkich językach Europy. Angielski slang, wchłaniający bez wyboru zwroty i słowa amerykańskie, wciska się do prasy, literatury, mowy codziennej warstw kulturalnych, zwłaszcza młodzieży, mimo protestów uczonych i poprawnych pedantów. G. A. Sambrook w doskonale napisanej broszurze: „The English Language”*) nazywa slang: poezją prostego człowieka (the plain mans poetry) i określa jego istotę bardzo podobnie, jak W. Doroszewski: „slang tworzy żywy, pełen wyobraźni lud, który nie obawia się odróżnić się od innych lub łamać przyjęte zasady gramatyki i mowy”. (slang is made by lively imaginative people, who are not afraid of being different from others or of breaking the accepted rules of grammar and speech, s. 97). Mimo pewnych zastrzeżeń co do wpływu slanga na dzieła literatury, angielski popularyzator wiedzy o języku uważa, że slang jest bardzo cenny, ponieważ „nadaje starym pojęciom nowe życie”. (... and is valuable because it gives new life to old ideas, s. 97). I pomyśleć, jak doskonale, zwięźle i jasno określiła słowotwórczą zdolność ludu miejskiego właśnie konserwatywna Anglia!

W doskonałych artykułach: „O wyrazie Muzułman” (s. 84-92) i „O wyrazach szaber, szabrować i pokrewnych” (s. 93 - 101) autor przedstawia rozwój znaczeń wyrazów, powstałych w ten sposób w czasie wojny a zarazem podaje metodyczne wskazówki, jak je zbierać i notować.

Dzięki materiałowi nadesłanemu przez byłych więźniów obozów koncentracyjnych prof. Doroszewski ustalił, że termin **mużułman** powstał w hitlerowskich przedwojennych obozach koncentracyjnych (Muselman), gdzie oznaczał człowieka zupełnie wycieńczonego fizycznie, i w tym znaczeniu rozpowszechniał się, za pośrednictwem Niemców w niektórych polskich obozach. Słownictwo jeńców i więźniów polskich obozów w Niemczech jest w Polsce starannie zbierane i opracowywane, natomiast nie ma wiadomości, czy Polacy zagranicą przystąpili do poważniejszej rejestracji słownictwa zsyłki i więźniów w ZSRR. To rola filologów na uchodźstwie.

Nazwa **Sowieci** (s. 212 - 216), jak autor donosi, bardzo rozpowszechniona dziś w Polsce, powstała w pierwszym okresie wojny na określenie obywateli Związku Sowieckiego, utworzona z oficjalnej rosyjskiej nazwy państwa **Sowiety**, oznaczającej tyle co Związek Sowiecki. Później dorobiono do niej liczbę pojedynczą: **Sowiec**, **Sowiecka**, jak **Chorwat**, **Chorwatka**, **Polak**, **Polka**. Nazwę tę słyszałem po raz pierwszy we Lwowie, wkrótce po przyjeździe Sowieców. Ludność Lwowa używała tego terminu nie w sensie przezwiska, przywykła do osobowej końcówki nazw

narodowości, zakończonych w I prz. l. mn. na -i, jak **Chorwaci**, **Czesi**, **Francuzi**, **Polacy**, **Ukraińcy** nadała nazwie obcej **Sowiety** normalne końcówki przypadków i rodzaju rzeczowników, określających narodowość jednostki. Ludzie reżimu uznali ten termin za uwłaczający. Dla ilustracji przytoczę cytaty z wiersza Jana Brzechwy, „**Marsz**”, ogłoszony w „**Odrodzeniu**”, 1948, r. V, nr 50:

Wiedźmy po domach straszą dzieci:
Masła nie ma, wzięli: „**Sowieci**”.

W tym wierszu autor nadaje nazwie **Sowieci**, ujętej w cudzysłów, znaczenie jak najgorsze, prawie upiorne, chcąc odmalować wrogi stosunek ludności do Sowieców. Przykład ten, o tyle ciekawy, że lud utworzył tę formę na podobieństwo znanego mu wzoru, według którego urobiono także nazwę **Amerykanin**, **Amerykanka**, **Amerykanie**, „która istotnie nie ma pod względem narodowościowym treści bardziej jednolitej niż nazwa **Sowieci**” (s. 215). Forma **Sowieci** wydała się oficjalnym czynnikom niedostosowana do nowego ideologicznego i ustrojowego systemu, gdyż ze zbiorowej nazwy państwa: **Sowiety** powstała indywidualna nazwa jednostki. Z drugiej strony ogół mówiących wyraża w niej te uczucia, jakie żywi, niezależnie od końcówki. Każdy z nas pamięta narodziny nowych słów w więzieniach, w wojsku, w obozach i różnych ośrodkach polskich. Wiele z nich już zaginęło, a przecież w nich stężały dzieje pewnego okresu naszego życia. Należy ten materiał zebrać i opracować, dopóki żyją jeszcze świadkowie i uczestnicy tych czasów.

Przypomnę choćby ciekawe nazwy-przezwyśki, nadawane w wojsku grupom żołnierzy, którzy z różnych szlaków wędrówek spotkali się w Armii Polskiej na Wschodzie. I tak żołnierzy przybyłych z Rosji nazywano: **buzułukami** lub **prawosławnymi**, zaś grupę żołnierzy, którzy przez Węgry i Rumunię przyszli do Egiptu — **ramzesami**. Tych, którzy znajdowali się podówczas w Anglii zwano **lordami**, dla oddania ich wykwintnych warunków życia.

Wyraził się w tych nazwach przemijający separatyzm i wzajemna niechęć grup, który przeszły odmienne koleje życia. Wkrótce w wojsku różnice te znikły, a nazwy uleciały w pamięci. Bardzo popularna nazwa: **Pestka**, zamiast ochotniczka (P.S.K.*) powstała ze skrótu literowego P.S.K. i przypadkowo, a po części ze skłonności do żartobliwej przenośni skojarzyła się z pokrewnym dźwiękowo wyrazem o zupełnie innym znaczeniu: **pestka**. Po przybyciu wojska do Anglii wyraz **pestka** zaczął zniknąć z języka i z życia. W obozach P.K.P.R. pojawił się na to miejsce angielski analogicznie urobiony ze skrótu wyraz: **ej-tieska** — A.T.S.**). Jedna z ochotniczek, opowiadając mi nie dawno o życiu swym w angielskim hostelu, powiedziała: „Ja nie

*) Pomocniczej służby Kobiet.

***) Army Territorial Service.

*) G. A. Sambrook. The English Language. London, Longmans, 1947.

jestem angielska ejtieska, ja jestem polska ejtieska”.

W ostatnich latach wojny dużą karierę zrobił wyraz **kasztan**, który zaczął oznaczać złotą angielską monetę jednofuntową, używaną w spekulacji. Szybko rozpowszechnił się pochodny odeń **kasztaniarz**, określający człowieka, co „robił kasztany”.*)

Kasztan trzyma się nadal w języku i zachowuje swą nowo-nabytą treść. Niejasne jego źródło powstania i niepewna droga przeniesienia znaczenia wskazuje, że został on utworzony raczej intuicyjnie, aniżeli świadomie na wzór wyrazów istniejących w tajemnym języku spekulantów, podobnie, jak bardzo żywotny dziś w Polsce **szaber**, **szabrować** przedostał się z języka rzemieślniczego do języka złodziejskiego, a w czasie wojny otrzymał zupełnie nowe znaczenie: „rabować opuszczone mieszkania” (s. 101) i wykazał dużą żywotność w tworzeniu pochodnych wyrazów i znaczeń.

Witold Doroszewski przedstawiając właściwości językowe pewnych środowisk, porusza także zagadnienia stylistyczne i nawiązuje do nich w tym sensie, w jakim określił przedmiot badań stylistycznych zmarły prof. Tadeusz Kowalski, mówiąc: „Czyżby więc nie można powiedzieć, że styl to jest zespół cech wyróżniających mowę jednej grupy społeczno-kulturalnej od innych i że zadaniem stylistyka jest wykrywanie i badanie tych cech”.**) W „Rozmowach o języku” znajdujemy właśnie nie tylko trafne określenia różnych grup, ale uchwycone na gorąco przykłady powstawania tych odmiennych sposobów wyrażania się.

Wyraźnie przeciwstawił autor dwie zupełnie odmienne i biegunowe różne kierunki i tendencje stylu. A mianowicie, żywy i jędrny wiech, który „narusza lub razi ustalony konwenans kulturalno-językowy” (s. 11) jest zupełnie odmienny pochodzeniem i całą naturą od skostniałego i oficjalnego schematu kancelarii, o którym mówi autor, że „jednym ze źródeł wynaturzeń języka jest styl urzędowy, działający zwłaszcza wtedy zgubnie, kiedy w czyichś oczach kancelaryjność utożsamia się z literackim pięknem i zostaje traktowana jako godny naśladowania wzór”. Reakcje ogólne ludzi na te dwie odmiany są bardzo charakterystyczne i dla socjologa ciekawe. Jedni uważają gwarę miast za mowę pośledniejszą, warstw niższych i ci posługują się chętnie zwrotami urzędowego szablonu jako bardziej wyszukaną formą, wyższą społecznie. „Organizmem troszkę do srodeczka organizmem”, woła urzędowym tonem konduktor, do pasażerów stołecznych na platformie tramwaju (s. 170). „Gdy ma się iść okólną drogą przez most pontonowy, to może ogarnąć depresja, ale gdy się posłyszysz zachę-

*) Niektórzy uważają, że nazwa **kasztan** w tym nowym znaczeniu pochodzi od rysunku na złotym funcie, który przedstawia jeźdźca (św. Jerzego) na koniu, czyli na kasztanie. Inni tłumaczą tę nazwę podobieństwem złotego funta do owocu kasztanu pod względem barwy i kształtu.

**) K. Nitsch. Sp. Tadeusz Kowalski. *Język Polski*, 1948, r. XVIII, nr 3, strona 2.

cające: „pan pójdzie pontoniakiem, to się reaguje odruchem determinacji. — Skromny, cieszący się takim wzięciem w Warszawie sufiks -ak, to sprawia” (s. 13). — Mamy tu przytoczone odmienne reakcje na dwa różne rodzaje stylu. W. Doroszewski przytacza skrajny przykład nagromadzenia abstrakcyjnych określeń, zaczerpniętych z artykułu, poświęconego sprawom wychowawczym, brzmi on tak sztucznie, że trudno zrozumieć sens: „zachodzi konieczność uwzględnienia momentów natury przygotowania atmosfery psychologicznej”. (s. 150).

Te banalne szablony wyrażen są często używane w niewłaściwym znaczeniu lub błędnie. Autor stara się przekonać, że należałoby ich unikać, a zachować, o ile możliwe, naturalność stylu. Zamiast ulubionego w urzędach wyrażenia „rozprowadzać okólniki lub pieniądze” autor radzi użyć prostego powiedzenia: „rozpowszechniać”, „rozesłać”, „dostarczać” itd. Załkorzone germanizmy, jak: „w odpowiedzi na”, „w pierwszym rządzie należy wymienić” (s. 152). Względnie, np.: „przyjdę dzisiaj względnie jutro (s. 161) lepiej jest i poprawniej zastąpić zwrotami zwyczajnymi, jak: „załatwiająca prośbę...”, „przede wszystkim wymienić należy...”, „przyjdę dziś lub jutro”.

Osobną odmianą oficjalnego stylu jest frazeologia polityków w prasie, radiu i w całej propagandzie pisanej i mówionej. Wchłania ona dziś wiele wyrażen ze słownika technicznego i nauk ścisłych oraz terminów i słów, zapożyczonych z języków obcych. Dzienniki i oświadczenia mężów stanów roją się od powiedzeń takich, jak „dynamika sił”, „napiecie polityczne” (s. 203) „wyzwalanie energii mas”, itd. W artykule pod tytułem: „Sugestia” (s. 216) daje autor przykłady łacińskich wyrazów, zapożyczonych ze współczesnego języka angielskiego, które w politycznym języku polskim uzyskały fałszywe znaczenie, np.: „sugestia i kontrola”. Stało się to na wskutek odmiennego historycznego rozwoju znaczeniowego tych wyrażen w języku angielskim i polskim. Podam cytaty z omawianej książki, w których wyrazy „sugestia”, „kontrola”, „kontrolować” są niewłaściwie użyte: „Bevin na konferencji w Moskwie będzie popierał sugestię St. Zj. zamiast: **propozycję** St. Zj. Turcja zachowuje **kontrolę** nad Dardanelami, zamiast: **panowanie** nad Dardanelami”. (s. 216). Angielskie wyrazy wzięte z łaciny są na ogół bliższe znaczeniowo pierwowzorom łacińskim niż polskie odpowiedniki, które w języku polskim zwięzły zakres pojęć. Stąd nieporozumienie.

Obecny rząd i oficjalna publicystyka upowszechniły wiele nowych terminów politycznych w Polsce. Jednym z głównych to: **demokracja ludowa** (s. 179). Drugim bardzo popularnym to: **sektor** (s. 207 - 11). Pierwszy z nich jest według autora tautologią, znaczy bowiem tyle co: „ludowe ludowładztwo”, drugi został przeniesiony z języka rosyjskiego do języka polskiego w znaczeniu przenośnym: wycinek koła i odnosi się najczęściej do dziedziny spraw kierowanych przez państwo (s. 210). O „sektorze” mówi się ciągle i w różnym, nie zawsze trafnym znacze-

niu, np.: „rejestracja przedsiębiorstw handlowych w sektorze prywatnym”. Jest on nadużywany i niejasny. Po pierwszej wojnie światowej rozpowszechnił się wyraz: **odcinek**, używany także w przenośnym znaczeniu, np. „odcinek życia gospodarczego”, „na odcinku kulturalnym” itd. Zastąpienie go dziś w Polsce przez wyraz sektor jest bardzo znamienne.

Sądzę, że w pewnych okresach, zwłaszcza rewolucyjnych, niektóre wyrazy nabierają intensywniejszej treści i właśnie uczuciowy ładunek sprawia, że stają się popularne lub popularyzowane. Są modne i nabierają rozmachu. Nie mają i one wiecznego życia. W następnej epoce, o ile warunki się zmieniają, wyrazy te bledną i tracą na znaczeniu. Reakcja przeciw uroczystemu słowom, hasłom i frazesom jest dziś bardzo duża. Zwłaszcza młodzi ludzie odwracają się od słów, które nie mają żadnego pokrycia w życiu, a często są nie tylko puste, ale kłamliwe.

W kilku punktach tego artykułu nakreśliłam podstawowe zagadnienia „Rozmów o języku” i dorzuciłam garść informacji z własnej obserwacji po to, by tę interesującą książkę oddać w ręce czytelnikowi.

Janina PILATOWA.

STOWARZYSZENIE WETERANÓW ARMII POLSKIEJ W AMERYCE

Placówka 201 Ż.P.II. (b. żołnierzy Drugiej Wojny Św.)

Żołnierzu Polski II-ej Wojny Światowej:

Przybywając na Ziemię Amerykańską, nie będziesz czuł się osamotniony, gdy wstąpisz w szeregi organizacji twoich kolegów — towarzyszy broni z II-ej Wojny Światowej.

Placówka Nr. 201 SWAP, jest jedyna w Ameryce, która skupia wyłącznie byłych Żołnierzy polskich II-ej Wojny Światowej.

Zebrania ogólne Placówki odbywają się w drugą niedzielę każdego miesiąca o godz. 4 po południu w Domu Żołnierza Polskiego w New Yorku, 17 Irving Place (róg 15-ej ulicy).

Kolego! — Przyjdź na zebranie, gdzie spotkasz swoich towarzyszy broni, a może i kolegów z twego Oddziału.

Komendant Placówki 201.

Arkusze poetyckie

Puszkiniada

A jeśli Słowo.
Strują jarliwą
spadnie i dzwoni. Kropla po kropli.

A jeśli Miłość.
Nieszczęśliwa,
wyolbrzymiona stokrotnie,
jak śmierć.

Tymczasem chodźmy z Tatianą
w warkocze wczesać, w lustrze przymierzać — 19
agrawę złotą.

Niebylejaki z snycerzy
wykuł ją dla niej. Umarł — nie umarł? —
rzec niezbadana
dotąd.

Albo inaczej.
W mity pogańskie
w zarzeczywistość, w ponadrozummy
wywyższmy wzorem Hellady
nieosiągalną Radość
i dawne bogi słowiańskie.

Swarożyc-słońce to przecie Zeus,
Cererę w Ładę przebierzcie —

Gdy się podoba — wierzyć.
Ja sam nie wierzę: ateusz.

To tylko zabawa. Gra słów,
szemrząca strują jarliwą —

*i ja, i wszystka miłość
rzekomo nieszczęśliwa.*

*Prawdą jest, że murzyński mag,
a poza tym potomek bazarów,
kamerjunker — poślednia z rang
najjaśniejszego cara,
panującego po dziś i dalej, —
nie wypomni już nic,
nie doda już nic,
co by mogło was — podnieść,
albo jeszcze bardziej — umalić.*

Jerzy DOŁĘGA-KOWALEWSKI.

Krajobraz

*Kilka słonecznych wspomnień w owocach mandarynek
i niebo — tza wilgotna, wisząca nad głową,
i jeszcze liście pod stopą jak rozlane wino —
to jest fragment jesieni w kraju południowym.*

*Liście! Jeden z nich tak boleśnie przypomniał mi pewien
polski liść klonu, rozpięty na kartce zielnika,
który znalazłam pod wysokim drzewem
jesieni polskiej — szczęśliwa dziewczynka.*

*I szarpnęło się serce za czasem co przeszedł,
obcy wiatr mnie zdziwieniem jak płachtą owinął:
że w rozpaczę minęło już ciężkich lat dziesięć
i stoję w obcym kraju sam na sam z Ojczyzną.*

*Tymczasem liście platanów zerwały się spod stóp
i uniesione wiatrem jak wdzięczne płomienie
leciały wprost na linię złego horyzontu,
który nieznanym losem opasywał ziemię.*

Buenos Aires, maj 1949.

Józefa RADZYMIŃSKA.

Zwierzenie

*Wysoki powiew wiatru,
odcień jasnego granatu
w jedwabnych baziach topól —
to dłonie Boże.*

*Ten wiew przyziemny, tkliwy,
co moje włosy gładzi —
to ręce mojej matki
łagodne, skądś z zaświatów.*

*Stonko co tka miłośnie
przyłaszczek modre szatki —
to tkacz jest Boży.
To, które z wrzecion nieba
nawija zielną radość
w furkot mojego serca —
to kołowrotek matki.*

*Organne szumy lasów —
to Boża kotysanka
dla utrudzonych chmur.
Złoty brzęk małej pszczoły
na aksamicie kwiatka —
to zgrzebna piosnka matki
dla mnie, małego Janka.*

Jan KOWALIK.

Nawóz

*Kiedyś, dawniej nosiłeś mi kwiaty.
Dziś wozisz nawóz, zwyczajnie, po prostu.
Taczka za taczka, tłusty, urodzajny,
gorący oddech ziemi,
jak bursztyn nadziany gałęzmi skrzepłymi,
słomą i badyłami ostu.
Paruje z niego sens najgłębszych treści.
I zaciskasz prócz taczek w swych zmęczonych pięściach
ster naszej arki z biblijnej powieści,
ster Twojego szczęścia i mojego szczęścia.*

*Świat idzie w wiosenne deszcze i dreszcze.
Jeszcze jedna taczka i jeszcze i jeszcze...*

*Skrzypi taczka nawozu, nasz wieczorny kurant.
Wspomnienia na szprychach.
(«Pauvre Pologne, toujours souffrante»
mówią sąsiedzi...) Wspomnienia na szprychach
obrót kół w górę niesie i z góry znów spycha
i znowu w górę...*

Noc nadchodzi cicha.

Janina WADWICZ.

Listy do Redakcji

Józef Czapski w jednym z numerów "Kultury" zajął się sprawą młodzieży.

Podział jego na "zakochanych w czynie" aktywistów i oderwanych od życia artystów eskapistów wydaje mi się być uproszczeniem. W każdej epoce, w każdym społeczeństwie spotykamy jednostki obojętne zagadnieniom chwili, błędnych rycerzy wszelkiego rodzaju; ludzi, których pasjonuje tylko czyn, czyn z mokrą robotą, nigdy nie brakło. Lata wojny przyczyniły się bezwątpienia do rozwoju żyłki awanturniczej naszej młodzieży; zdaje mi się jednak, że łatwy zapał do różnych planów, pewna mistyka akcji biorą się skąd inąd, nie z kultu czynu jako sztuki dla sztuki. Chęć działania za wszelką cenę, to rzucanie się w sieć, to rozpaczliwe szukanie jakiegos wyjscia. Wielu woli zagrać jedną szansę na sto niż zrezygnować się na istnienie bez warunków do życia psychologicznie potrzebnych.

Jaki jest los młodzieży niepodległościowej w kraju — nieustanne szykany i prześladowania, niepewność jutra, przeświadczenie dalszej sowietyzacji, a więc możliwych masowych zrytek, wyniszczanie wszystkich podejrzanych. A na emigracji? Los białych murzynów, wegetujących na trzeciorzędnych posadkach.

Wracając do Czapskiego, nie porusza on zjawiska bardzo charakterystycznego — jest nim specyficzne nastawienie psychiczne "ludzi z frontu", ludzi od dziesięciu lat nastawionych na walkę z wrogiem na obronę polskości. Ci ludzie nie dopuszczają nawet jakiegokolwiek cieniowania, świat dzielią na swoich i na wrogów, których trzeba zniszczyć. Nie tak dawno temu student świeżo przybyły z kraju tłumaczył mi, że jest niebezpieczną słabością dzielić reżimowców na lepszych i gorszych; wszystko co idzie z Rosji jest zarazą, każdy czerwony zbrodniarzem, tak jak każdy Niemiec mordercą. Jest to typowe nie tylko dla kraju — większość młodych rówieśników na emigracji rozumuje podobnie. Tworzą oni oderwane od wszelkich wpływów obcych polskie ghetto, zamknięte, czupurne i zarozumiałe. Co o Francuzach się słyszy w takim środowisku? Że degeneraci, że tchórze, że "niekulturalne brudas", literatury francuskiej, która naturalnie jest zgniła nie czytają, ciekaw jestem czy znaleźć można 10 młodych Polaków, którzy znają "L'Enfance d'un Chef" Sartre'a czy "Mythe de Sisyphé" Camusa.

W konflikcie z ogromną większością polskiej młodzieży jest gar-

stka ciągnąca do obcych, zainteresowana światem w którym żyje. Na czym polega jej wyemancypowanie? Zarzucają im brak zainteresowania literaturą, sztuką polską. Dlaczego tak jest? Od wczesnego dzieciństwa pchano im Sienkiewicza (w gimnazjum w Polsce tłumaczono mi że jest największym pisarzem świata). Z malarstwa częstowano ich jedynie Matejką, Chełmońskim, Grottgerem, o innych słyszałem ledwie. W szkole, w podręcznikach, w czytance polskiej "Mówią wieki", która wychowywała, była pewnego rodzaju abecadłem dla całych pokoleń gimnazystów, stale wracano do Matejki et consortes. Pamiętam me zdziwienie, gdy po przybyciu do Paryża żaden z moich nowych francuskich przyjaciół (a byli pośród nich i malarze) nie słyszał o tym rzekomo największym mistrzu świata.

Cóż nam dziś dają świeczniki emigracji?

Pełne wytartych frazesów artykuły Nowakowskiego z "Wiadomości", Mękarskiego z "Dziennika Żołnierza", tromtadrackie okrzyki mówców 3-majowych, akademie, różne "Bóg z Nami", "przepełnienie głęboką wiarą w sprawiedliwość dziejową", "Polska od Odry i Nisy po Lwów i Wilno", wiatrem podsyte nadzieje, mieszanina najgorszego gatunku patetycznego patriotyzmu z morzem rozgrywek osobistych, nienawiści i intryg. Jakże to działać może na młodych — może tylko od wszelkiej emigracji odrzucić. Często ogarnia mnie strach, że niezadługo wielu młodych znajdzie się w przeciwnym obozie. Skomunizowanie się młodego chłopca, którego list nadesłany z kraju cytuję Czapski, czyż nie jest w pierwszym rzędzie spowodowane zakłamaniem moralnym, słabością argumentacji "duchowych kierowników" emigracji.

Naiwność naszych teorii rzuca się w oczy. Chcemy swobody w imię sprawiedliwości, równocześnie ostrząc apetyt na tereny ukraińskie i niemieckie. Od czterech lat mówimy o wojnie za chwilę. Wołamy o jedność narodową, kłócąc się między sobą bardziej niż kiedykolwiek.

Jaką przewagę nad nami mają nasi wrogowie — dają młodym pole do czynu i popisu, udział w epopei budowania nowej Europy, nie mówiąc o "władzy, koniaku, kobietach". O przebudowy mentalności pokolenia walczy nowa szkoła, liczne organizacje, potężny aparat propagandowy.

Na razie, od zdrady powstrzymuje dyscyplina grupowa, wierzenia i zasady wyniesione z domu. Czy jednak w stosunku do najmłodszych to będzie skuteczne — wątpliwe.

Potępiam ideologię à la Nowakowski, jakież jest więc moje stanowisko osobiste? Dlaczego stoję z prawej a nie z lewej strony barykady?

Tysiąc lat temu ludy koczownicze, gnane głodem, walczące o prawo do życia, o pastwiska, zaatakowały królestwo Krety, której ludność bohatersko broniła swego stanu posiadania. Kto miał rację? I jedni i drudzy, podobnie jak i dzisiaj. Dwaj przeciwnicy o ile tylko działają w zgodzie ze swym sumieniem, z pełnym przeświadczeniem o słuszności swej sprawy, mogą równocześnie obaj mieć rację.

Po czyjej stronie wypowie się historia? Często piszą ją zwycięzcy, często nie jest ona w stanie zająć stanowiska, często (o ile problemy przez nią poruszane wiążą się z zagadnieniami współczesnymi) uczeni dwu narodów fabrykują opowiadki z sobą sprzeczne.

Jestem niepodległościowcem bo dla narodu swego i dla Europy, dla świata który jest moim i który kocham — sowieckiego systemu życia, myślę w obcęgach, obozów pracy, nędzy, systemu policyjnego nie akceptuję.

MIKE.

UNIVERSUM / RCS

Adres redakcji i administracji
w Niemczech brzmi obecnie:

(14 a) HEILBRONN — POLISH CAMP SCHWABENHOF.

Prenumeratorów, którzy wyemigrowali z Niemiec, prosimy o podanie swych nowych adresów administracji pisma w Niemczech, o ile mają prenumeratę opłaconą z góry, w przeciwnym razie o zwrócenie się do przedstawicieli, którzy we Francji, Kanadzie, Argentynie, Włoszech, Szwajcarii są również przedstawicielami "Kultury".

Adres redakcji i administracji w Londynie pozostaje niezmieniony (17; Penywern Road, London SW5).

NAJTANIEJ ● NAJLEPIEJ ● NAJSPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

«LIBELLA»

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV^e.

Katalogi bezpłatnie na żądanie

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE «LIBELLA»

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)

Dépôt légal: 4^e trimestre 1949.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egzempl. pojed.	Prenumerata	
		½ roczna	Roczna
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV ^e	120 fr.	650 fr.	1200 fr.
W. BRYTANIA: «GRYP» Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	30 sh.
WŁOCHY: Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3, Stockholm	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: Wojciech Zaleski, (14 a) Heilbronn, Polish Camp Schwabenhof	2,50 DM	15 DM.	25 DM.
SZWAJCARIA: Dr Mieczysław Sangowicz, Fribourg 1, case 155.	1,80 sfr.	10 sfr.	18 sfr.
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski. «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 614, Buenos Aires	3 peso	18 peso	36 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 400, Palmerstone Blvd., Toronto/Ont., tel. ME 0309	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: M. K. Dziewanowski, 9, Oxford Street, Cambridge 38, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA: Marie Christ, Janta-Polczyńska, 24 Grande Rue au Bois, Bruxelles, 3, Kontocheque Postal 244 113 — Bruxelles	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydeham, Johannesburg	3 sh.	16 sh.	30 sh.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmuje: Julia Barcińska, C. Postal 4528, Rio de Janeiro.	15 cruz	90 cruz	150 cruz

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr. przy prenumeracie rocznej — 240 fr. fr.; przy półrocznej — 120 fr. fr.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LITERACKIEGO

ADAM MICKIEWICZ

KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA

HENRYK SIENKIEWICZ

LEGIONY

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

PROMETEUSZE

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

MIASTO MOJEJ MATKI

LEON BLUM

NA MIARĘ CZŁOWIEKA

PAWEŁ HOSTOWIEC

DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

KOBIETY

JÓZEF CHALASIŃSKI i JAN ULATOWSKI

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ

SERGIUSZ PIASECKI

JABŁUSZKO

NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA

SPOJRZĘ JA W OKNO...

TADEUSZ FELSZTYN

ENERGIA ATOMOWA

WACŁAW SIEROSZEWSKI

BENIOWSKI

ARTHUR KOESTLER

KRUCJATA BEZ KRZYŻA

ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)

W OCZACH PISARZY

BOLESŁAW MICIŃSKI

PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE

JAN BIELATOWICZ

BRYGADA KARPACKA

PASSEGGIATA

STANISŁAW GRYZIEWICZ

ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

WERONIKA HORT

TUŁACZE DZIECI

JÓZEF CZAPSKI

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

MELCHIOR WAŃKOWICZ

KLUB TRZECIEGO MIEJSCA